



Kim jesteś Czarny?

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

KIM JESTEŚ CZARNY?

Kryminał z myszką – Tom 57

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-60-7
Copyright © Christofer Klodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1963, seria
„Labirynt”

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na
chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Epilog.

Rozdział 1

Zielony opel record, skręcając w Piękną, wjechał całym impetem w kałużę i opryskał przechodniów. Szczupły mężczyzna w płaszczu z podniesionym kołnierzem uskoczył w bok. Jego szare oczy musnęły samochód z widoczną niechęcią. Potem przeniósł wzrok na słup reklamowy. Zainteresował go afisz jakiegoś filmu. Podszedł bliżej i spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. „Gdybym się pośpieszył – pomyślał – zdążyłbym jeszcze do «Śląska» na ostatni seans”.

Wzruszył lekko ramionami i przyśpieszył kroku, ale w kierunku przeciwnym niż kino „Śląsk”. Po paru minutach wchodził już do dużego, białego gmachu w Alejach Ujazdowskich. Mimo późnej pory w wielu oknach paliło się jeszcze światło. W tym domu w razie potrzeby pracowano dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Mężczyzna zdjął w hallu płaszcz, przerzucił go przez ramię i zaczął wchodzić na szerokie schody.

W połowie pierwszego piętra ktoś zawołał, przechylając się przez balustradę:

- Majorze Wichurski!

Idący zatrzymał się i spojrzał w górę.

- Co tam?

- Pułkownik szukał was przed chwilą. Ma, zdaje się, jakąś pilną sprawę.

- O tej porze?

Wichurski skrzywił się. Miał własne pilne sprawy, które czekały na niego w teczkach.

Czego może chcieć pułkownik? – zastanawiał się, otwierając drzwi sekretariatu szefa wydziału. Postanowił nagle, że nie wyjedzie z Warszawy, zanim nie dokończy rozpoczętej roboty. Dostyc jej się nazbierało podczas jego urlopu.

W sekretariacie siedział oficer dyżurny, młody porucznik, który na widok wchodzącego uniósł się z krzesła i powiedział z zadowoleniem:

- Dobrze, że jesteście, towarzyszu majorze. Właśnie miałem...

- Wiem – przerwał niecierpliwie Wichurski. – Jest?
- wskazał na drzwi, obite ciemną skórą.

- Czeka na was od pół godziny.

Porucznik był trochę urażony. Nie lubił, gdy mu ktoś przerywał.

Major uchylił drzwi.

- Można, pułkowniku? - spytał oficjalnym tonem i nie czekając na przyzwolenie, wszedł do gabinetu. - Chciałeś coś? - rzucił, sięgając do pudełka „Waweli”, leżącego na biurku. - Słuchaj, Marian, uprzedzam cię, że nie ruszę się z Warszawy, zanim nie zakończę sprawy Szczecina... Słyszysz? - spojrzał na niego z wyrzutem.

- Owszem - odparł uprzejmie pułkownik Solecki.

Kiedy milczenie zaczęło się przedłużać, major poprawił się w fotelu i zmienił ton.

- Coś ważnego? - spytał ze źle ukrytym zainteresowaniem.

Solecki uśmiechnął się nieznacznie. Na to właśnie czekał.

- Widzisz, Rysiu - zaczął z namysłem, jakby dobierając słowa. - Jest taka rzecz... Chciałbym z tobą omówić informację, którą dostaliśmy przedwczoraj z wydziału czwartego. Sprawę Szczecina doprowadziłeś przecież w zasadzie do końca. Za kilka dni możemy ją już przekazać do śledczego. Ja wiem, że ty nie lubisz odrywania od pracy, zwłaszcza w końcowej fazie...

- Dobrze, że o tym wiesz - mruknął Wichurski zgryźliwie.

- Mimo to - ciągnął tamten dalej - chciałbym ci powierzyć nową sprawę. Zwłaszcza że zarówno źródło otrzymanej informacji, jak i jej charakter wymagają, abyśmy się tym niezwłocznie zajęli.

- Może nareszcie powiesz, o co chodzi?

- Chodzi o cynk. Wydział czwarty uzyskał wiadomość, że ze Śląska do Niemiec Zachodnich przekazywane są dane o naszym przemyśle cynkowym. Oczywiście, musimy to sprawdzić. „Czwórka” wie, że źródło informacji jest raczej pewne. Nie zna jednak, niestety, żadnych bliższych szczegółów. Sprawa jest trochę drętwa, jak widzisz.

- Więc ty chcesz, żebym pojechał na Śląsk - stwierdził raczej niż zapytał Wichurski. - Sam?

- Nie. Sądzę, że trzeba będzie stworzyć grupę, do której już sam sobie dobierzesz ludzi. Potrzebny będzie również specjalista. Myślę tutaj przede wszystkim o tym metalowcu z twojej sekcji... no, jakże on się nazywa?

- Nowakowski. Ale jakimi danymi jeszcze dysponujemy? Czy „czwórka”...

- Nie! - przerwał Solecki. - Nic więcej w „czwórce” już nie wiedzą, prócz tego - wyjął z

szuflady i położył przed majorem niewielką kartkę. –
Czytaj.

Major przebiegł wzrokiem kilka zaledwie
napisanych linijek.

– Tak – mruknął. – Rzeczywiście, jest tego niezbyt
wiele. Żadnego punktu zaczepienia.

Milczeli chwilę. Za oknami wciąż siąpił drobny,
kwietniowy deszcz, w sąsiednim pokoju porucznik
rozmawiał z kimś przez telefon. Światło lampy z
zielonym kloszem stojącej na biurku padało na
papier, którego skąpa treść tak zainteresowała obu
oficerów kontrwywiadu.

Wreszcie Solecki sięgnął po papierosa i zapytał:

– Orientujesz się trochę w tej branży?

– A wiesz, że tak! – odparł major z półuśmiechem.

– Był czas, że zajmowałem się cynkiem. Pamiętasz
może aferę „R-5”? Przecież ten facet zaczynał
właśnie od cynku.

Pułkownik potwierdził ruchem głowy. „R-5” – ileż
on im krwi napsuł, zanim rozszyfrowali te wszystkie
skomplikowane powiązania i kontakty.

– Zarobiłeś na tym kulę w płuca – rzekł cicho.

Wichurski wzruszył ramionami.

- Stare dzieje. Ale coś niecoś o cynku wówczas się dowiedziałem. Oczywiście, nie chcesz mnie chyba wysłać jako specjalisty?

- Nie, skądże. Wystarczy, że w twojej grupie będzie jeden człowiek, który dobrze się na tym zna. Sądzę, że... - urwał.

Major spojrzał na niego pytająco. Ale Solecki nie powiedział co i o czym sądzi, gdyż do drzwi lekko zapukano.

- Proszę - rzucił niecierpliwie.

Na progu stanął jeden z pracowników wydziału szyfrów.

- Co tam macie?

- „Czwórka” przekazała do nas szyfrówkę, obywatelu pułkownika. Daliście polecenie, aby wam dostarczać natychmiast wszystkie materiały, które mają związek z cynkiem. To, zdaje się, do tego należy.

Pułkownik wziął podaną mu kartkę i szybko przebiegł oczami treść, po czym wzruszył ramionami ze zdziwieniem.

- Dobrze, dziękuję. Wszystkie tego rodzaju informacje przekazujcie w dalszym ciągu bezpośrednio do mnie.

Pracownik „szyfrów” wyszedł.

- I co ty na to? - spytał szef wydziału, kiedy Wichurski zapoznał się z treścią przyniesionej kartki.

- To nie ma żadnego sensu. Po co oni szyfrują adresy hut? Można je przecież znaleźć w każdej książce telefonicznej.

- Tak. Sądzę, że są tu dwie możliwości. Albo na Śląsku siedzi facet, który chce się wykazać jakąś robotą i przekazuje w tej chwili bzdury bez znaczenia...

- Widocznie go przycisnęli. Wiesz, jak to jest. Mówi się człowiekowi: nic nie robisz, za co ci płacimy, i tak dalej.

- Możliwe. Może to mieć też zupełnie inne znaczenie.

- Myślisz, że jest podwójnie szyfrowane?

- Decydować może układ adresów lub ich kolejność. Ostatnia w tej kolejności - to huta „Nadzieja”. Co byś powiedział na to, że gość właśnie teraz nią się interesuje?

- Ostatnia albo pierwsza, albo żadna z nich. Może to być również potwierdzenie otrzymanego zadania. Właściwie, to wiemy w tej chwili tyle samo, co pół godziny temu.

Solecki potrząsnął głową.

- Pamiętaj, że jest to już drugi sygnał w ciągu trzech dni. Wprawdzie treść szyfru nie ma dla nas w tej chwili żadnego znaczenia, ale sam fakt, że został nadany, potwierdza informację „czwórki”. Sam teraz widzisz, że trzeba jak najprędzej organizować grupę i wyjeżdżać na Śląsk.

- Jaki kryptonim?

- „C 4” - rzekł pułkownik i położył przed Wichurskim teczkę, do której włożył obie kartki z wydziału szyfrów.

*

Dochodziła północ. Major Wichurski odsunął filiżankę z na wpół wypitą kawą i odkaszlnął. Dym z papierosów wisiał w pokoju jak gęsta, szara chmura. Wichurski wstał, otworzył szeroko okno i przez parę minut wdychał wilgotne, deszczem przesiąknięte powietrze.

Rozboliła go głowa. Od dwóch godzin bezskutecznie usiłował rozwiązać zagadkę tajemniczych szyfrów z adresami hut cynkowych. Co miały oznaczać? Kto je wysłał? Po co? Do kogo? Oczywiście, tego nie rozwiąże dzisiejszej nocy. Ani on, ani wydział szyfrów, do którego zwrócił się z prośbą o pomoc. Zresztą - kto wie?

Wyszedł ze swego pokoju, zamykając go na klucz, skręcił w stronę schodów i szybkim krokiem, aby rozprostować kości, wbiegł na trzecie piętro. Tutaj, mimo późnej pory, pracowała jeszcze „szyfrówka”.

W małym pokoiku, oświetlonym tylko lampą stojącą na biurku, dwóch pracowników wydziału toczyło o coś zawzięty spór. Na widok wchodzącego umilkli, a jeden powiedział z nutą zniechęcenia w głosie:

- Jeszcze nic, towarzyszu majorze... Nie wybrnęliśmy z tego.

Wichurski opadł na stojący w kącie fotel, westchnął i odparł:

- Wcale nie wymagam, abyście to zrobili już dziś.

Widać było jednak, że jest odrobinę rozczarowany.

Starszy z pracowników - niski, przygarbiony, o łysej czaszce i zmęczonych, przekrwionych oczach - rzucił jakby od niechcienia:

- Pamiętam jedną taką sprawę, w której dwóch agentów wywiadu wojskowego przekazywało sobie wzajemnie same tylko adresy różnych instytucji.

Major spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Rozwiązaliście to?

- Tak. To było proste. Przedostatni adres oznaczał zawsze miejsce następnego ich spotkania. Wpadliśmy na to szybko. Ale tutaj... W poprzedniej informacji nie było żadnych adresów, więc to chyba nie to.

- Ja pamiętam szyfry, w których adres oznaczał nazwisko spalonego agenta albo kilku agentów - zauważył drugi pracownik. - Posługiwanie się adresami to bardzo znany sposób przekazywania informacji, powiedziałbym nawet: oklepany. Dlatego... - urwał i uśmiechnął się z zażenowaniem. - Dlatego właśnie spieraliśmy się przed chwilą. Bo...

- Uważam - rzekł cierpko starszy pracownik - że należy poczekać kilka dni. Jeżeli nadejdzie jeszcze jedna wiadomość, może zestawienie tych trzech pomoże nam w rozwiązaniu zagadki.

- Czekaniem nic nie załatwisz - mruknął tamten.

- No więc próbuj! - zachnął się łysy. - Ja na dziś mam już dosyć. Północ minęła.

Wstał zza biurka, zamknął z hałasem szufladę i zaczął ostentacyjnie składać rozrzucone papiery. Już czwarty dzień wychodził z Centrali o tej godzinie. Był starym fachowcem i świetnym pracownikiem, ale jego słabe zdrowie nie wytrzymało ostatnio

nawału roboty. Pomyślał przelotnie, że trzeba będzie chyba wziąć wreszcie zaległy urlop.

*

W gabinecie Wichurskiego czterej mężczyźni i jedna kobieta od paru godzin omawiali wyjątkowo trudne zadania, postawione im przez szefa wydziału.

- Brak punktu zaczepienia - powtórzył Wichurski dwukrotnie.

To była podstawowa trudność, o którą się potykali co chwila, kiedy któryś rzucał coraz to nowe koncepcje.

- Nie mamy wyjścia na ich bazę - stwierdził kapitan Zientara, pracownik „trójki”. Od szeregu lat tkwił po uszy w przemyśle i Wichurski bardzo sobie cenił jego obecność w grupie. O kapitanie mówiono w Centrali, że nigdy nie zawodzi.

- Właśnie dlatego - rzekł major - problem środowiska, z którego mógł być zwerbowany agent czy też agenci, musimy na razie odłożyć na dalszy plan.

- Majorze, jak uzgadniamy kontakty? Wy jedziecie jako inspektor Najwyższej Izby Kontroli i będziecie przez pewien czas osobą występującą, że tak

powiem, oficjalnie. Ale to nam może trochę utrudnić współpracę z wami.

- Kontakty omówimy szczegółowo dopiero po zatwierdzeniu planu przez pułkownika - odparł Wichurski po chwili namysłu. Sam jeszcze w tej chwili dokładnie nie wiedział, jak grupa będzie się wzajemnie porozumiewać.

Porucznik Ewa Jasińska podniosła na mówiącego swoje ładne, ciemnoniebieskie oczy i lekki uśmiech przewinął jej się przez wargi.

- Nie możemy się przecież ograniczyć jedynie do gmachu służby bezpieczeństwa - zauważyła. - A z drugiej strony, niemożliwe jest w tej chwili ustalenie żadnych konkretnych form kontaktowania się, bo po prostu nie wiemy kiedy, kogo i gdzie będziemy szukać.

- Wiatru w polu - mruknął porucznik Nowakowski, przeciągając się w fotelu ze znużeniem.

Zientara obrzucił go karcącym spojrzeniem.

- Aby cię ten wiatr solidnie nie oziębił - powiedział surowo. - Towarzyszu majorze, wydaje mi się, że Jasińska ma rację. O kontaktach możemy przecież mówić tam, na Śląsku, jak sytuacja się trochę wyjaśni. A zwłaszcza gdy będziemy wszyscy

zorientowani w obecnym systemie pracy hut cynkowych. Moim zdaniem trzeba zwrócić specjalną uwagę na tajną kancelarię dyrektora i na obieg dokumentacji. Tutaj może się kryć źródło, z którego czerpane są informacje. Wiemy wszyscy o tym, że...

- Oho, Zientara zaczyna referat - szepnął Nowakowski, przechylając się z krzesłem w stronę Ewy. - Masz papierosa?

Podawała mu otwarte pudełko „Grunwaldów”.

- Eee... - skrzywił się. - Takie siano. I gryzie, i zaciągnąć się nie można przyzwoicie.

- Major pali mocne, weź od niego. A w ogóle nie przeszkadzaj.

- Siedziałem ostatnio przy kilku sprawach, które wydział śledczy skierował już do prokuratury - mówił dalej kapitan Zientara. - Bałagan w obiegu dokumentacji, wydawanie na parę dni dokumentów, które w tym samym dniu powinny wrócić do szafy pancерnej, a nawet - co już jest zupełnym skandalem - wyrzucanie do kosza kalki maszynowej, to wszystko stwarza idealne warunki do ujawniania tajemnicy państwowej.

Porucznik Skowroński - wysoki, przystojny brunet - ziewnął dyskretnie i spojrzał na zegarek.

- Proponuję, majorze - ciągnął Zientara - aby jedną z pierwszych naszych czynności po przyjeździe było dokładne przyjrzenie się sprawom.

- Jak to sobie wyobrażacie w praktyce?

- Oczywiście, nie my sami. I nie za pośrednictwem inspektorów kontroli resortowej. Ale...

- Jest przecież wśród nas inspektor NIK-u z szerokimi uprawnieniami - rzucił Nowakowski.

Wichurski uśmiechnął się kącikami ust.

- Ale - mówił kapitan, niezadowolony, że mu przerwano - do tej roli trzeba wykorzystać tylko i wyłącznie terenową służbę bezpieczeństwa i jej poufne informacje.

- Materiały - dodał major - z okresu co najmniej jednego roku. Sądzę, kapitanie, że to wy się zajmiecie analizą tych materiałów. Odpowiada wam to?

- Owszem - odparł Zientara z nietajonym zadowoleniem. - Mam w tej dziedzinie trochę doświadczenia.

- Ewa - Wichurski spojrzał na nią przelotnie, a w jego oczach zabłysła jakaś iskierka - jako doświadczony prawnik i dobry psycholog, obdarzona, jak wiemy, dużą intuicją...

- Oho! - mruknął znowu Nowakowski i umilkł speszony, bo major obrzucił go krótkim, ostrym spojrzeniem.

- Ewa zajmie się prawdopodobnie inwigilacją. To najczulsza strona naszego zadania. I najtrudniejsza.

Jasińska uśmiechnęła się lekko. Nie obawiała się trudnego zadania. Pracując od ośmiu lat w kontrwywiadzie, dostawała już niejednokrotnie podobne polecenia. Poza tym pociągała ją współpraca z Wichurskim.

Ze współpracy takiej cieszyłby się niejeden pracownik Centrali. Partyzant Armii Ludowej, oficer oddziałów zwiadowczych I Armii, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Grunwaldu, a później Orderem Odrodzenia Polski... Podziwiano go, szanowano, zazdrozczono.

Po wyjściu z wojska, mimo trudnej i absorbującej pracy w Centrali, Wichurski potrafił jednak skończyć wyższe studia prawnicze. I to również wzbudzało szacunek.

- Poruczniku Skowroński - zwrócił się z kolei do przystojnego bruneta. - Do was będzie należała łączność pomiędzy naszą grupą a Warszawą i współdziałanie z komórkami pomocniczymi. Zwłaszcza z „szyframi” i z „czwórką”.

- A na miejscu?

- Na Śląsku? Będziecie w czasie całej naszej akcji pracować w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa. Nie widzę tu, niestety, dla was nic specjalnie atrakcyjnego - uśmiechnął się. - Ciągłe, systematyczne utrzymywanie kontaktów pomiędzy nami a Centralą i między pracownikami grupy. Organizowanie, w razie potrzeby, pomocy ze strony służby bezpieczeństwa, a nawet milicji. Cóż jeszcze... Właściwie, to przede wszystkim koncentrowanie w waszym ręku wyników akcji.

- A ja? - spytał Nowakowski, gasząc papierosa.

- Wy? Metalowiec, specjalista od cynku - i jeszcze pytacie? Fachowa pomoc, ocena i tak dalej. Sami wiecie. W razie potrzeby również pomoc dla Ewy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł porucznik szeptem, a głośno odparł: - Oczywiście, towarzyszu majorze.

*

Pociąg pośpieszny do Katowic ruszył z Dworca Głównego. Jakiś spóźniony pasażer, gwałtownie machając rękami, biegł przez krótką chwilę wzdłuż przesuwających się wagonów, wreszcie uczeplił się i wisiał tak, nie mogąc otworzyć drzwi. Ulitował się

nad nim jeden z podróżnych, który z zainteresowaniem obserwował przez okno ten bieg za pociągiem. Otworzył drzwi i zziębnięty, czerwony na twarzy mężczyzna wylądował szczęśliwie w jednym z przedziałów.

Ewa Jasińska odetchnęła z zadowoleniem. Przymknęła okno, poprawiła rozburzone wiatrem włosy i wróciła do przedziału.

Major Wichurski odsunął się, robiąc jej miejsce pod oknem. Jechali jako „małżeństwo”, mieli na palcach obrączki i wyglądali na oko jak zakochana, niedawno poślubiona para. Elegancki, tweedowy kostium Ewy i ciemnobrązowe, świetnie skrojone ubranie majora prezentowały się bardzo dobrze w przedziale pierwszej klasy pośpiesznego pociągu.

Prócz nich, w kącie przy drzwiach, zdawał się drzemać od pierwszej chwili mężczyzna o szczupłej twarzy i sennych oczach. Nie miał walizki, tylko skromną torbę z imitacji skóry, a jego wiatrem podszyta jesionka wzbudzała jeżeli nie litość, to w każdym razie współczucie. Wydawało się trochę dziwne, że podróżuje pierwszą klasą i major osądził, że jest prawdopodobnie pracownikiem PKP.

Miejsca naprzeciw nich zajęli dwaj mężczyźni, bardzo zaaferowani, jak gdyby kończyli teraz od

dawna ciągnącą się rozmowę. Wyższy z nich, tęgi, w wieku około czterdziestu pięciu lat, o szerokiej, zdrowej twarzy, takiej, o której mówi się zazwyczaj, że jest dobroduszną i szczerą – wpakował na siatkę grubo wypchaną torbę skórzaną i teraz spoglądał na nią co pewien czas niechętnie. Widocznie zawartość torby przyczyniała mu trochę kłopotu.

Drugi mężczyzna, o chudej, wystającej grdyce, która wciąż mu się poruszała jakby coś przełykał, miał typowy wygląd urzędnika, ze swoją bladą twarzą, lekko zaczerwienionymi powiekami zmęczonych widać oczu i zapadniętą klatkę piersiową. W tonie, jakim się zwracał do swego towarzysza, była ledwo dostrzegalna nutka ugrzecznienia czy nieśmiałości.

Kiedy pociąg ruszył, wyższy wstał i wyszedł, mówiąc do tamtego, że kupi w wagonie restauracyjnym bloczki na dwa obiady. Po paru minutach wrócił trochę zagniewany. Okazało się, że na pierwszą turę wszystkie bloczki zostały wykupione, kiedy pociąg jeszcze stał na peronie, i starszy kelner poradził, aby od razu wykupić na drugą turę, od Kuluszek.

- Kupiliście? - spytał niższy.

- Tak.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

- Ale wiecie - zaczął mężczyzna z chudą grdyką - że postawienie sprawy przez Domagalskiego było zupełnie beznadziejne. Przecież on nie bierze wcale pod uwagę, że u nas w hutnictwie istnieją plany inwestycyjne, że istnieją jakieś normy finansowe, które nam nie pozwalają na takie wysokości, jakie on proponował.

- A wy patrzycie na to tylko oczami księgowego - odparł wyższy trochę niecierpliwie. - Trzeba rozumować elastyczniej - wykonał parę nieokreślonych ruchów ręką. - Plany w różnych sytuacjach mogą ulegać zmianom. I powinny.

- Dyrektorze, no to po co te plany, jeżeli wciąż je mamy zmieniać? - zachnął się mężczyzna, nazwany księgowym.

- Przecież za tym stoi cała produkcja, przygotowanie materiałowe, surowcowe, a teraz to wszystko musimy przerabiać. Taka kołomyjka rozbija całą robotę.

Dyrektor wzruszył ramionami. W gruncie rzeczy zgadzał się z księgowym, ale co tu było jeszcze do dysputowania, jeżeli wszystko i tak zostało tam, w Warszawie, uchwalone, podpisane i kropka.

Uczuł ból w kolanie, mruknął, że pewnie będzie deszcz. Księgowy popatrzył przez okno i kiwnął głową. Na dworze, mimo wczesnego popołudnia, było szaro, wiatr zginał do ziemi przydrożne krzaki i rozrzucał po polach garście zeszłorocznej, zeschniętej trawy.

Mężczyzna w rogu przedziału nakrył głowę płaszczem i pewnie usnął. Ewa spoglądała w zadumie na przesuwane się za oknem zabudowania jakiejś stacji. Myślała trochę o tym, jak będzie wyglądać ich robota, zwłaszcza kiedy szefem grupy jest sam Wichurski. Jechali razem na jego wyraźne życzenie. W jednym z dalszych wagonów drzemał pewnie lub czytał Nowakowski. Reszta grupy miała przyjechać dopiero na drugi dzień.

Księgowy zachrapał donośnie, ocknął się i przetarł oczy. Potem przyjrzał się dyrektorowi i nagle spytał z niepokojem:

- Wzięliście wszystkie sprawozdania?
- Tak. Czekać, jeszcze sprawdzę...

Dyrektor wstał, sięgnął na półkę i zdjawszy stamtąd swoją pękatą torbę, położył ją sobie na kolana. Przez chwilę mocował się z upartym zamkiem, syknął z bólu, bo zadrasnął sobie palce, wreszcie zamek puścił i torba się otworzyła. Na

samym wierzchu była kolorowa, kraciasta piżama, ręcznik, przybory toaletowe, wszystko w wielkim nieładzie. Ich właściciel nie należał widać do ludzi zbyt systematycznych. Wreszcie pod ręcznikiem ukazały się dwie różowe, tekturowe teczki, związane kokieteryjnie na kokardkę. Jedna miała napis: *Sprawozdanie roczne huty*, druga: *Sprawozdanie kwartalne*.

Spod różowych teczek wysunęła się trzecia, zielona, bez żadnego napisu. Dyrektor popatrzył na nią ze zdziwieniem. Księgowy patrzył również, a jego jasne, postrzępione brwi unosiły się coraz wyżej i wyżej. Przechylił się w stronę dyrektora i rzekł konspiracyjnym szeptem:

- Po cóż zabieraliście plany produkcji specjalnej?

- Psiakrew, musiały mi się zaplątać między teczkami... Zresztą, nie jest to takie ważne, i tak będziemy prawie wszystko zmieniać. Zabiorę to do siebie, rano oddam do tajnej kancelarii i będzie spokój. Słowo daję, zupełnie nie rozumiem, dlaczego to zabrałem...

- Na konferencję nie było przecież wcale potrzebne. - W głosie księgowego dało się zauważyć lekką naganę.

- Tak, ale jednak mogło się przydać.

- Powiedzcie sami, dyrektorze... a gdyby tak ta teczka zginęła?

Dyrektor wzruszył ramionami.

- No, cóż. Ostatecznie nie kwitowałem w tajnej kancelarii odbioru. Gdyby zginęła, naczelny ma u siebie oryginał.

- Byłoby wam jednak trudno się wytłumaczyć.

Dyrektor nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek, potem na budynki przesuwane się za oknem i wstał, zapinając marynarkę.

- Idziemy? - spytał księgowy.

- Tak. Zaraz Koluszki.

- Przepraszam - wtrącił nagle mężczyzna z rogu przedziału, który od pewnej chwili nie spał, lecz czytał gazetę. - Nie wiecie, panowie, przypadkiem, czy można jeszcze wykupić bloczek na obiad?

- Sądzę, że tak - odparł dyrektor. - Nie ma specjalnego tłoku w pociągu.

Sięgnął po torbę i zastanawiał się przez chwilę. Była ciężka, nie chciało mu się jej zabierać do wagonu restauracyjnego. Spojrzał na młodego człowieka, ale ten najwidoczniej miał zamiar iść na obiad. Zwrócił więc wzrok na siedzącą naprzeciw parę i, przywołując na usta uprzejmy uśmiech, co na widok Ewy nie było wcale trudne, zapytał:

- Czy państwo również wybierają się teraz na obiad?

- O, nie! - Ewa odwzajemniła się uśmiechem. - Myśmy się sami zaopatrzyli na drogę. Zresztą mężowi nie służy kuchnia restauracyjna.

- W takim razie, czy możemy państwa prosić o zwrócenie uwagi na nasze rzeczy? - Wskazał na obie teczki i płaszcz. - Państwo chyba nie wysiadają przed Katowicami?

- Nie - odparła Ewa. - Dobrze, zaopiekujemy się rzeczami.

Młody mężczyzna wysunął się z przedziału, podążając w stronę wagonu restauracyjnego. Za nim wyszli dwaj zgłodniaли i zmęczeni konferencją pracownicy huty.

- Widzisz - odezwał się major, kiedy tamci oddalili się już od drzwi przedziału - masz tu od razu kapitalny przykład na to, co mówił Zientara. Dyrektor huty zabiera ze sobą w teczce tajne dokumenty i wcale o tym nie wie. Gdzie on je, do jasnej cholery, trzymał w tym swoim biurze? Dlaczego nie oddał przed wyjazdem? Ja bym takiego faceta z miejsca wylał z kierowniczego stanowiska. A przynajmniej zdrowo nauczył rozumu.

- Ale popatrz, jakie ma do nas zaufanie! - uśmiechnęła się Ewa, wskazując torbę z dokumentami.

- Ciekawe, czy do nas obojga, czy też tylko do twoich pięknych oczu...

- Zostaw. Mnie zaciekawia coś innego.

- Ten młody człowiek, który razem z nimi wyszedł na obiad?

- Tak. Nie dziwiłabym się, gdybyśmy się jeszcze z nim spotkali.

- W jakich okolicznościach?

- Och, nie wiem...

Nie chciała bliżej sformułować swojej myśli, a major nie nalegał.

Po dobrej godzinie obaj „hutnicy” wrócili z zadowolonymi minami do przedziału. Bystrzejszy obserwator dostrzegłby, że nie obyło się bez wzmocnienia ducha i ciała kilkoma „głębszymi”. Tuż za nimi cicho wsunął się młody mężczyzna i znów zagłębił się w czytaniu gazety.

Dyrektor zapalił papierosa i zwrócił się do Ewy:

- Bardzo pani... - poprawił się szybko - państwu dziękuję za opiekę nad rzeczami.

- Ależ proszę bardzo. To drobiazg - odparł Wichurski.

- Konferencja w ministerstwie trwała tak długo, że nie zdążyliśmy już nic zjeść przed odjazdem.

- Ach, te konferencje! Zabierają człowiekowi połowę wolnego czasu, a nie zawsze przynoszą pożytek - westchnęła Ewa.

Księgowy spojrział na nią z pełną aprobatą.

- Zwłaszcza kiedy próbują na nich zmieniać to, co już od dawna zostało ustalone - rzekł niechętnie. Myśłami wciąż jeszcze tkwił na sali ministerstwa.

- Takie plany - zaczęła Ewa z namysłem - to się chyba przecież ustala raz na kilka lat?

- Różnie bywa - dyrektor uśmiechnął się wyrozumiale. - Wydaje mi się jednak, że pani chyba nie musi zaprzętać sobie głowy konferencjami i planami?

- Kiedy to bardzo ciekawe - odparła.

- Jak czasem. - Obaj panowie z huty spojrzeli na siebie z rozbawieniem. - To są - mówił dalej dyrektor - bardzo poważne zagadnienia. Hutnictwo to nasze dewizy. Nie tylko węgiel idzie za granicę, ale i cały szereg wyrobów hutniczych.

- A jednak - wtrącił major, który wyglądał jakby się nagle obudził - węgiel, jak dotychczas, jest

naszym podstawowym surowcem eksportowym.

- Oczywiście. Ale niech pan weźmie na przykład elektrody. Albo produkcję specjalną.

- W hutnictwie? - spytała Ewa.

- Tak. Są to specjalne asortymenty, bardzo ważne dla przemysłu państwowego.

- To pan chyba jest jakimś ważnym dyrektorem - rzekła w podziwieniu.

- Poniekąd tak. W tej teczce, którą pani się zaopiekowała, są na przykład dokumenty, które znają tylko trzy osoby w kraju: naczelny dyrektor huty, minister - i ja!

Księgowy chrząknął i poruszył się niespokojnie...

- Niedługo dojeżdżamy - powiedział, chcąc odwrócić uwagę dyrektora od spraw, które znają tylko trzy osoby. Ale dyrektor już się rozpędził.

- Taka produkcja ma, jak już mówiłem, ogromne znaczenie. Mamy przecież w Polsce wielu zdolnych specjalistów, nowe wynalazki, wiążące się również i z produkcją specjalną.

- Czy to duża fabryka, w której pan pracuje?

- No, huty cynku nie można nazwać fabryką - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Gdyby pani sama, nawet bardzo powierzchownie, przyjrzała się pracy

takiej na przykład huty „Zjednoczenie”, zrozumiałaby pani, czym jest dla nas cynk. Ostatnio jeden z młodych, zdolnych inżynierów wpadł na pomysł... – urwał i chrząknął. – Tak, oczywiście, bliżej o tych rzeczach się nie mówi.

– Zwłaszcza w pociągu – szepnął księgowy, który aż pobladł z irytacji. Ten bałwan dyrektor ma stanowczo za długi język. Niech ktoś usłyszy i doniesie gdzie trzeba, a będzie dopiero ładny pasztet! Potem, jak zwykle, dyrektor się wyłga i wszystko skrupi się na księgowym.

Pociąg zwalniał coraz bardziej, po obu stronach wagonu błyszcząły światła Katowic. Dojeżdżali.

Rozdział 2

Dochodziła czwarta rano. Dzień wstawał chłodny, niebo było czyste i pogodne. Kwiecień, tak kapryśny tego roku, kończył ostatnią dekadę pod znakiem słońca.

W hucie cynkowej „Nadzieja” szmelcerzy od pół godziny byli już przy pracy. Majster oddziału pieców muflowych, krzywonogi, pokaszlujący Bernard Wyciślik, przechodził od stanowiska do stanowiska roboczego i kręcił nosem. Coś mu się nie zgadzało. Przecież wszyscy przyszli, jak zwykle, o trzeciej. Nikogo nie brakowało. Teraz jednak młody Kowol obsługuje dwa piece.

- Kaj się podziół stary Ganysz? - mruknął do siebie, przecierając zaspane oczy.

Ktoś stanął tuż za nim i powiedział:

- Dzień dobry, panie majster. Co nowego?

Odwrócił się, trochę zdziwiony. To był ten nowy inżynier z Krakowa, co go po Akademii na praktykę przysyłali. Kowalski czy Kowalewski, jakoś tak.

- A nic, panie inżynierze. - Nie chciał mówić o Ganyszu.

- Jeden szmelcerz nie przyszedł dziś do pracy. Zachorował - rzekł inżynier Kowalski, odpinając guzik przy kołnierzu wiatrówki, bo w hali było gorąco. - Walenty Ganysz. Zresztą, pewnie już wiecie.

- A tak - przyznał majster skwapliwie i pomyślał zdziwiony: „skąd ty pieron wie?” - Kowol robi na dwóch piecach.

Nagle przypomniało mu się, że u Ganyszów wczoraj było wesele. Córkę wydawali za męża. Stary „zachorował”, bo się pewnie spił.

Tymczasem inżynier podszedł do pieca, uważnie przyglądając się muflom. Zdawało mu się, że w jednym miejscu jakby troszkę jedna z nich była nieszczelna. Tlenek cynku mógł się wówczas ulatniać.

- Jaka temperatura? - spytał szmelcerza.

- Tysiąc - odparł tamten, przelotnie rzucając okiem na termometr. Było dopiero osiemset. Ciekaw był, czy inżynier to zauważy.

Od tygodnia szmelcerze i zlewacze próbowali na wszystkie znane im sposoby przyłapać nowego inżyniera na jakimś błędzie. Zachowywali się tak

zresztą wobec każdego, kto przychodził do huty na kierownicze stanowisko.

Kowalskiego, który wszystko dostrzegł, bawiło to trochę. Nie odczuwał w tym wyraźnej złośliwości, lecz coś w rodzaju psotnej gry. Z ochotą poddał się jej wymogom, wytykając natychmiast każdy spostrzeżony błąd i reagując na każdą próbę, jakiej go poddawano.

Toteż i teraz uniósł brwi w górę z udanym zdumieniem i powiedział:

- Wyście pewnie też byli na weselu, co? Ćmi wam się jeszcze w oczach. O tej godzinie temperatura powinna już przekraczać tysiąc stopni, a nie wlec się na ośmiuset.

Szmelcerz opuścił głowę, kryjąc śmiech. Grał w drużynie „Zabrze”, był zagorzałym wielbicielem sportu i teraz pomyślał: „Jeden - zero dla tego krakowskiego gacka”. A majster podrapał się po nieogolonej brodzie, usiłując wydedukować, skąd inżynier wie o Ganyszowym weselu.

Tymczasem Kowalski opuścił oddział pieców muflowych, przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajrzeć do hali kwasu siarkowego, ale rozmyślił się i podążył w stronę stołówki. Dochodziło wpół do piątej, należało zjeść śniadanie.

W dużej, cieplej sali było niemal pusto, tylko przy bufecie krzątała się przysadzista blondynka, ścierając ladę, mokrą od rozlanego piwa. Na widok przystojnego inżyniera odłożyła ścierkę i śpiesznie wytarła ręce w fartuch. Wiedziała już, że zaraz podejdzie, przywita się – może nawet pocałuje w rękę, a potem poprosi o herbatę.

- Dzień dobry, pani Ireno – usłyszała miły, metaliczny głos. – Ślicznie pani dziś wygląda. Dobrze się spało?

- Dobrze, ja zawsze dobrze śpię – roześmiała się. Nagle zrobiło jej się wesoło. Poprawiła rozrzucone włosy, ukradkiem rzuciła okiem do lusterka, leżącego z boku, przy gablocie. „Nos się świeci” – pomyślała z przestrawieniem. – Herbaty panu dać czy białej kawy?

- Może być kawa. I ze dwie bułeczki z serem. Jak to miło, że mogę sobie trochę z panią pogadać. Wie pani, nie znam tu jeszcze prawie nikogo i trochę mi tęskno za Krakowem.

- O, ja pana rozumiem – westchnęła. – Jak człowiek nie ma do kogo ust otworzyć, to smutno. Kiedyś przyjeżdżał tu przez parę tygodni taki referent z jednej spółdzielni... Oni tutaj pracowali, coś budowali. Też się skarżył, że tęskni za domem, bo tutaj nikogo nie znał. Ciągle do mnie przychodził –

zaśmiała się i zarumieniła, nie wiadomo czemu. - Nawet przystojny był z niego chłopak. Tylko trochę natrętny...

- Jak ja? - spytał Kowalski i pochylił się ku niej przez ladę. Odsunęła się trochę, bo w głębi sali jeszcze ktoś siedział.

- Nie, co też pan... Tamten był inny. Zresztą po trzech tygodniach wyjechał.

- Dlaczego?

- Wie pan, ta spółdzielnia podobno źle pracowała czy coś takiego. Później przyjechali inni...

- Inna spółdzielnia?

- Tak. Są tu przecież od paru dni. Musiał pan ich widzieć. Kierownik wstąpił raz na piwo. Taki łysawy, w okularach. Podobno bardzo pracowity, ale niesympatyczny.

- A ja, jaki jestem? - dopytywał, przytrzymując dłonią jej szorstką, wilgotną rękę. - Bardzo niemiły?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Odeszła od lady, położyła na talerz dwie najładniejsze, rumiane bułeczki z serem, nalała do porcelanowego kubka kawy, palcem wyciągnęła pływający na powierzchni jakiś okruch. Spojrzała do gablotki. Były tam jeszcze wczorajsze pączki i tort orzechowy.

- Może podać panu coś słodkiego? - spytała z wahaniem i zaraz pożałowała tego pytania, bo Kowalski odparł z półuśmiechem, patrząc jej prosto w oczy, że owszem, ale nie teraz i nie tutaj... może, jak wybiorą się wieczorem do kina, to wtedy. Udała, że nie zrozumiała aluzji. Na kino jednak zgodziła się bez namysłu. Nie codziennie trafiał jej się taki ładny chłopiec i w dodatku inżynier.

Jedząc śniadanie przy stoliku, zaczął się z nią teraz droczyć, wypominając owego referenta ze spółdzielni, potem kierownika wydziału gospodarczego, chudego Alojza, z którym widział ją trzy dni temu na ulicy - a nawet majstra Wyciślika, na co już się oburzyła, bo stary i z krzywymi nogami.

Po wyjściu ze stołówki Kowalski przesiedział aż do jedenastej w biurze, a potem wyszedł znowu do oddziału pieców. Szmelcerze skończyli już robotę. Wczesnym wieczorem przyjdą na ich miejsce zlewacze, ale do wieczora było jeszcze daleko. Inżynier zajrzał do siarkowni, pokręcił się trochę przy magazynie, potem odwiedził laboratorium analityczne i wdał się w dłuższą fachową dyskusję z chemikami na temat rafinacji cynku metodą „New Jersey”. Wreszcie uznał, że pora na obiad.

*

Kapitan Zientara odsunął niecierpliwie podaną mu teczkę.

- Nie tę, poruczniku - powiedział tonem lekko poirytowanym. - Mówiłem wam przecież, że chodzi mi o ostatni protokół.

Porucznik z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa spojrział na teczkę, zafrasował się i westchnął.

- A prosiłem w kancelarii, żeby ostatni... - szepnął nieosobowo. Starając się nie robić hałasu swymi ciężkimi butami, ostrożnie wyszedł z gabinetu.

Zientara znowu pogrążył się w studiowanie protokołów. Robił to z wrodzoną sobie pedanterią, analizując z namysłem zdanie po zdaniu, chwilami nawet odczytując je półgłosem.

W pewnej chwili skrzywił się niechętnie.

- Głędzi... - mruknął, sięgając po szklankę z wystygłą herbatą. Jakiś nie znany bliżej inspektor kontroli resortowej zabawiał się w przydługie, zupełnie zbyteczne opisy.

... Kancelaria tajna zatrudnia trzech pracowników. Każdy z pracowników,

zatrudnionych w wyżej wymienionej tajnej kancelarii, ma określoną funkcję, wynikającą z zatwierdzonego przez naczelnego dyrektora huty podziału czynności dla tejże tajnej kancelarii. Do zadań kierownika kancelarii należy...

- Co za bałwan! - rzucił do siebie, odkładając protokół. Inspektor, widocznie nie bardzo wywiązawszy się ze swego zadania, nie miał o czym pisać. Wpakował więc do protokołu całą niemal instrukcję.

Drzwi skrzypnęły, wrócił porucznik niosąc kilka teczek. Jedną położył na biurku przed kapitanem, inne umieścił na wszelki wypadek na sąsiednim stoliku.

- To jest już na pewno ostatni protokół z huty „Nadzieja”. Pierwszy kwartał tego roku. Proszę...

Zientara skwitował teczkę krótkim chrząknięciem. Jego gruby, czarny brulion zdawał się pęcznieć z każdą godziną od wciąż przybywających notatek.

- Jakież aktualne sygnały stamtąd?

- Jakież... to znaczy... nie rozumiem, o co pytacie, kapitanie.

Zientara westchnął.

- Pytam, czy od czasu ostatniej kontroli macie jakieś nowe informacje z huty „Nadzieja”?

- Nie. Nic takiego nie mieliśmy.

Porucznik spojrział ukradkiem na zegarek. Było po szóstej. Ten zasuszony pedant trzyma go tu już blisko dziewięć godzin. Kiedyż wreszcie zechce iść na obiad czy gdziekolwiek, choćby do diabła. Czy oni tam w Warszawie w ogóle nie jedzą?

- Kapitanie, nie jesteście głodni? - odezwał się zachęcającym tonem. - U nas jest klub, można tam bardzo dobrze zjeść.

- Później - uciął krótko Zientara. - Gdzieżecie podziali ten protokół? Aha, jest...

Otworzył teczkę, przerzucił kilka papierów. Nagle spojrział na zgnębioną twarz młodego oficera i cień uśmiechu przewinął mu się po wargach.

- Idźcie już do domu - rzekł łagodnie. - Wyglądacie na zmęczonego.

„Po takiej orce?” - pomyślał porucznik, a głośno powiedział:

- Miałem dziś dużo swojej roboty. Wiecie, wciąż te historie z rewizjonistami... Od kilku dni kręcimy bez przerwy sprawę ulotek, które rozrzucono w jednej z fabryk. Mamy zresztą ciekawe wyjście na te sprawy. Papier, na którym ręcznie napisano ulotki, pochodzi z

paczek przysyłanych z NRF dla rzekomych tutejszych rodzin. Ale najważniejsze już mamy: wiemy, kto te paczki otrzymywał i w jakiej ilości. Prawdopodobnie liczba ulotek odpowiada ilości papieru, który był użyty do zawijania paczek.

- Po co oni robili ulotki właśnie na tym papierze?

- Tam były stemple różnych organizacji politycznych w NRF. Oczywiście, przede wszystkim związku przesiedleńców.

Porucznik wyszedł. Zientara dopił herbatę i sięgnął po następny protokół.

... kiedy zakończono budowę laboratorium analitycznego. Zapoznałem się również ze wszystkimi dokumentami, związanymi z zabezpieczeniem laboratorium oraz z wykonaniem wszelkich prac pomocniczych. Kierownictwo huty słusznie, moim zdaniem, nie zlecało przeprowadzenia drobnych robót w laboratorium wielu instytucjom, ograniczając się do dwóch: Zakładów Mechanicznych nr 6 w Zabrze oraz Spółdzielni Pracy Wyrobów Metalowych „Mechanik” w Katowicach. Przejrzałem rachunki i zlecenia, nie

analizując ich jednak merytorycznie i formalnie. Prace, które wykonywała spółdzielnia „Mechanik”, nie mogły być w tak szybkim terminie wykonane przez zakład państwowy, a spółdzielnia „Mars”, która poprzednio przyjęła od huty takie zlecenie, nie wywiązała się z umowy.

Od paru minut kapitan czytał protokół ze wzrastającą uwagą. Czy tam była rzeczywiście potrzebna spółdzielnia? Właśnie spółdzielnia? Przy budowie laboratorium analitycznego? Hm... I co oni tam właściwie robili?

Zastanawiał się przez chwilę, ściągając brwi i wydymając wargi. Trzeba będzie to sprawdzić – pomyślał.

*

Wartownik odstawił karabin i usiadł, wyciągając nogi daleko przed siebie. Skończył właśnie obchód całego gmachu Katowickiego Zjednoczenia Hut Cynkowych, a po takiej wędrówce – cztery piętra i siedemdziesiąt dwa pokoje – każdy czułby się zmęczony. Poza tym dochodziła dziewiąta wieczór, był więc najwyższy czas na kolację.

Wyjął z szafki termos z kawą, rozłożył na brzegu stołu czysty ręcznik, na nim postawił fajansowy półlitrowy kubek. W torebce nie było już cukru, więc sklął pod nosem „pieronów” i „farmazonów”, co dobrali się widać do jego szalki. Kiedy zatopił zęby w grubej kromce chleba z salcesonem, u drzwi rozległ się donośny dzwonek.

- W porę... - mruknął, odkładając chleb, ale przypomniało mu się, że parę dni temu jakieś niegodziwe łobuziaki płoszyły mu w ten sposób smaczny sen. Więc wychylił się z dyżurki na schody i krzyknął w stronę drzwi:

- Wynośta się, bo nogi z tyłka powyrywam!

Dzwonek umilkł, jakby zdumiony, a potem ktoś zaczął mocno pięścią walić do drzwi.

- Musi kontrola - szepnął wartownik, połykając śpiesznie plaster wędliny, po czym porwał za karabin, nacisnął czapkę i stukając głośno butami zszedł do wyjścia. Otwierał ostrożnie, niechętnie, ale na widok znajomej twarzy kapitana z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa wyprostował się i odsapnął z ulgą. Najwięcej bał się swego dyrektora.

- Dobry wieczór! - pozdrowił go kapitan. - Przyszliśmy na kontrolę zabezpieczenia dokumentów.

To są towarzysze od nas i z Inspektoratu Ochrony Przemysłu.

- Szczęść... tego, cześć pracy! - powiedział wartownik z godnością i odsunął się, aby przepuścić wchodzących. Uważał, że do każdego należy odzywać się wedle jego obyczaju. Czasem tylko trochę mu się myliło. - Dać klucze od pokojów?

- Tak, poproszę...

Podał kapitanowi pęk kluczy i poinformował go konspiracyjnym szeptem, że właściwie to na każdym piętrze wystarczy jeden klucz, który otwiera wszystkie pokoje, ale o tym wie tylko dyrektor administracyjny i strażnicy. Tak jest zrobione po to, aby kontrola była łatwiejsza. Nie dodał zaś, że raczej po to, aby strażnicy nie musieli dźwigać na górę całego wora z kluczami.

Prócz kapitana w komisji kontrolnej znajdowały się jeszcze trzy osoby: Ewa Jasińska, Skowroński i młody porucznik z ochrony przemysłu, który nie miał pojęcia, jaki jest rzeczywisty cel kontroli.

Weszli na pierwsze piętro i przystanęli. Ewa, rzuciwszy na porucznika z ochrony przelotne spojrzenie, odezwała się obojętnym tonem:

- Tak jak się umówiliśmy, teraz się rozdzielamy. Ja z kapitanem pójdę do działu kadr, a wy, towarzysze,

obejrzyjcie sobie tymczasem pokoje i biurka w innych działach. Zwłaszcza proszę zwrócić uwagę, czy w koszach od śmieci nie ma wyrzuconej kalki i czy biurka są należycie pozamykane. Sądzę, że nie powinniśmy być tu dłużej niż półtorej – no, dwie godziny.

Porucznik chciał spytać, dlaczego tak krótko, ale nie zdążył. Skowroński ujął go pod ramię, mówiąc coś żartobliwie, i pociągnął za sobą na wyższe piętro.

Kapitan wraz z Ewą przeszli do gabinetu kierownika działu kadr. Zastłony na oknach były opuszczone, mimo to Jasińska sprawdziła dokładnie ich szczelność, obawiając się, by światła w gmachu nie przywołały przypadkiem kogoś z dyrekcji Zjednoczenia. To by było zupełnie niepotrzebne, mogłoby sprawić im tylko poważny kłopot.

- Mam nadzieję, że nikt ze Zjednoczenia Hut Cynkowych o tym nie wie? - wołała się upewnić, choć raz już o to pytała.

- Jasne, że nie - odparł kapitan z odrobiną zniecierpliwienia w głosie. - Jutro dowiedzą się od strażnika. Ale to nie zaszkodzi.

- Dyrektor zadzwoni pewno do Inspektoratu Ochrony Przemysłu. Tam mu powiedzą, że była kontrola „po linii zabezpieczenia tajemnicy

służbowej”, więc będzie próbował wymacać, czyśmy coś znaleźli.

Roześmieli się.

- Gdyby wiedział, czego naprawdę szukamy... No, kapitanie, teraz otwierajcie to pancerne szafisko. Ależ ono wielkie! Prawie jak czołg. Nie zapomnieliście kluczy?

- Skądże. Wczoraj pożyczyłem od szefa Inspektoratu; on ma zawsze zapasowe. Przeglądamy tylko akta personalne, czy jeszcze coś więcej?

- Tylko akta. Musimy się bardzo śpieszyć.

Kapitan podszedł do szafy, przekręcił okrągłą tarczę, na której wyryte były litery alfabetu, i ustawił ją na „W” i „R”. Potem wsadził jeden klucz w otwór tarczy, przekręcił, wsunął drugi. Po chwili grube, stalowe drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze wypełnione dziesiątkami teczek i papierów.

- Strasznie tego dużo - zauważył. - Jeżeli chcecie przejrzeć wszystkie, to będziemy tu siedzieć do rana.

- Nie, oczywiście, że nie wszystkie. Interesuje mnie na razie tylko kierownictwo trzech hut. Dyrektorzy techniczni, handlowi i administracyjni. No i, oczywiście, kierownicy tajnych kancelarii.

- Ależ ja nie pamiętam ich nazwisk! - przeraził się kapitan.

- Ja mam wynotowane. Podawajcie mi teczki według tego spisu - podsunęła mu małą karteczkę.

Zagłębiła się w czytaniu, podczas gdy oficer palił papierosa, obserwując ją z nieukrywaną przyjemnością. Nieczęsto zdarzało mu się współpracować z tak ładnym i miłym pracownikiem kontrwywiadu... W pewnej chwili pożałował, że ta współpraca jest tak bardzo oficjalna, a Ewa traktuje go wyłącznie służbowo.

Właśnie w tym momencie podniosła wzrok i napotkała jego tęskne spojrzenie. Oboje speszyli się, kapitan odwrócił się w stronę szafy i wyciągnął następną teczkę. Kiedy jej podawał, nie patrzyła już na niego. Ujęła teczkę, otworzyła. Na jakimś dokumencie zobaczyła znajomą twarz i roześmiała się na głos. Oficer spojrzał na nią zdziwiony.

- Tego dyrektora to ja już trochę znam - pokazała mu zdjęcie.

Kapitan zbliżył się, spojrzał i skrzywił ironicznie.

- Mam nadzieję, że chyba nie należycie do jego ofiar - zauważył z przekąsem.

- Ofiar? Nie rozumiem was - obruszyła się.

- Przecież to znany w Katowicach flirciarz i uwodziciel. Taki, za którym wszystkie babki się oglądają - zemścił się nagle za tę jej obojętność i za

urodę, na którą nie mógł patrzeć bez pewnego niepokoju.

- Och! - wzruszyła ramionami. - Chyba nie tyle flirciarz, co gaduła i plotkarz. Jechaliśmy razem pociągiem z Warszawy i gdyby jazda trwała nieco dłużej, to byśmy chyba nie potrzebowali dziś tu przychodzić... Robi wrażenie człowieka, który nie ma pojęcia o zachowaniu tajemnicy służbowej.

- Dobrze, że mi o tym mówicie - spoważniał i zamyślił się.

Wreszcie wszystkie teczki były już przejrane. Kapitan zamknął starannie szafę, obejrzał uważnie gabinet i zabrał z popielniczki swoje niedopałki, co właściwie było zbyteczne, bo rano i tak przychodziły sprzątaczkі. Potem wyszli na schody, aby przywołać tamtych. Okazało się jednak, że Skowroński i porucznik z ochrony siedzą już od pół godziny w dyżurce wartownika, popijając wraz z nim kawę i zaśmiewając się do łez z jego kawałów.

Kiedy wyszli na ulicę, Ewa i Skowroński pożegnali swych towarzyszy, po czym skręcili w stronę centrum miasta.

- Właściwie to ja naprawdę nie rozumiem - powiedział - dlaczegoś nie zażądała tych akt od Zjednoczenia. Oczywiście, nie sama, ale przez

wojewódzki urząd. Byłoby prościej, miałybyś więcej czasu na przejrzenie ich, nie musielibyśmy urządzić tej tajemniczej eskapady w nocy.

- Przez Zjednoczenie? Przecież wtedy wiedziałyby o tym nie tylko kadry, ale i całe Zjednoczenie, a może nawet i dyrekcje hut. Sądzisz, że gdyby urząd zażądał nagle kilkunastu akt personalnych kierownictwa trzech hut, to dałoby się to utrzymać w tajemnicy?

- No tak - przyznał z wahaniem. - Masz rację. Znalazłaś chociaż coś interesującego?

- Oczywiście. Oficjalne zaświadczenie dla szpiega, wystawione przez wywiad NRF. Z pieczętą.

- Coś taka zła?

- No bo tak jakoś po omacku szukamy... Za parę dni będziemy omawiać pierwsze wyniki i co ja powiem Wichurskiemu?

*

Wichurski wszedł do sekretariatu dyrektora huty „Śląsk” i przedstawił się: starszy inspektor Najwyższej Izby Kontroli. Potem dodał, że chciałby pomówić z dyrektorem w pilnej sprawie. Oczywiście, jeżeli ma konferencję, to on poczeka - byle nie bardzo długo.

Sekretarka popatrzyła krótko na podsuniętą jej legitymację, a o wiele dłużej na ładną twarz inspektora, po czym odparła uprzejmie, że dyrektor rzeczywiście akurat ma naradę z przedstawicielami rady zakładowej, ale zawiadomi go, że czeka „ktoś z Warszawy”. Następnie zniknęła za obitymi grubo drzwiami.

Dyrektor wyjrzał do sekretariatu, utkwił w inspektorze na chwilę badawcze spojrzenie, potem przeprosił – zaraz kończy, niech inspektor tymczasem usiądzie.

Po dziesięciu może minutach kilku pracowników opuściło gabinet i dyrektor szerokim gestem zaprosił Wichurskiego do środka. Wskazał mu wygodny fotel, ale major wybrał krzesło i usadowił się tak, aby – sam pozostając w półcieniu – móc obserwować twarz rozmówcy.

– Co was, inspektorze, do mnie sprowadza? – spytał dyrektor, przechodząc od razu do rzeczy. Śpieszyło mu się, ta wizyta wywracała do góry nogami cały porządek i tak już zatłoczonego licznymi sprawami dnia.

– Co może sprowadzać Najwyższą Izbę Kontroli, jak nie kontrola? – uśmiechnął się major. – Chyba

zresztą do takich wizyt jesteście, dyrektorze, przyzwyczajeni.

- Słucham was.

Ton był suchy, lecz uprzejmy i Wichurski zrozumiał, że ten człowiek siedzi jak na szpilkach, połową swego „ja” przebywając gdzieś tam, w produkcyjnych halach. Wyjął więc z teczki dokumenty i powiedział:

- Przede wszystkim interesują mnie zagadnienia finansowe, kooperacja, no i jeszcze kilka zagadnień.

- Kooperacja... - westchnął ciężko dyrektor. Zgarbił się nad biurkiem, jakby nagle postarzał. - Jeżeli moglibyście nam tutaj choć trochę pomóc... oczywiście, poza wytknięciem błędów, które na pewno popełniliśmy, to będę wam niesłychanie wdzięczny. Proszę nie zrozumieć mnie fałszywie. Nie chodzi mi tu o przedstawienie wam w tej chwili różnych obiektywnych trudności, one są wszędzie, przywykliśmy już... Nie chodzi mi tu o pokazanie ich po to, aby szukać przed wami usprawiedliwienia. Przed każdym inspektorem kontroli kierownicy starają się zasłonić trudnościami i wy z pewnością znacie już takie metody. Nie. Mnie nie o to chodzi. Ale mógłbym wam pokazać teczkę z odpisami kilkudziesięciu próśb, monitów, a nawet, co tu gadać,

gróźb i błagań, kierowanych do naszych kooperantów! I co? - Rozłożył ręce. - I nic. Jak grochem o ścianę. Człowiek może pisać i telefonować do usranej śmierci - rozgniewał się nagle i uderzył pięścią w biurko - a oni swoje. „Nie mam, nie nadeszły, nie jesteśmy w stanie” i tak dalej... No, ale was to pewnie w tej chwili nie interesuje. Zresztą, sami się z tym zetkniecie przy robocie.

- Czy kooperanci bardzo hamują wam tok produkcji?

- Ba! Jeszcze jak. Nie macie pojęcia, do jakiego stopnia. W tym roku już trzy albo cztery razy pisałem nawet, wiecie dokąd? Do Prokuratury Wojewódzkiej! O interwencję. Pisałbym nawet do samego diabła, żebym miał pewność, że mi pomoże.

- Prokuratura pomogła? - uśmiechnął się major.

- Tak. Do jednego z tych najgorszych kooperantów przyjechało dwóch prokuratorów, rozpoczęli śledztwo, no i tamci dostali pietra. Potem tam wyszły jakieś grube machlojki. Ale przecież nie o to chodzi, żebyśmy sobie wzajemnie posyłali prokuratorów czy milicję. Nawet taka głupia spółdzielnia, która miała dla nas wykonać zwyczajne ogrodzenie siatkowe, wiecie, takie druciane, a i to

wciąż przesuwiała nam termin zakończenia roboty „z przyczyn obiektywnych”.

- Widziałem jednak, że macie zupełnie solidne ogrodzenie.

- Tak, ale to już trzecia z kolei spółdzielnia. Chyba jedyna, która nie kradnie. Z tamtych musieliśmy zrezygnować, bo prócz nawalenia terminów zrobili jakieś afery finansowe, nawet parę osób tam teraz siedzi.

- Jak ta spółdzielnia się nazywa?

- Spółdzielnia pracy „Mechanik” w Katowicach.

- To wam ten „Mechanik” spadł jak z nieba, co?

- Nie z nieba, nie. Po prostu polecił mi ją dyrektor huty „Maria”, pewnie go znacie, taki grubas z wąsem. Oni tam u niego też coś robili i podobno dobrze wywiązali się z pracy. No ale wróćmy do tematu. W czym mogę wam pomóc, inspektorze?

- Chciałbym - zaczął Wichurski, ale ostry dzwonek telefonu przerwał mu w pół słowa. Dyrektor niecierpliwym ruchem sięgnął po słuchawkę.

- Halo! Tak, to ja... Co? Na której hali? O, psiakrew! Poczekajcie, nie róbcie nic beze mnie. Zaraz tam będę.

- Czy coś się stało? - spytał major.

- Tak. Awaria jednego pieca. Chcecie iść ze mną?

- Chętnie - odparł Wichurski i podniósł się z krzesła.

*

Na obiad znowu była wieprzowina i większość hutników głośno wyrażała swój protest. Kierownik stołówki rozłożył ręce: trudno, innego mięsa nie można dostać, zresztą wieprzowe jest wysokokaloryczne, więc dla ciężko pracujących w sam raz. Próbował jeszcze coś tłumaczyć, ale go zakrzyczeli, więc demonstracyjnie zatkał uszy i wyszedł.

Kowalski siedział przy stoliku z dwoma inżynierami i brygadzystą wydziwiającym głośno na obiadowe menu, które zresztą nie odbierało mu apetytu.

- Byłem wczoraj z fajną babką w kinie. Na dobrym filmie - powiedział jeden z inżynierów. Jego małe, bystre oczka zawsze biegały po twarzach kolegów, jakby badając wrażenie, jakie wywoływały - czy miały wywołać - słowa. Niewiele miał widać okazji, aby się czymkolwiek pochwalić.

- Co to za film? - bąknął od niechcienia drugi inżynier. Z niechęcią patrzył na brygadzystę, który w

skupieniu pożerał olbrzymie porcje kiszzonej kapusty.

- Taki francuski, „Cud zdarza się tylko raz”... Zabierz swoją frelkę, to akurat coś dla was. Dla takiej nieprzytomnie zakochanej pary...

- Odczep się! Jest coś na deser?

- Kompot - wybełkotał brygadzista pełnymi ustami.

- Idzie pan na zebranie, panie inżynierze?

Trzech siedzących spojrzało na niego, ale pytanie odnosiło się do Kowalskiego. Kowalski jednak nie odpowiedział. Od pewnego czasu uważnie słuchał tego, o czym mówiono przy sąsiednim stoliku. Jedli tam obiad pracownicy laboratorium technicznego i głośno o coś się sprzeczali.

- Nie dość, że wstrętny obiad, to jeszcze mam siedzieć po godzinach? - mówił gniewnie wysoki, łyśawy blondyn ze szramą na policzku. Diabli nadali tego Bekiera!

- Zrozum, człowieku, przecież ja dzisiaj w żaden sposób nie mogę zostać - tłumaczył mu drugi, tęgi, rudawy, nazywany przez kolegów złośliwie „Platfusem”. - Żona ma popołudniowy dyżur, muszę zostać z dziećmiakami.

- Czy ktoś chodził do Bekiera do domu? - spytał trzeci technik. - Kiedy on właściwie miał wrócić?

- Trzy dni temu - odparł blondyn ze złością. - Robota leży, ja nie mogę się uporać ze swoimi analizami, a teraz jeszcze pracuj za niego. Pęta. O, ja mu powiem, niech mi się tylko pokaże.

- Bekier siedział ostatnio nad analizą półmikrochemiczną - zauważył „Platfus”. - Przyznam się wam, że nie wiem, czy dałbym sobie z tym radę. To jednak zupełnie nowa metoda...

- Z ministerstwa już dwukrotnie był telefon w tej sprawie. Żądają wyników, chcą nawet podobno wezwać do Warszawy dyrektora.

- Tam na górze to czasem mają kręćka. Wszystko im zrób „na wczoraj”. Co ich tak przypiliło? Laboratorium nie piekarnia.

- No dobrze, koledzy, ale co będzie, jeżeli Bekier zachorował? Kto to za niego zrobi?

- Byłem dziś w Piaskach w jego chałupie. Rozmawiałem z żoną. Powiedziała, że wyjechał gdzieś w Rzeszowskie, do rodziny. Chrzciny, ślub czy coś takiego. Pewnie się uchlał i zapomniał o bożym świecie.

- Jak w marcu zginął z laboratorium spirytus etylowy, wszyscy mówili, że to Bekier.

- E, przesadzacie! - trzeci technik wstał i sięgnął po kurtkę. - Zobaczycie, że jutro czy pojutrze

przyjdzie do pracy i wtedy się okaże, że był chory albo mu ktoś w rodzinie zachorował. Idę do bufetu. Po tej wieprzowinie trzeba napić się piwa.

Inżynier Kowalski wstał również.

- Już pan nie je, inżynierze? A kompot? - spytał brygadzysta.

- Może pan wziąć moją porcję. Ja wolę piwo.

Podszedł do bufetu. Technik uprzejmie odsunął się, robiąc mu miejsce. Bufetowa na widok inżyniera uśmiechnęła się zalotnie. Od paru tygodni zajmował w jej sercu wcale okazałe miejsce.

- Dla panów piwko? - spytała, ścierając starannie mokrą ladę.

- Oczywiście, panno Irenko - odparł Kowalski.

Pili wolno, żartując z bufetową, która odcinała im się ze śmiechem. Kiedy mieli już płacić, ktoś przecisnął się do lady i schwycił technika za ramię. Był to łyśawy blondyn, zdenerwowany i czegoś przestraszony.

- Stało się coś? - rzekł technik z niepokojem.

- Chyba tak... Do rady zakładowej przyszła żona Bekiera. Okazuje się, że wysłała do niego depeszę, tam do tej wsi w Rzeszowskiem, dlaczego nie wraca. No i przed godziną przyszła odpowiedź - blondyn

zatrzymał się, aby zaczerpnąć tchu - przyszła odpowiedź, że Bekiera w ogóle u tej rodziny nie było.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego ze zdumieniem.

- Jak to nie było? To znaczy... to znaczy, że on tam nie pojechał?

- Widocznie.

- No to gdzie jest, u diabła?

- Ano właśnie. Gdzie jest? Żebym to ja wiedział!

Sięgnął po podany mu przez bufetową kufel i pił szybko, nerwowo, nie patrząc na tamtych. Nie chciał już teraz rozmawiać na temat Bekiera, zbyt wiele różnych myśli przyszło mu do głowy, a myśli te wcale nie były pocieszające. Bądź co bądź Bekier pracował w laboratorium analizy technicznej, które określano jako „mózg huty”.

- A co na to rada zakładowa? - spytał Kowalski.

- Zawiadomili milicję. Cóż mogli innego zrobić? Przecież to już ósmy dzień, jak go nie ma...

*

Telefon odezwał się ostrym, natarczywym dźwiękiem. Mężczyzna oderwał się od pisma, które czytał w skupieniu, i ujął słuchawkę.

- Halo!
- Mówi „N-4”.
- „W-1”, słucham...
- Są u nas kłopoty.
- Tak? Jakie?
- W pomieszczeniu od ośmiu dni brak jednego lokatora. Bliższe szczegóły przy okazji, na razie chciałbym wiedzieć, czy to nas interesuje...

Chwila milczenia.

- Czy to jest poważniejszy lokator?
- Sądzę, że tak.
- Zawiadomili już kogoś?
- Tak, dziś po południu. Naszych sąsiadów.
- Myślę, że to jest dla nas interesujące. Porozum się z „J-2”. To wszystko.

Rozdział 3

O piątej rano pijany woźnica, zamknięty w areszcie, zaczął walić pięściami do drzwi. Zbudziwszy się o zwykłej porze, nie mógł ani rusz rozpoznać i zrozumieć, gdzie jest i jak się tu znalazł.

Dyżurny, sierżant Białek, słuchał przez jakiś czas cierpliwie tego walenia, wreszcie mu się sprzykrzyło. Wstał, poprawił pas i wyszedł na korytarz.

- Co jest? - huknął, nie otwierając drzwi aresztu.

Woźnica umilkł. Nie poznawał tego głosu. Gdzie go wsadzili, psia ich mać! Rozmyślał przez chwilę z natężeniem, raptem coś mu się przypomniało.

- A kuń?! - wrzasnął zdesperowany. - Chto mu da żryć?

W tym samym momencie sierżant również pomyślał o koniu. Koń był w podwórzu, ale czy jeszcze jest? Wyjrzał na dziedziniec. Gniada, koścista szkapa, zaprzęgnięta do wozu, ale z popuszczonymi lejcamy, w skupieniu przeżuwała kromki zeschniętego chleba, które podsuwał jej jeden z kaprali. W

milicyjnym budzecie nie było miejsca na innego rodzaju paszę.

- Już przyszedłeś? - zdziwił się Białek. - Co cię tak rano przygnało?

Kapral wzruszył ramionami. Pochodził ze wsi, co tłumaczyło dostatecznie jego zainteresowanie wyleniałym stworzeniem, stojącym od wczorajszego wieczora na podwórzu.

Nagle obaj podoficerowie odwrócili głowy w stronę wejścia. Ktoś, dysząc ze zmęczenia i głośno stukając butami, wchodził po paru schodkach, wiodących do dyżurki.

- Kogo tam diabli niosą o tej godzinie? - mruknął Białek, wracając na górę. Przez okienko zobaczył starego Kocajdę z górniczego osiedla po drugiej stronie rzeki. Twarz chłopca była blada i spocona, oczy niemal wyłaziły mu z orbit. Najwyraźniej był czymś mocno przejęty.

Sierżant ruchem ręki pokazał Kocajdzie, aby wszedł do dyżurki.

- Co wam się stało? - spytał ze zdziwieniem. - Okradli was? Pali się gdzieś?

Chłop postawił w kącie bańki z mlekiem, które dźwigał w płachcie na plecach, wytarł brzegiem rękawa mokre czoło i wyjąkał:

- Tam, w tym lasku... wie pan sierżant, tam w parowie, obok dębu, co go w zeszłym roku piorun rozwalił...

- Wiem. Co tam jest koło dębu?

- Nieboszczyk.

- Jaki nieboszczyk? Kocajda, chuchnijcie no! Piliście od samego rana?

Stary obraził się.

- Pan sierżant dobrze wie, że ja niepijący. A jaki nieboszczyk, to już nie moja sprawa. Ja przyszedłem tylko powiedzieć, że leży.

Sięgnął z powrotem po bańki, ale Białek zatrzymał jego rękę i zmusił, aby usiadł na krześle.

- Patrzcie go, jaki w gorącej wodzie kąpany! - powiedział z uśmiechem. - Nie macie się o co obrażać, Kocajda. Chcecie zapalić? - wyciągnął pojednawczo pudełko papierosów i poczęstował chłopca. - A teraz opowiedzcie po kolei i dokładnie, jak to było z tym nieboszczykiem.

- Ano, wyszedłem rano z domu z bańkami, bo synowa mi zachorowała i muszę za nią mleko odstawić na dworzec... - zaczął Kocajda, ciągnąc z wysiłkiem wilgotnego papierosa.

- O której wyszliście?

- Było chyba parę minut po czwartej. Szedłem, aby sobie skrócić drogę, przez las. Tam jest taka mała ścieżyna, która leci nad parowem. Wszedłem na nią i skręciłem w lewo...

- Po co? - zapytał Białek z nawyku. Kocajda zażenował się lekko i odchrząknął.

- Ano, jak to bywa... Za swoją potrzebą.

- Dobrze. I co dalej?

- Wlazłem w krzaki i potknąłem się o coś. Myślę: pień jak stary albo kamień. Ale widzę - trzewik. I noga... Strach mnie obleciał. Schyliłem się, patrzę... człowiek leży. Panie sierżancie, nie jestem bojący i lata swoje też już mam, ale się mocno zląkł. Prawdę mówiąc, to od wojny nieboszczyka nie widziałem.

- To był mężczyzna?

- Tak. Pewnie już długo tam leży, bo strasznie cuchnie. Nawet się dziwiłem, że z daleka tego nie poczułem, ale widać wiatr był w przeciwną stronę, więc dopiero jak podszedłem blisko... Nie przyglądałem mu się bliżej, zaraz tu przyleciałem. - Spojrzał na bańki w kącie, dźwignął się z krzesła. - To ja już pójdę. I tak na pierwszy pociąg się spóźniłem, w mieście będą urągać. Panowie sami znajdą nieboszczyka, prawda?

- Ja znam ten parów - odezwał się kapral, który od paru chwil przysłuchiwał się rozmowie. - To niedaleko stąd.

- To ja już pójdę - powtórzył Kocajda, zawiązując na plecach płachtę z bańkami.

Za nic nie chciał wracać do lasu, aby znów oglądać zwłoki nad parowem, a bał się, że milicjanci każą mu iść ze sobą.

Kiedy był już za progiem, usłyszał wołanie sierżanta:

- Ej, Kocajda! Wróćcie no jeszcze... - ale udał, że nie słyszy. W komisariacie znają go nie od dziś, jak będzie potem potrzebny, znajdą. Wiedzą, gdzie mieszka.

Sierżant Białek wyciągnął pióro i starannie zapisał złożony przez chłopca meldunek. Potem powiedział do kaprała:

- Józiek, zbudź Piotrowskiego. Cholera jasna, zawsze coś takiego wyskoczy, jak nie ma kierownika... Weźcie rowery i jedźcie na to miejsce. Jeżeli Kocajda mówił prawdę, rozejrzyj się, co i jak, potem zostaw Piotrowskiego przy zwłokach, a sam wracaj w te pędy. Ja do ósmej nie mogę odejść z dyżuru. Tylko pamiętajcie, żeby żaden z was niczego tam nie ruszał. I starajcie się nie zdeptać śladów.

Przyjdą później ci z kryminalnej, prokurator, będą nas opieprzać, żeśmy im robotę popsuli.

- Co się tak mądrzysz? - kapral wkładał płaszcz i uśmiechał się drwiąco. - Pierwszy to raz jadę do nieboszczyka, czy jak? Śladów mu nie zdeptuj... Co to ja, krowa czy co?

- Dobra, jedźcie już. Jak się okaże, że to prawda, będziemy z tym mieli kupę roboty.

*

Kapral odstawił rower i wbiegł do dyżurki z takim hałasem, że sierżant, który drzemał za stołem, zerwał się i mimo woli sięgnął do kabury.

- Ach, to ty - uspokoił się. - No i jak?

- Leży. - Kapral zsunął pasek spod brody i rzucił czapkę na stół. - Mężczyzna, tak może po trzydziestce, ubrany w ciemną jesionkę. Pod głową ma teczkę. Na twarzy ani na szyi nie zauważyłem żadnej rany czy uderzenia, ale dokładniej się nie przyglądałem.

- A obok niego znalazłeś coś?

- Nic nie widziałem. Cholernie śmierdzi... Musi tam rzeczywiście od dawna leżeć.

- Piotrowski został przy zwłokach?

- Tak.

- To ja dzwonię do Komendy. Niech przyjeżdżają.

Kilka minut po siódmej granatowa warszawa ze znakami rejestracyjnymi Katowic zatrzymała się przed komisariatem w Piaskach. Wyszło z niej dwóch oficerów milicji i jeden cywil z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię. Kiedy wchodzili po schodach, sierżant Białek szybko poderwał się z miejsca, poprawił mundur i, rzuciwszy na nich okiem, zameldował się starszemu rangą, kapitanowi z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach.

- Macie coś więcej poza tym, co podaliście w meldunku telefonicznym? - zapytał oficer.

- Nie, obywatelu kapitanie. Dyżurny podoficer, którego posłałem na miejsce, miał tylko sprawdzić, czy wiadomość o zwłokach jest prawdziwa.

- W porządku. Mam nadzieję... - kapitan zawahał się - czy teraz przy trupie nie ma nikogo?

- Zostawiłem tam przecież jednego milicjanta - w głosie Białka był wyraźny wyrzut. W milicji pracował już ponad dziesięć lat i dobrze wiedział, co do niego należy.

- W porządku - powtórzył kapitan. - Siadajcie do wozu, pojedziemy razem na miejsce.

Wcisnęli się jakoś do granatowej warszawy i zawrócili w stronę osiedla, aby po paru minutach skręcić w szeroki, piaszczysty trakt, wiodący do lasu. Koła samochodu grzęzły w sypkim piachu. Kierowca zwolnił trochę. Białek wyglądał przez opuszczoną szybę, bo wcale nie był tak bardzo pewien, w którym miejscu od traktu odrywa się mała wąska ścieżka, wiodąca przez parów.

Na szczęście pozostawiony przy trupie Piotrowski, który musiał usłyszeć warkot samochodu, wyszedł aż na trakt i dojrawszy wóz ze znakiem „Y”, machnął ręką w jego stronę.

Stanęli. Białek wyskoczył pierwszy, jakby chcąc sprawdzić, czy nieboszczyk jest na miejscu. W głębi duszy był zawsze trochę niedowiarkiem i nigdy całkowicie nie wierzył w to, czego sam nie zobaczył.

- Tam, w tych krzakach? - spytał, kiedy doszli na brzeg parowu. I zaraz poczuł. Wpierw poczuł, niż zobaczył. Kapitan stał tuż za nim, teraz wyprzedził go, rozchylił ostrożnie krzaki i pochylił się nad ciałem zmarłego.

- Ale wygląda! - skrzywił się fotograf, wydając z futerału swoją leikę. - Przepraszam... - odsunął Piotrowskiego i wycelował aparat na trupa.

Zwłoki mężczyzny leżały wsunięte trochę pod krzak dzikiego bzu. Głowę miał lekko odchyloną na bok, oczy przymknięte, usta rozchylone. Biała, o zielonkawym odcieniu twarz budziła grozę.

- Wygląda jakby spał - mruknął porucznik ze zdziwieniem.

Kapitan potwierdził ruchem głowy. Na ogół znajdowali nieboszczyków w pozycjach świadczących o gwałtownej śmierci, zadanej wyraźnie zbrodniczą ręką. Tutaj zaś, mimo grozy i powagi samej śmierci, panował dziwny spokój.

- Może po prostu umarł na serce - Białek mimo woli ściszył głos, jakby obawiał się, że zbudzi leżącego.

- Przeszukaliście teren? - spytał kapitan, wciąż przyglądając się położeniu ciała.

- Tak jest - odparł Piotrowski służbiście. - Szukałem w krzakach, w parowie i na ścieżce, ale nic nie znalazłem.

- Proszę - kapitan zwracał się teraz do obu milicjantów - przeszukajcie jeszcze raz, teraz już bardzo dokładnie, każdy krzaczek, każdą kępkę trawy w promieniu mniej więcej pięćdziesięciu do sześćdziesięciu metrów od tego miejsca. Nie śpieszcie się. Zwróćcie uwagę na wszystko, co

mogłoby mieć jakikolwiek związek z tym – pokazał na zwłoki. – Zresztą – dodał szybko, widząc wyraz twarzy Białka – nie muszę was uczyć, sami wiecie.

- Pewnie, że wiem – burknął sierżant.

Porucznik wyciągnął szkicownik, poszukał czegoś w walizce śledczej, zaostrzył ołówek i zabrał się do sporządzenia szkicu sytuacyjnego.

- Tyle razy ci mówiłem, żebyś chirurgicznym nożem nie temperował ołówków – mruknął kapitan z naganą. – Przecież masz od tego scyzoryk. Rzuć mi rękawiczki i sam włóż.

Porucznik westchnął. Miał zwyczaj brać, co było pod ręką. Podał kapitanowi gumowe rękawiczki, ale swoje wsunął niechętnie do kieszeni. Nie umiał w nich szkicować i pisać protokołu oględzin.

Obejrzelik najpierw głowę zmarłego, spoczywającą na ciemnobrązowej, skórzanej teczce. Potem ręce, szyję. Nie, nie było żadnych śladów ran, uderzeń czy uduszenia.

- Więc – może naprawdę serce? Jakiś zawał czy coś takiego...

Nagle kapitan pochylił się niżej i podniósł z ziemi małą szklaną tubkę po tabletkach; Odczytał na niej niemiecki napis: Luminal „Bayer”, 10 Tabl. 0,1 g. I.G. Farbenindustrie.

Porucznik zajrzał przez ramię.

- Luminal - stwierdził raczej, niż spytał. - Facet się otruł? Może samobójca.

Kapitan ważył przez chwilę tubkę w ręce, myśląc nad czymś.

- Jedna tabletką tego świństwa zawiera 0,1 grama - rzekł, jakby do siebie. - Dziesięć... to by był gram. Śmiertelna dawka luminalu waha się od czterech do sześciu gramów. - Potrząsnął głową. - Tym się nie otruł. Najwyżej dobrze zasnął. Chyba że... - Pochylił się znowu i ostrożnie wyjął zmarłemu teczkę spod głowy, chcąc sprawdzić jej zawartość.

- Patrz! - zawołał porucznik, wskazując na wygniecione w trawie miejsce, w którym leżała teczka. - Jeszcze trzy takie same.

Na trawie leżały, ułożone równo jedna przy drugiej, trzy opróżnione tubki tej samej firmy.

- Cztery gramy, to już mogłoby być zatrucie - powiedział kapitan, wkładając wszystkie tubki do metalowego pudełka z nakrętką, wyjętego z walizki śledczej. - Przekonajmy się, kim jest ten facet. Czeka, nie rusz! Jak nie włożyłeś rękawiczek, to nie dotykaj trupa. Za długo już tu leży.

Odpiął guziki granatowej jesionki, rozchylił marynarkę, delikatnym ruchem wyciągnął z kieszeni

gruby, mocno podniszczony portfel skórzany. Otworzył go, wyjął dokumenty i papiery.

- Bekier Adam... urodzony w Poznaniu, szóstego września, w dwudziestym czwartym... z ojca Feliksa... I tak dalej. Tutaj jest legitymacja służbowa... Wiesz, gdzie on pracuje? W hucie „Nadzieja”. Technik... Zaraz, tu jest jeszcze... aha, karta urlopowa. Popatrz, wziął urlop od siódmego do dziesiątego maja. A dzisiaj mamy szesnasty.

- On już tu chyba leży z tydzień - rzekł porucznik.

- Wygląda na to, że niezbyt wesoło spędził urlop.

- Rzeczywiście - zgodził się kapitan. - Znam lepsze sposoby wykorzystania urlopu.

- Co on tam jeszcze ma?

- Takie różne drobiazgi... tu jest jakaś fotografia... babka i dwoje dzieciaków, pewnie żona... legitymacja związkowa, stare bilety do kina, jeszcze z marca... kino „Rialto” w Katowicach... zbyt stare, to nam pewnie nic nie da. Jakieś szpargały... czekaj... kalendarzyk. Zapisany. To trzeba oddzielnie. Masz, kładę to wszystko tutaj na walizce, obejrzyj i zapisz. Ja zobaczę jeszcze w marynarce... Chustka do nosa, solidnie brudna, bez monogramu, kto zresztą dzisiaj nosi na chustce monogram... pudełko „Sportów”, sześć papierosów... zapałki, scyzoryk z ułamanym

ostrzem... trochę śmieci i rozsypanego tytoniu. Żadnego listu.

- Zaraz, wolnego - porucznik nie mógł nadążyć z protokołowaniem. - Co było po scyzoryku?

- Nic, śmieci.

Kapitan usiadł na omszałym pieńku i zamyślił się. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju.

- Słuchaj - rzekł nagle. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś potrafił zjeść na sucho czterdzieści tabletek luminalu. Nawet dwadzieścia. On musiał to czymś popić. Ale czym? Tu gdzieś musi być butelka. Wiesz, taka po piwie czy oranżadzie.

- Wiem. Ale butelki nie ma.

Przez chwilę patrzyli na siebie niezdecydowanie.

- Może tam dalej... - powiedział porucznik. - Halo sierżancie! - zawołał w stronę podoficerów, którzy wciąż jeszcze przeszukiwali pobliski teren. - Czy nie znaleźliście gdzieś butelki?

- Butelki?

- Albo w ogóle jakiegoś naczynia. Turystyczna manierka, termos, bo ja wiem...

Białek potrząsnął głową. Nie, nic takiego nie było. Chyba że gdzieś o wiele dalej niż w promieniu

kilkudziesięciu metrów. Mogą z Piotrowskim jeszcze poszukać.

- Nonsens - kapitan wzruszył ramionami. - Trudno to sobie nawet wyobrazić. Człowiek zjada najpierw parę tubek luminalu, popija czymś, potem wyrzuca butelkę i jeszcze idzie ze sto metrów... Nonsens. Zasnęłby po pierwszej tubce. Butelka, jeżeli była, musiałaby leżeć tuż koło niego, w zasięgu ręki.

- W takim razie musimy przyjąć fakt, że zjadł ten luminal na sucho, jak kanapkę z szynką. Smacznego. Czego to się ludziom nie zachciewa.

- Sierzancie - kapitan wstał z pieńka i otrzepał mundur - proszę pojechać naszym wozem do komisariatu, zatelefonować stamtąd do Komendy Wojewódzkiej... najlepiej do naczelnika wydziału śledczego, żeby przysłali tutaj kogoś ze swoich pracowników. Powiedzcie w skrócie, jak tu wygląda sytuacja. Albo bardzo zagadkowe samobójstwo, albo przestępstwo. Dobrze by było, żeby zabrali ze sobą od razu prokuratora, bo on nie ma służbowego samochodu.

- Tak jest - odparł Białek służbiście. - Którego prokuratora?

- Powiedźcie, że kapitan Janicki prosi, aby zabrali zastępcę szefa prokuratury powiatowej. Oczywiście, o ile gdzieś nie wyjechał.

Sierżant odszedł. Po chwili usłyszeli oddalający się warkot samochodu. Piotrowski wyszedł na brzeg parowu i zbliżył się do oficerów. Nie, żadnej butelki ani manierki nie znalazł. Nie było również żadnych śladów rozbitego szkła.

- Popatrz, co ja tu znalazłem - rzekł nagle porucznik do kapitana, wyciągając z tylnej kieszeni spodni zmarłego jakiś zwitek. - Same pięćsetki. Dwa, trzy... cztery patyki. Ile on miał w tym portfelu?

Kapitan zajrzał do protokołu.

- Sto czterdzieści dwa złote i jakieś grosze.

- A grubszą gotówkę upycha po spodniach. Zgłupiał chłop do reszty czy co... To wszystko mi się wcale nie podoba.

- Ani mnie - potwierdził kapitan. - Zdaje się, że będziemy jeszcze z tego mieli niewąski pasztet.

Fotograf, który myszkował gdzieś po krzakach, wynurzył się nagle obok zwłok i szybko zrobił kilka zdjęć pieniędzy, portfela i reszty rozłożonych drobiazgów, po czym znowu znikł. Mdliło go od trupiego zapachu.

Odeszli parę kroków dalej i przysiedli na bujnej, majowej trawie, paląc papierosy. Po kwadransie wrócił sam kierowca. Zameldował, że sierżant telefonował i że śledczego przyjadą tak szybko, jak tylko będą mogli, i że Białek został w komisariacie, aby później się z nimi zabrać i pokazać drogę.

- Ten Białek to całkiem do rzeczy - ocenił porucznik, przewracając się na plecy i wystawiając rumianą twarz do słońca. Kapitan gryzł jakieś źdźbło. Przytaknął mruknięciem. Tak, Białek umiał dawać sobie radę w służbie, to widać.

- Jak ich znam - zaczął znowu porucznik, ziewając szeroko - to przyjadą za dwie godziny. Można się przespać.

Przyjechali jednak już po godzinie.

- Jest prokurator Strzelecki! - ucieszył się kapitan, widząc młodego, wysokiego mężczyznę w cywilnym ubraniu, który szedł za Białkiem. - I porucznik Drabik ze śledczego...

- O rany Julek, musieli przysłać tego cymbała? - szepnął porucznik, przecierając zaspane oczy...

- I jeszcze jakiś w cywilu. Nie znam go.

- Ja też nie. To chyba ktoś obcy.

Tamci zrównali się z nimi. Podczas przywitania obcy mężczyzna przedstawił się krótko: kapitan... (tu

burknął coś niewyraźnie) z Warszawy.

- Kto to jest? - spytał Janicki na boku, kiedy Drabik stanął przy nim, zacierając duże, czerwone ręce. Zawsze było mu trochę zimno.

- Z bezpieczeństwa - odparł porucznik.

- Skądście go wzięli?

- Sam się wziął. Jak schodziłem do wozu, szef mnie przywołał i powiedział: zabierzecie jednego kapitana z bezpieczeństwa, z Warszawy. Przychodzę, a on już siedzi w samochodzie. Tyle wiem.

Na dłuższą rozmowę nie było zresztą czasu. Kapitan Janicki zrelacjonował dokładnie sprawę, podkreślając niezwykley układ tubek po luminalu oraz brak naczynia, z którego denat mógłby popić tabletki. Prokurator słuchał, kiwał głową i rozglądał się uważnie dokoła.

W protokole oględzin zapisaliście, oczywiście, to oryginalne położenie tubek, prawda kapitanie? - spytał.

- Oczywiście.

- Co sądzicie o tym wszystkim?

- Wygląda na samobójstwo, ale dosyć niewyraźne - odparł kapitan. - Ten Bekier wziął sobie urlop chyba nie po to, aby je popełnić. Ostatecznie, taką

rzecz można zrobić kiedykolwiek. Poza tym sposób, w jaki się otruł, wydaje mi się co najmniej dziwny.

- Cztery puste tubki po luminalu - wtrącił porucznik. - Jedną wziął oddzielnie, trzy - nie wiadomo po co - ułożył pod teczką.

- No dobrze - Strzelecki zamyślił się na chwilę. - Niemożliwe, aby zażył to wszystko bez popijania. Nie znaleźliście żadnej butelki?

- Nie. W każdym razie nie ma jej w promieniu kilkudziesięciu metrów, a trudno wyobrazić sobie, aby po zażyciu takiej ilości luminalu mógł jeszcze urządzić sobie dłuższy spacer.

- A jeżeli nie samobójstwo? - wmieszał się Drabik. - Chociaż... na rabunek absolutnie nie wygląda. Te pieniądze, zegarek, obrączka na palcu, porządny płaszcz, buty...

- Może po prostu zmarł z powodu ataku serca, a tubki po luminalu nosił przy sobie?

- Po co? Poukładał je sobie pod głową, a potem „wziął i umarł”?

Roześmiali się.

- Sądzę - rzekł Strzelecki - iż w tej chwili nie ma sensu drobiazgowo rozważanie tych spraw. Na wiele pytań odpowie nam sekcja zwłok. Postaram się zresztą być przy niej.

*

Major Wichurski zgasił papierosa i spojrzał niecierpliwie na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Porucznik Nowakowski spóźnił się już dwadzieścia cztery minuty, co jak na niego było raczej niezwykle.

Ewa musiała myśleć o tym samym, bo odezwała się na pozór spokojnym głosem, w którym można było jednak wyczuć pewne zaniepokojenie:

- Nasz inżynier się spóźnia. Może tam w hucie znów coś się stało?

Zientara skrzywił się i chrząknął.

- E! Od razu „stało się”. Przecież musi dojechać do Katowic, a to zawsze trwa. Zresztą - dodał, usłyszawszy w korytarzu znajome kroki - już idzie.

Porucznik Nowakowski był zadyszany od szybkiego marszu ulicami miasta. Zrzucił na krzesło płaszcz, przygładził rozburzone włosy i powiedział:

- Dobry wieczór. Przepraszam, że się spóźniłem... później wyjaśnię, dlaczego.

- A czemu nie od razu? - zaczął z pretensją Zientara.

- No, dobrze - przerwał mu Wichurski. - Koledzy, musimy teraz zapoznać się z wynikami naszych

wszystkich badań i obserwacji. Warszawa znowu złapała sygnał o cynku, chcą niedługo do was się wybrać.

- Skąd wiecie? - żywo zareagował Zientara.

- Ja byłam w Centrali - odparła za majora Ewa. - Dziś rano wróciłam. Mają trochę pretensji, że im nic nie przekazujemy. Próbowałam wytłumaczyć, że to nie takie proste, ale... Wiecie, jak to z nimi. Kiedy się siedzi za biurkiem, to wiele spraw wygląda inaczej, a jak się potem wyjeżdża w teren, rzeczywistość okazuje się trochę inna.

- Sądzę - rzekł Wichurski - że już niedługo coś im jednak przekazemy. Kapitanie, zaczynam od was. Coście się dowiedzieli? W skrócie, nie musicie wszystkiego opowiadać. Najważniejsze fakty i spostrzeżenia.

Zientara nie lubił mówić „w skrócie”, ale nie chciał sprzeczać się z kierownikiem grupy. Toteż - mimo iż przygotował sobie poprzednio dłuższy elaborat, spisany na kilku kartkach notesu - westchnął tylko lekko i powiedział:

- Przejrzałem sześćdziesiąt cztery protokoły z różnych kontroli resortowych i innych, dokonanych we wszystkich hutach cynkowych.

- Dlaczego we wszystkich? - spytał Nowakowski ze zdziwieniem.

- Dlatego, że uważałem to za konieczne - odparł Zientara cierpko. - Nasunął mi się szereg spostrzeżeń, dotyczących sposobu przeprowadzania tych kontroli, ale są to raczej uwagi nie mające wiele wspólnego z naszą robotą. To znaczy, uwagi typu raczej ekonomicznego. Natomiast kiedy wziąłem do ręki materiały z tajnej kancelarii huty „Nadzieja”, zauważyłem, że zginęły stamtąd dwa tajne dokumenty.

- Z mojej huty? - zawołał Nowakowski niemal z oburzeniem.

Wszyscy, z wyjątkiem Zientary, wybuchnęli śmiechem mimo powagi tego, co powiedział kapitan.

- Brawo! On już tak wszedł w rolę inżyniera Kowalskiego, że czuje się teraz osobiście dotknięty - śmiała się Ewa.

- Czego dotyczą te dokumenty, kapitanie? - spytał major.

- Jeden z nich prawdopodobnie analiz przeprowadzanych w tajnym laboratorium. Drugi - nie wiem. Nie mogłem tego dokładnie sprawdzić, bo oba są przecież znakowane tylko symbolami. Zauważyłem, że zarejestrowano najpierw ich

wypożyczenie, a potem zwrot – ale dokumentów nie ma, więc z tym zwrotem to jakaś mętna historia. Wypożyczał kierownik laboratorium, a zwrócił rzekomo jakiś technik. Podpis jego był prawie nieczytelny, udało mi się jednak rozszyfrować.

- Bekier? – rzucił Nowakowski.

- Tak, Bekier. Ten sam, którego zwłoki znaleźliśmy dzisiaj w lasku niedaleko huty.

- O tym później – przerwał Wichurski. – Teraz wy – zwrócił się do porucznika Skowrońskiego.

- Ja wraz z grupą obserwacyjną pracowników służby bezpieczeństwa zainteresowałem się ludźmi wytypowanymi przez Ewę i Zientarę. A więc na przykład ci, których nazwiska Ewa wynotowała z kartoteki podczas rzekomej kontroli w Zjednoczeniu Hut Cynkowych. Znalazł się tam między innymi wasz wspólny znajomy z pociągu, dyrektor handlowy. Straszny gaduła i babiarz, a poza tym lubi zajrzeć do kieliszka. O innych nie chciałbym teraz mówić szczegółowo, bo zabrałoby to parę godzin, a poza tym, jak dotąd, na nic atrakcyjnego nie natrafiliśmy.

- Ewa? – Wichurski spojrzał na nią pytająco.

- Poza kontrolą w Zjednoczeniu, o czym już chyba wszyscy z was wiedzą, pomagałam kapitanowi w

przeoglądaniu protokołów. No, poza tym - wyjazd do Warszawy.

- Dobrze. - Wichurski zamyślił się na chwilę. - Zajmijmy się teraz sprawą Bekiera, bo to jest, zdaje się, najistotniejsze. Proszę, poruczniku...

- Pracując jako rzekomy inżynier Kowalski w hucie „Nadzieja” - zaczął Nowakowski - nie napotkałem z początku nic, co by mogło mieć jakiś podejrzany charakter. Udało mi się nawiązać dobre, koleżeńskie stosunki z innymi inżynierami, brygadzystami, a także, choć poszło to nieco trudniej - uśmiechnął się, przypominając sobie rozgrywki ze szmelcerzami - z szerszym gronem pracowników huty. O tym, że Bekiera nie ma w hucie, dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, podczas obiadu w stołówce. Zanim zdążyłem się tym zająć, dosłownie w ciągu pół godziny przyszła wiadomość o jego zaginięciu. O odkryciu zwłok powie z pewnością kapitan Zientara, ja ograniczę się więc tylko do charakterystyki technika, na razie dość pobieżnej. Z konieczności - bo cała huta wie już o jego śmierci i jakieś mocniejsze „naciskanie” o bliższe informacje mogłoby wzbudzić podejrzenie. Co mówią o Bekierze jego najbliżsi koledzy z laboratorium? Że był pedantem, tak w pracy, jak i w życiu osobistym.

Pedantem, jak się któryś wyraził, „do obrzydliwości”. Potrafił zrobić dziką awanturę, jak mu ktoś zabrał z biurka ołówek albo żona w domu zrobiła coś nie tak, jak on chciał. Lubił popić, ale bez przesady. Był ostrożny. Za ostrożny na to, aby się upijać. Poza tym widać było, że zależy mu na stanowisku w hucie. Był wysportowany, należał do sekcji piłkarskiej klubu „Hutnik”. Rzadko kiedy chorował. Koledzy na ogół go lubili. Był pracowity, uczynny. Może nawet... za uczynny. Z niezwykłą ochotą zastępował kolegów na drugiej zmianie czy podczas dyżurów w laboratorium, chociaż nie otrzymywało się za to dodatkowego wynagrodzenia. Ostatnio miał jakieś kłopoty. Koledzy nie umieli mi określić, co to były za kłopoty, sądzą jednak, że raczej domowe, rodzinne. W pracy bowiem nikt nie miał do niego zastrzeżeń, przeciwnie: kroił mu się podobno nawet awans na starszego technika.

- Te kłopoty... - zaczął major z namysłem - jak to się u niego objawiało?

- Podobno był roztargniony, czasem chodził z twarzą ponurą, nie reagował na żarty, popadał w zamyślenie, a na zaczepki odpowiadał nieprzytomnie albo nie odpowiadał wcale. Po okresach takich na

krótki czas wracał do dawnej formy, a potem znowu. Tak było podobno od kilku miesięcy.

- Czy jego uczynność i koleżeństwo nie przejawiały się na przykład w udzielaniu kolegom pożyczek? Mam na myśli jakieś większe sumy.

- O tym nie mówili.

- Może teraz kapitan opowie o znalezieniu zwłok Bekiera?

Zientara w kilku zdaniach zrelacjonował stwierdzone fakty.

- A więc nie rabunek - powiedział na zakończenie.

- Albo samobójstwo, albo sprzątnęli niewygodnego świadka czy człowieka, który z jakiejś przyczyny stał się niebezpieczny.

- Sądzicie, kapitanie, że istnieje jakiś związek pomiędzy śmiercią tego technika a naszą sprawą? - spytała Ewa.

- Trudno powiedzieć. Nie możemy tak od razu uderzać w wielki dzwon: Bekier był szpiegiem i go sprzątnęli. Jeżeli nie było to samobójstwo, może istnieć szereg innych przyczyn, dla których ktoś go zabił. Jakaś zemsta, porachunki osobiste, kobieta...

- A jednak - powiedział Wichurski - właśnie z tej huty zginęły, jak mówiliście, dwa tajne dokumenty. I to właśnie dotyczące tajnego laboratorium, w którym

Bekier pracował. No, zobaczymy przede wszystkim, co wykaże sekcja. Jeżeli chodzi o moją robotę, to za najważniejszy jej fragment uważam wizytę u dyrektora huty „Śląsk”. Zainteresowały mnie tam, między innymi, drobne spółdzielnie pracy, które wykonują dla hut różne roboty. Wytypowałem sobie na przykład trzy takie, które najczęściej w ostatnich latach kręcą się koło hut cynkowych. Ciekawa rzecz: dwie z tych spółdzielni z reguły nawalają w pracy, nie dotrzymują terminów, kradną i tak dalej. A trzecia – czysta jak łąza. Aż się wierzyć nie chce. Pracuje jak szatan, dotrzymuje terminów co do godziny niemal. Zainteresowałem się pracownikami tego „Mechanika”, bo tak się ona nazywa. Zwłaszcza tymi, którzy najczęściej przebywali na terenie hut. Zientara mówił przed chwilą, że „Mechanik” wykonywał jakieś roboty między innymi w tajnym laboratorium huty „Maria”. Zresztą nie tylko „Mechanik”, więc wziąłem pod uwagę wszystkie trzy spółdzielnie. Kto tutaj mógłby wchodzić w grę? Kierownicy techniczni spółdzielni oraz kierownicy działów zaopatrzenia i zbytu. W każdej spółdzielni po dwie osoby, a więc razem sześć. To są ci, którzy najczęściej wchodzi do hut, kontaktują się z pracownikami, mają dostęp do różnych pomieszczeń.

Bywa tak, że po prostu dyrekcja huty wystawia im na parę tygodni stałą przepustkę. Po trzech dniach znają już ich wartownicy, nie kontrolują. Cóż za wspaniałe pole do takiej roboty, jaką mamy na myśli.

- Macie rację, majorze - odezwał się Nowakowski.

- Ja bym jeszcze zwrócił większą uwagę na tych ludzi ze spółdzielni, którzy wykonują prace w tajnych laboratoriach czy kancelariach. W zasadzie powinni to robić zawsze pod kontrolą kogoś z huty, tylko... sami wiecie, jak to jest...

- Oczywiście. Ale i reszty nie można pominąć. Zwłaszcza że informacje, które Ewa przywiozła z Warszawy, a które Centrala ostatnio przejęła, świadczą, że obcy wywiad dobrze jest zorientowany w naszym przemyśle cynkowym.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, wreszcie Wichurski wyznaczył każdemu zadanie. Zientarę zostawiono przy sprawie Bekiera, Nowakowski w dalszym ciągu pozostać miał na stanowisku inżyniera „Kowalskiego”, Ewa i Skowroński natomiast mieli zająć się bliżej trzema wytypowanymi spółdzielniami, między innymi „Mechanikiem”.

- Nie zapomnijcie o materiałach, jakie może mieć milicja - powiedział im major, gdy zabierali się do odejścia. - Zwłaszcza zorientujcie się, czy któryś z

tych naszych „spółdzielców” nie ma na karku śledztwa.

- Albo nie miał - dodał Skowroński.

- Tak. Nie sugerujcie się tym jednak za bardzo. Mogą to być zwykłe kradzieże i malwersacje gospodarcze.

- Chciałabym jeszcze wrócić do sprawy akt personalnych - rzekła Ewa. - Chodzi mi o akta spółdzielców. Jak to zrobić? Jakimi metodami się posłużyć?

- Sądzę, że powinnaś dobrać sobie co najmniej dwóch pracowników z wydziału „C”. Skontaktuj się z pułkownikiem, będą ci przecież potrzebne inwigilacje tych sześciu ze spółdzielni, sama nie dasz rady.

Popatrzył na nią z zafrasowaniem. Nie był pewien, czy zadanie, jakie jej wyznaczył, nie przerasta sił tej młodej, drobnej kobiety. Ewa uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Czy mamy z Ewą podzielić się spółdzielniami? - spytał Skowroński, przecierając zmęczone od dymu oczy.

Wichurski zawahał się. Nie chciał tego. Wolał, aby Ewa koncentrowała tę część roboty w swoim ręku.

- Nie - odparł po namyśle. - Lepiej będzie, jak wy jej tylko pomożecie. Macie przecież oprócz tego wasze własne zadanie.

Kiedy Skowroński wyszedł, major powiedział do Ewy:

- Wiesz, moja droga, zwróć specjalną uwagę na „Mechanika”... Ciągle wracam myślą do tych dwóch dokumentów, o których mówił Zientara. Ciekaw jestem, czy „Mechanik” przeprowadzał remont laboratorium w okresie, kiedy dokumenty znajdowały się już w hucie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Tutaj pewne historie mogą się pokrywać w czasie, a to może być dla nas interesująca wskazówka.

- Rozumiem. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie, jaką metodę obrać, aby przejrzeć akta personalne spółdzielców?

- Zorientuj się, czy nie ma możliwości przejęcia akt na pewien czas przez jakieś władze. Może milicja, pod byle pretekstem, może ktoś z Zarządu Spółdzielczości Pracy. A jeżeli nie, to musisz znowu zorganizować rzekomą kontrolę, tak jak w Zjednoczeniu. Oczywiście, ty już tam sama iść nie możesz.

- Jasne.

- I pamiętaj, abyś codziennie ze mną się kontaktowała - dodał z naciskiem.

Rozdział 4

Bekierową zaproszono do prokuratury na godzinę dwunastą, ale przyszła o wiele wcześniej. Siedząc na ławce w kącie korytarza usiłowała pogodzić się z myślą, że mąż nie żyje i że została teraz z dziećmi zupełnie sama – ale nie bardzo jej się to udawało. Nie spała przez całą noc, wciąż próbując zrozumieć, dlaczego tak się stało i w czym jej spokojny, niemający właściwie wrogów mąż komuś zawinił.

Była tak zamyślona, że nie zauważyła, jak prokurator Strzelecki, powiadomiony o jej wcześniejszym przybyciu, stanął w progu gabinetu i dwukrotnie poprosił ją do siebie. Ocknęła się, gdy delikatnie ujął ją za ramię, prowadząc ciemnym korytarzem, po którym w obie strony snuli się interesanci.

W gabinecie był już jakiś cywil, którego dotychczas nie widziała. Przywitał się z nią w milczeniu, obrzucając uważnym, przenikliwym spojrzeniem. Siadła przed biurkiem, próbując skupić myśli. Jeżeli już przyszło na nią to straszne

nieszczęście, to przecież ci ludzie będą chcieli na pewno jej pomóc - odnaleźć zbrodniarzy, pomścić śmierć męża... Postanowiła, że powie wszystko, co tylko może przyczynić się do wykrycia zbrodni. Bo w samobójstwo nie wierzyła ani przez chwilę. Zbyt dobrze знаła męża.

- Rozumiem - zaczął prokurator, przyglądając jej się ze współczuciem - że chwila jest do takiej rozmowy nie najlepsza. Z pewnością ciężko jest pani mówić z nami tutaj o śmierci męża. Przecież dowiedzieliśmy się wszyscy o tym dopiero wczoraj... Proszę jednak, ze swej strony, i nas zrozumieć. Spełniamy swój obowiązek.

- Wiem - odparła cicho, ale wyraźnie. - Powiem, co tylko będę mogła.

- To dobrze - odetchnął z ulgą. - Musimy jakoś wspólnie wyjaśnić okoliczności związane z tą tragiczną sprawą. Pani pomoc jest dla nas po prostu konieczna.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Kapitan Zientara zapalił papierosa, nie spuszczać z niej wzroku.

- Czy zna pani jakiegokolwiek szczegóły związane z wyjazdem, a raczej z projektowanym wyjazdem pani męża do rodziny w Rzeszowskiem? - spytał Strzelecki.

- Wiem, że wybierał się tam na ślub swego kuzyna. Ja tego kuzyna nie znałam, nie przyjeżdżał do nas nigdy. Oni tam mają małe gospodarstwo rolne. Mąż jeździł do nich w zeszłym roku, na tydzień. To było latem, podczas urlopu.

- Czy miał zamiar obecnie wstąpić gdzieś po drodze? Zatrzymać się u kogo?

- Nic o tym nie mówił. Ale... - zawahała się, umilkła.

- No, no? - rzekł prokurator zachęcająco.

- Teraz tak sobie myślę, proszę pana, że w ostatnich latach było wiele różnych spraw, które mąż mój przede mną ukrywał.

- Po czym pani tak sądzi? - odezwał się Zientara.

Spojrzała na niego spłoszona. Przez chwilę zapomniała, że w gabinecie jest jeszcze ktoś poza nią i prokuratorem.

- Po czym? - powtórzyła w zadumie. - Ano, choćby po tym, że wychodził często z domu nic nie mówiąc dokąd idzie ani kiedy wróci. Szuflady w biurku i szafie zamykał. Myślałam nawet... myślałam, że on kogoś ma. Znaczy się, inną kobietę.

- Czy widziała go pani kiedyś z jakąś nieznaną kobietą? Przychodziły może jakieś listy? - spytał Strzelecki.

- Listy? Nie. Szukałam czasem... - zawstydziała się i umilkła. Potem powiedziała, jakby przewycięzając ten wstyd - no, szukałam po kieszeniach i na biurku. Może jakaś fotografia czy list... Ale nic nie było. Inna rzecz, że gdyby mój mąż coś takiego miał, to by na pewno dobrze schował. On był bardzo dokładny i staranny.

- Czy nie rozmawiał z panią o swoich kłopotach, zmartwieniach? Może miał długi? Albo nieprzyjemności w pracy?

- Długów chyba nie miał. Nawet... zdawało mi się, że ma ostatnio więcej pieniędzy niż przedtem. Dzieciom kupował drogie owoce, zabawki, mnie przyniósł kiedyś taką piękną skórzaną torebkę z Cepelii... - głos jej zadrgał podejrzenie, przyłożyła do oczu chusteczkę. - Pytałam, czy nie dostał podwyżki, ale odparł, że tylko premię. Dawniej u nich w tym laboratorium technicy premie dostawali tylko raz, najwyżej dwa razy na rok. Teraz jakby o wiele częściej.

Prokurator pomyślał, że trzeba o to zapytać w hucie, a głośno powiedział:

- Więc zaobserwowała pani, że miał od pewnego czasu więcej pieniędzy niż dawniej. A czy wobec pani zachowywał się tak samo?

- Nie. Chodził ponury, zamyślony, czasem cały wieczór potrafił się do mnie nie odezwać. Potem znów mu to jakby przechodziło na tydzień czy dwa. I tak ciągle.

- A czy był u lekarza?

Bekierowa spojrzała zdziwiona na prokuratora.

- U lekarza? Po co? Mąż prawie nigdy nie chorował. Sporty różne uprawiał, do klubu należał. Chodził czasem do dentysty, to wszystko.

Zientara nachylił się do prokuratora i szepnął mu do ucha:

- Podejrzewacie chorobę psychiczną?

- Niewykluczone - odparł krótko Strzelecki. Denerwował go trochę ten nieznamy gość z bezpieczeństwa. Nie wiadomo po co siedzi na przesłuchaniu i tylko peszy kobietę.

- Kto u państwa bywał w domu? - spytał, zwracając się znów do Bekierowej. - Czy przychodzili na przykład koledzy męża z huty „Nadzieja”?

- Prawie nigdy - odparła z odcieniem smutku. - Nawet czasem się dziwiłam. Ja właściwie wcale tych jego kolegów nie znałam. Widziałam ich tylko parę razy, jak przychodziłam do męża, ale do laboratorium i tak mnie nie wpuszczano, więc tylko w stołówce raz czy dwa razy i na jakiejś zabawie w Domu Hutnika.

- A ktoś spoza huty przychodził?

- Też nie... - umilkła, coś rozważając. Widać było, że usiłowała sobie dokładnie przypomnieć. Wreszcie powiedziała: - Kiedyś przyszedł do nas zupełnie obcy mężczyzna, którego nigdy przedtem ani potem nie widziałam, ani w hucie, ani w osiedlu. Teraz sobie przypominam, że rozmawiał z mężem o wyjeździe... ale nie wiem, który to z nich miał jechać i dokąd.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to było.

- On przyszedł wieczorem. To było chyba w styczniu albo... nie, w marcu. Na pewno, bo peklowałam mięso na Wielkanoc. Byłam w kuchni, kiedy przyszedł. Mąż go wpuścił i zaraz zamknął się z nim w pokoju. Nie wiem, o czym mówili. Ale jak wychodził, usłyszałam koniec ich rozmowy, właśnie o tym wyjeździe. Mówili też coś o... zaraz, jak to było?

- Niech pani sobie dobrze przypomni, to może być bardzo ważna wskazówka.

- Mąż się go spytał: „Kiedy się zobaczymy?” A on odpowiedział: „Będę tam u was za parę dni”. Na to mój się zdziwił i mówi: „Przecież jużście skończyli robotę”? A tamten - że jeszcze nie. Zaraz potem pożegnał się i wyszedł.

- Czy pamięta pani, jak ten człowiek wyglądał? - wtrącił kapitan Zientara. Prokurator rzucił mu

krótkie, niechętnie spojrzenie. Stanowczo ten facet nie powinien mieszać się tak dalece do przesłuchania.

- Tak bardzo mu się nie przyglądałam - odparła Bekierowa. - Drzwi od kuchni były tylko trochę uchylone i raz wyjrzałam.

- Czy był wysoki, niski? Jak ubrany?

- Dość wysoki, okrągły na twarzy, ubrany w zwyczajną jesionkę. Pamiętam, że był w berecie, bo u nas to mało kto nosi.

Kiedy prokurator skończył przesłuchanie i Bekierowa wyszła, zwrócił się do kapitana i zapytał z ledwo uchwytną ironią:

- Sądzicie, że ten tajemniczy osobnik może mieć jakiś związek ze śmiercią Bekiera?

- Nie mamy jeszcze wyników sekcji zwłok - odparł tamten wymijająco. - Może to samobójstwo? Trudno tutaj czymś się sugerować.

*

W tydzień później major Wichurski siedział w jednym z pokoi komórki kontrwywiadu w Katowicach, przeglądając uważnie dostarczone przez Ewę Jasińską akta personalne sześciu kierowników

działów spółdzielni. Były to ankiety i życiorysy. Zaświadczenia z poprzednich miejsc pracy oraz odpisy ankiet, Ewa wręczyła milicji katowickiej do bliższego sprawdzenia ich wiarygodności.

Wichurski nie spodziewał się wiele po życiorysach. Któż napisze sam o sobie coś, co może go przedstawić w niekorzystnym świetle lub utrudnić przyjęcie na nowe stanowisko... Do dokumentów tych dołączone były jednak i opinie. Niektóre z nich, pisane widać przez ludzi o niezbyt szerokim horyzoncie myślowym, za to mocno zawężonym poczuciu odpowiedzialności, brzmiały wręcz nonsensownie i major zżymał się przy czytaniu.

Jerzy Soból - pisał jakiś kadrowiec - jest niezłym fachowcem, do obecnej rzeczywistości ustosunkowanym zgoła pozytywnie, aczkolwiek lubi wypić przy niedzieli. Wykazuje się aktywnie w pracy związkowo-społecznej, bo rozprawdza pomiędzy pracowników spółdzielni bilety do kina, przez co działa na niwie.

Jaka to była niwa, kadrowiec zapomniał napisać. Major odsunął papiery ze zniechęceniem. Może niepotrzebnie uczepili się tych spółdzielni...

Ktoś lekko zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Dzień dobry, Ewo - Wichurski uśmiechnął się, wstając na powitanie. Pocałował ją w rękę, czego nigdy nie robił przy kolegach, pomógł zdjąć płaszcz i przyjaznym gestem wskazał fotel za biurkiem. Przez chwilę z widoczną przyjemnością przyglądał się, jak poprawiała włosy, potem westchnął lekko, ściągnął brwi i spytał tonem niemal obojętnym:

- Masz coś nowego?

- Tak - odparła, biorąc z biurka jego papierosy. - W rozmowie z milicją natrafiłam, wyobraź sobie, na jednego sierżanta, który w latach pięćdziesiątych był kierownikiem działu kadr w zakładzie ceramicznym na przedmieściu Zielonej Góry. Otóż twierdzi on z całą stanowczością, że żaden Roman Koliński tam wówczas nie pracował.

- Poczekaj - przerwał jej, podając zapalniczkę - nic jeszcze nie wiem o żadnym Romanie Kolińskim. Któż to jest?

- Ach, prawda - roześmiała się. - Zabrałam ci jego ankietę i życiorys, bo nie zdążyłam już zrobić odpisów. Masz, tutaj jest to wszystko - położyła na biurku teczkę. - Koliński to jeden z tej szóstki, kierownik działu zaopatrzenia i zbytu w spółdzielni

„Mechanik”. W jego aktach jest między innymi zaświadczenie z tego właśnie zakładu ceramicznego w Zielonej Górze. Miał tam pracować od września tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt do marca pięćdziesiąt jeden. No więc nie pracował.

- I sfałszował zaświadczenie? Widzisz, Ewa, to się zdarza. Może siedział w tym czasie za jakieś kradzieże czy inne przestępstwo, do czego oczywiście nie chciał się potem przyznać. Ale masz rację, że trzeba to będzie wyjaśnić. Co on robił przedtem, ten Koliński? Aha, tu jest jegoteczka. Zaraz zobaczymy. Ankieta... Życiorys... Co on tu pisze: *Urodziłem się szóstego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w Radomsku jako syn robotnika Zakładów Drzewnych „Thonet & Mundus”. Uczęszczałem do szkoły handlowej... i tak dalej. Okupacja: Pracowałem od roku czterdziestego pierwszego w tych samych zakładach, co mój ojciec...* Tu jest zaświadczenie z Zakładów Drzewnych.

- Po niemiecku. Tego już się chyba nie da sprawdzić.

- A po co sprawdzać? Co nam to da? Zresztą, poczekaj. Dalej pan Koliński pisze, że się ukrywał przed wywiezieniem na roboty do Niemiec...

przebywał jakiś czas w Rzeszowskiem, u wuja na wsi. *Po wojnie przez blisko rok chorowałem na płuca. Potem, ze względu na stan zdrowia, pracowałem jako pomocnik ogrodnika w majątku państwowym Żękocice, na Ziemiach Odzyskanych, następnie tamże jako pisarz. W pięćdziesiątym roku, we wrześniu, rozpocząłem pracę w Zakładzie Ceramicznym w Zielonej Górze.*

- Ciekawam, czym wówczas zajmował się naprawdę.

- Dokument robi wrażenie autentycznego. Może ten sierżant nie pamięta? Ilu w takim zakładzie mogło być pracowników? Dwustu - a może pięciuset? Czy on może pamiętać wszystkie nazwiska? No dobra. Zobaczymy. Potem Koliński przeniósł się do Warszawy i był zatrudniony, jak pisze, na stanowisku technika normowania w Zjednoczeniu Przemysłu Budowlanego aż do roku pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to wyjechał na Śląsk. Ciekawe, na ogół ludzie bardzo niechętnie wyjeżdżają z Warszawy, jak już mają w niej pracę. Co on robił na Śląsku? Aha, wpierw pracował w spółdzielni „Feniks” jako referent w dziale zaopatrzenia, a potem awansował do „Mechanika” na kierownicze stanowisko. Sądzisz, Ewo, że w tym

wszystkim jest coś niewyraźnego? Czy wiesz, jaką ma opinię w obecnym miejscu pracy?

Opinia Romana Kolińskiego jednak nie tylko nie nasuwała zastrzeżeń, ale była wręcz pozytywna. Dobry fachowiec, zdolny, rzutki organizator, uczciwy - oto ocena jego pracodawców i kolegów.

Obserwacja również nie wykryła żadnych faktów, które mogłyby wzbudzać niepokój. Koliński był człowiekiem spokojnym, koleżeńskim, pieniędzmi nie szastał, nie upijał się ani nie rozbijał po lokalach, z kobietami rzadko kiedy go widywano. Był nieżonaty, mieszkał w małym, sublokatorskim pokoju w Katowicach.

- Sfałszowane świadectwo trzeba będzie jednak sprawdzić - rzekł Wichurski, wysłuchawszy sprawozdania Ewy. - Może to zupełnie nieszkodliwy człowiek i tylko zdarzyło mu się w przeszłości małe „potknięcie”. A może...

- Zajmiemy się tym - odparła Ewa. - Wydaje mi się, że nieco informacji o nim można by uzyskać w Radomsku. Tam się urodził, tam mieszkał przez dłuższy czas. Z pewnością znajdą się ludzie, którzy pamiętają go jeszcze. Czy chcesz, żebym tam pojechała?

Wichurski potrząsnął przecząco głową.

- Niech jedzie Skowroński. To jest robota dla mężczyzny. Tak, trzeba, żeby pojechał. W niczym nam to nie przeszkodzi, a - być może - pewne rzeczy się wyjaśnią.

*

Kilka minut przed godziną pierwszą w południe pociąg pośpieszny z Katowic do Warszawy zatrzymał się na małej stacji z bardzo dużym napisem „Radomsko”. Zatrzymał się chyba nie dłużej niż kilkanaście sekund, po czym z sykiem pary pomknął dalej.

Niewielka grupka podróżnych, którzy wysiedli, bez pośpiechu skierowała się w stronę wyjścia. Niektórzy z nich się znali i pozdrawiali uchyleniem kapelusza, rzucając zdawkowe: „co słychać?” albo „jak leci?”.

Porucznik Skowroński, w eleganckim szarym ubraniu, z teczką i płaszczem przewieszonym przez ramię, wysiadł ostatni. Rozejrzał się najpierw z ciekawością dokoła, a następnie podążył za innymi do wyjścia.

Przed stacją stały dwie dość mocno sfatygowane taksówki. Kierowcy drzemali, nie licząc na żadną jazdę ani atrakcję w rodzaju bijatyki czy pożaru

stacji. Instynkt zawodowy zbudził jednak jednego z nich, kiedy człowiek w eleganckim garniturze ukazał się przed budynkiem. Kierowca przetarł ręką zaspaną twarz, splunął przez lewe okno, a potem wychylił się przez prawe i spytał zachęcająco:

- Pojedziemy?

- Chciałbym dostać się do hotelu - powiedział Skowroński. - Czy może mnie pan tam zawieźć?

- Do hotelu? - powtórzył kierowca i westchnął. Drugi taksówkarz rozbudził się również, a dosłyszawszy, o co chodzi, parsknął śmiechem.

- Jak pan chcesz, możemy dookoła miasto objechać, ale hotel stąd o trzy minuty drogi.

- Pięc - zaprzeczył pierwszy kierowca.

Przez chwilę sprzeczali się sennie, wreszcie doszli zgodnie do wniosku, że sześć. Można było tego frajera nabrać, powozić trochę tu i tam, a potem dojechać do hotelu od strony rynku. Czasami robili nieznanym podróżnym takie kawały, dzisiaj jednak nie chciało im się nawet zapuszczać silników.

- Sześć minut to blisko - rzekł Skowroński. - W prawo czy w lewo?

Pierwszy kierowca pokazał ręką na prawo. Drugi już drzemał. Porucznik skręcił w ulicę Reymonta. Hotel, o nieśmiertelnej w Polsce nazwie

„Europejski”, był rzeczywiście bardzo blisko. Dwupiętrowy, szary i trochę ponury budynek nie robił zachęcającego wrażenia. Przybysza nie obchodził jednak wygląd hotelu. Przelotnie pomyślał tylko: „aby nie było pluskiew”, i wszedł do środka.

W hallu przy ladzie, obok tablicy z garstką kluczy, do których przyczepione były ogromne, drewniane gałki, kiwał się nad gazetą tęgi, łysy jak kolano portier. Nie zauważył wejścia podróżnego, bo spał. Miał dyżur przez dwadzieścia cztery godziny i teraz odsypiał noc.

- Czy dostanę jakiś pokój? - spytał Skowroński, stając przy ladzie. Płaszcz i teczkę położył obok siebie, wyjął dowód osobisty i wieczne pióro.

Portier ocknął się, spojrzał nieprzytomnie na nowego gościa, potem z przyzwyczajenia potrząsnął głową.

- Nie ma - odparł.

Przybyły stał jednak wciąż obok niego.

- Przecież powiedziałem panu, że nie ma - rzekł portier z lekkim zniecierpliwieniem, po czym dojrzał wysunięty w jego kierunku banknot i dodał śpiesznie:

- Chyba żeby pan się zgodził na pierwsze piętro. Ale mogę dać tylko dwuosobowy pokój.

Skowroński, który nie wyraził dotychczas żadnych życzeń, ocenił to jako przychylnie załatwienie sprawy. Nic więc już nie mówiąc, wziął podany mu formularz, wypełnił spieszenie wszystkie żądane rubryki, przy czym tam, gdzie było drobniejszym drukiem wypisane „zawód”, wpisał: „inżynier”. Podpisawszy się ozdobnym zakrętasem, oddał zieloną kartkę i w zamian otrzymał klucz od pokoju numer sto dwadzieścia sześć, co było oczywistym nonsensem, bo cały hotel miał tylko szesnaście pokoi.

Wbrew oczekiwaniom, pokój 126 był przyjemny i czysty. Nie brakowało nawet żarówki w lampce nocnej ani ręcznika przy umywalce.

Skowroński umył ręce, obejrzał – raczej z nawyku ściany, łóżko, szafę i drzwi, sprawdził kontakty, potem zostawił płaszcz, bo na dworze był niemal upał, i wyszedł. Portier przepisywał właśnie jego dane personalne do książki meldunkowej. Widać było, że zajęcie to zajmie mu dobrych kilkanaście minut.

- Czy może pan mnie poinformować, gdzie tu jest ulica Kościuszki? – spytał porucznik grzecznie.

- Kościuszki? A niedaleko. Czy tu w ogóle coś jest daleko? – rzekł portier z pogardą.

Skowroński uśmiechnął się.

- Pan nie pochodzi z Radomska?

- Ja? - Portier skrzywił się z odrazą. - Jestem łodzianinem. Ciężki los zagnał mnie do tej dziury i tak siedzę. Za jakie grzechy, sam nie wiem. Pan może z Łodzi? - Ożywił się, spojrzał na kartę meldunkową, pokiwał głową. - Katowice. Znam, znam. Duże miasto. Ale nie takie, jak nasza Łódź. Był pan kiedy w Łodzi?

- Byłem. Bardzo ładnie po wojnie się rozbudowuje.

- No widzi pan - ucieszył się portier, jakby to była jego zasługa. A widząc, że gość zbiera się do wyjścia, dodał szybko: - Pójdzie pan prosto, a potem pierwszą w prawo i zaraz będzie Kościuszki. Trafi pan, to nie Łódź, tu wszystko w garści.

Skowroński bez trudu odnalazł ulicę, a na niej Komendę Powiatową Milicji Obywatelskiej. Komendant miał być uprzedzony o jego przyjeździe, porucznik spodziewał się nawet, że ktoś od nich będzie, oczywiście po cywilnemu, na peronie. Dobrze, że te przewidywania zawiodły. W tak niewielkim mieście z pewnością wszyscy milicjanci znani są jego mieszkańcom i takie powitanie mogłoby nieco pokrzyżować porucznikowi plany.

Komendant wykazał jednak tyle sprytu, że nie wysłał nikogo oficjalnie. Nie wiedząc o tym, Skowroński był obserwowany bardzo dyskretnie przez jednego z podoficerów, który śledził jego kroki aż do hotelu, po czym zawrócił do Komendy i powiadomił swego szefa, że „gość” przyjechał i pewnie niedługo tu się zjawi. Toteż kiedy Skowroński wszedł do budynku milicji, wartownik był już uprzedzony, a komendant czekał w swoim gabinecie.

Mimo to wartownik sprawdził starannie okazaną mu legitymację, a sekretarka komendanta powiedziała służbiście, iż „zaraz zamelduje”. Jej szef poprawił mundur, zapiął pas, po czym stanął w drzwiach gabinetu, zapraszając gościnnie w jego progi.

Skowroński przedstawił się jako oficer ze służby bezpieczeństwa z Warszawy. Nie wdając się w meritum sprawy, powiedział komendantowi, iż chciałby ustalić w Radomsku pewne fakty i dane personalne, dotyczące niektórych osób. Chodzi mu zwłaszcza o ludzi, którzy podczas okupacji pracowali w Zakładach Drzewnych „Thonet & Mundus”. Wymienił kilka nazwisk, między innymi i Romana Kolińskiego.

Komendant przepisał do swego notesu wszystkie nazwiska. Wówczas porucznik zniszczył kartkę i dodał, że chciałby również uzyskać adresy tych osób oraz wszystko, czego tylko milicja może się o nich w ciągu paru godzin dowiedzieć.

- To się da zrobić - odparł komendant, przeklinając w duchu warszawskiego gościa, który nadał mu oto nową żmudną robotę. - Na kiedy chcecie to mieć?

Skowroński spojrział na zegarek.

- Gdybyście mogli... powiedzmy, na szóstą wieczór, to by było bardzo dobrze.

- Cholernie mało czasu - odparł komendant szczerze. - Ale spróbujemy.

*

O szóstej porucznik dowiedział się tyle, że poczuł pewniejszy grunt pod nogami. Nie wgłębiając się w dane personalne, dotyczące innych osób, zajął się informacjami o Romanie Kolińskim. Okazało się, że pracował on rzeczywiście w czterdziestym pierwszym roku w Zakładach Drzewnych „Thonet & Mundus” - ale to była jedyna wiadomość zgodna z ankietą. Bo ani ojciec Kolińskiego w tych zakładach nigdy nie pracował, ani też nie był robotnikiem. Miał

własny, dobrze prosperujący sklep tekstylny w centrum miasta, który udało mu się utrzymać aż do nadejścia frontu w czterdziestym piątym roku. W czasie działań frontowych stary Koliński zmarł.

Wywiadowca, który przyniósł te wszystkie informacje, dodał jeszcze, że Roman Koliński gdzieś wiosną czterdziestego drugiego roku, w obawie przed wywiezieniem na roboty do Niemiec, wyjechał do dalszej rodziny swego ojca na wieś. Miało to być podobno w Lubelskiem czy w Rzeszowskiem. Od tej pory wszelki słuch po nim w Radomsku zaginął i niektórzy przypuszczali, że po prostu zginął w czasie działań wojennych.

Wywiadowca, zapytany przez Skowrońskiego, skąd udało mu się w tak szybkim tempie zdobyć aż tyle informacji, odparł, że nie sprawiło mu to większych trudności. Mieszkał w Radomsku od czterech lat i znał niemal wszystkich. O Kolińskich rozmawiał z ich dawnym sąsiadem, Kazimierczakiem, który w czasie okupacji był kierownikiem punktu dostaw produktów rolnych; chodziły słuchy, że wraz ze starym Kolińskim jeżdżą nocami na wieś, handlując po kryjomu gdzie się dało i czym się dało. Jak to tam było naprawdę – dziś nikt nie dojdzie. Faktem jest jednak, że sklep Kolińskiego

zawsze miał duży wybór towarów i jakoś nigdy nie dochodziło w nim do „nieporozumień” z władzami niemieckimi, zaś Kazimierczak nigdy jakoś nie wpadł na tych swoich jazdach, lecz dorobił się domku z ogrodem i grubej gotówki.

Porucznik namyślał się przez chwilę, a potem postanowił pójść do Kazimierczaka. Spytał, gdzie on mieszka i jak tam dojść, po czym podziękował komendantowi za informacje i wyszedł.

Na dworze było już ciemno. Mały, niski domek Kazimierczaka, otoczony krzewami bzu, miał okna nieoświetlone. Porucznik postąpił chwilę przed zamkniętą furtką, potem skręcił obok ogrodu i zaszedł od podwórza. Dwa duże psy, na szczęście niespuszczone z łańcucha, powitały go wściekłym ujadaniem. Zanim zdążył zapukać do drzwi, spod których przebijała wąska smuga światła, ktoś je otworzył i stanął w progu, uciszając psy.

Był to mężczyzna niewysoki, mocno już przygarbiony, prawie zupełnie łysy, o mocno sklepionej czaszce i krótkiej, grubej szyi. Miał na sobie flanelową koszulę w ciemną kratę i szerokie, dobrze już sfatygowane spodnie.

Dojrzał Skowrońskiego, jednym rzutem oka ocenił jego elegancki płaszcz, teczkę, uniósł brwi z lekkim

zdziwieniem i zapytał, wyraźnie siląc się na uprzejmy ton:

- Czy pan ma do mnie jakiś interes? Bo, przepraszam, ale nie mogę sobie przypomnieć... twarz niby znajoma, tylko oczy moje już stare.

- Czy pan Kazimierczak? - odparł porucznik pytaniem. Wolał się upewnić.

- Tak, to ja.

- Pan mnie nie może pamiętać, bo w ogóle się nie znamy - uśmiechnął się. - Ja jestem Wacław Koliński... krewny, a właściwie stryjeczny brat Romana.

- Koliński? Brat Romana? - powtórzył stary człowiek z ogromnym zdziwieniem. - Czy to może... czy to pan jest ten, co to tak długo mieszkał we Francji?

Skowroński błyskawicznie obliczył w myślach lata, skojarzył z wiekiem Romana i odparł, śmiejąc się:

- To znaczy, jestem jego synem. Mój ojciec wyemigrował do Francji bardzo dawno. Ja teraz wróciłem i przyjechałem tu, aby ich wszystkich odwiedzić, ale... - urwał, niby ze smutkiem.

- Tak, tak - powiedział Kazimierczak z westchnieniem. - Karol nie żyje, zginął w czasie

frontu. A Roman... ale po co my tak stoimy, niechże pan wejdzie do mieszkania. Proszę - otworzył szeroko drzwi.

Kiedy usiedli w dusznym pokoju, który można było w równym stopniu nazwać jadalnym, jak i salonem, Kazimierczak przyglądał się swemu gościowi przez parę chwil, a potem nagle spytał:

- Właściwie... jak pan do mnie trafił?

W głosie jego można było wyczuć pewną nieufność. „Boi się - pomyślał porucznik. - Pewnie boi się złodziei. Musi mieć jeszcze trochę waluty ze starych zapasów”. A głośno powiedział:

- Wie pan, ja wróciłem do Polski cztery miesiące temu. Osiedliłem się w Warszawie, mam tam taki warsztat radiomechaniczny. No, przywiozło się trochę narzędzi i gotówki... Nie powiem, żeby mi źle szło. Zarobek jest. Ale pomyślałem sobie: siedzę tak w tej Warszawie sam jak palec, trzeba przecież jakichś krewnych poodnajdywać. No to zabrałem się i przyjechałem do Radomska. Rano przyjechałem, pokój mam w hotelu. Pytałem portiera, pytałem parę spotkanych osób, ale jakoś nikt o Kolińskich nic nie wiedział. Nie wiem... może źle, że młodych pytałem, oni mogą nie pamiętać. To Roman już tu nie mieszka?

- Nie. A kogo pan pytał? - Stary nie był, widać, jeszcze przekonany.

- Niech pan sobie wyobrazi, że poszedłem nawet na milicję! No, ale w końcu powiedziano mi, że może pan będzie coś wiedział o moich krewnych. Więc przyszedłem. Przepraszam, że o tak późnej godzinie, pan już może spał?

- Nie, skądże. Nigdy pan u Karolów nie był?

- A kiedy? Zresztą, pan musiał o tym słyszeć, pomiędzy naszymi rodzinami były jakieś spory, zdaje się majątkowe. Dlatego te kontakty były bardzo luźne. Ot, wiedziało się, że są w Radomsku krewni, że stryj Karol, że Roman... To wszystko. Moi rodzice też już nie żyją. A ja nie widzę powodu, dla którego miałbym się z Romanem kłócić o jakieś stare sprawy.

Przez uchylone drzwi zajrzał nieśmiało kilkunastoletni wyrostek o jasnej, kędzierzawej czuprynie.

- Dziadzio... Azor się urwał z łańcucha - umilkł z zażenowaniem na widok obcego.

- To mój wnuk - stary przedstawił go Skowrońskiemu z pewną dumą. A do chłopca powiedział: - No co? Nie potrafisz go przywiązać?

- Kiedy łańcuch się przerwał. Dziadzio da ten nowy, co jest w komórce.

- Panie Kazimierczak - wtrącił się porucznik do rozmowy - a może by wnuczek skoczył tu gdzieś po jakąś butelkę? Od tyłu zawsze się jeszcze dostanie, prawda? - Wyciągnął portfel, a z niego sto złotych. - Tylko najlepszą, jaka jest. Eksportową. Co będziemy tak na sucho rozmawiać.

- Nie, nie! - zaprzeczył żywo Kazimierczak. - Pan jest moim gościem, to ja zaraz... - Szukał po kieszeniach, ale widać było, że robi to nie bardzo chętnie.

„Skąpy” - pomyślał porucznik.

- Skądże znowu - powiedział, dając chłopcu banknot. - U nas we Francji... to znaczy, jak byłem we Francji, to tam jest zwyczaj, że jak ktoś po raz pierwszy do czyjś domu przyjdzie z wizytą, musi przynieść ze sobą butelkę wina. Bo tam do wszystkiego wino piją, nie wódkę. Weź, chłopcze, skocz po flaszkę czegoś najlepszego, co mają.

- No, jak pan tak mówi - bąknął stary z uradowaną miną.

Chłopiec wyszedł, zapominając o łańcuchu.

- Romana znałem od dzieciaka - zaczął Kazimierczak, sięgając do podanej mu papierošnicy. - Chodził do szkoły handlowej. Nie powiem, ładny był z niego chłopak, zgrabny, dobrze wyrošnięty. Ojciec

pieniędzy nie skąpił, to się młody rzucał... no, jak to młody. Ubrany był zawsze jak z igły, dziewczuchy za nim się oglądały. Przed samą wojną to on miał... zaraz, chyba siedemnaście lat. Tak. Pomagał ojcu w sklepie. Sportowiec też był z niego pierwszej klasy, wszyscy mówili.

- Musiało mu się przykrzyć później w Zakładach Drzewnych?

- Ee tam... - stary machnął ręką lekceważąco. - To była lipa. Faktycznie to on chodził tam raz, może dwa razy na miesiąc. Aby się pokazać. Majster za niego listę podpisywał. A Karol całą sprawę „smarował”. Forsy tośmy mieli wtedy dość. Dopiero jak zaczęto takich młodych jak Roman wywozić na roboty do Niemiec, Karol się przestraszył. Ale jeszcze przez jakiś czas szło, bo kierownik arbeitsamtu lubił popić i dobrze zjeść, więc były na niego sposoby. Do czasu. Potem kierownika zmienili, przyszedł nowy, ostry, zabrał się do tych wszystkich, których tamten ochraniał. No i Karol wyprawił syna do swoich dalszych krewnych, w Rzeszowskie. Pan ich może zna?

Skowroński zaprzeczył ruchem głowy.

- Taka mała wieś... zaraz, jak ona się nazywała? Coś od brzozy czy świerka. Byłem tam kiedyś, ale

zapomniałem. Dojeżdżało się ze stacji Strzyżów, a potem końmi jeszcze parę godzin.

- Czy nie pamięta pan, jak się nazywali ci krewni? Też Kolińscy?

Kazimierczak potrząsnął głową.

- Chyba nie, ale nie pamiętam. Wie pan, to już przecież kawał czasu, jak tam byłem...

Rozmawiali potem chwilę o Radomsku, jak się tu żyje i kto jeszcze pozostał ze starych znajomych rodziny Kolińskich, aż wrócił wnuk Kazimierczaka z butelką wódki eksportowej, więc wypili po kilka kieliszków „pod papierosa”, bo stary nie chciał dać, czy może nie miał nic na przegryzkę. Kiedy Skowroński pożegnał go, upewniwszy się po raz ostatni, że od tamtych czasów nikt Romana w miasteczku nie widział ani o nim nie słyszał, Kazimierczak nagle palnął się dłonią w czoło i wykrzyknął z zadowoleniem:

- Sosnówka! Ta wieś, o którą pan pytał, nazywała się Sosnówka. Teraz mi się przypomniało.

- Po wódce - mruknął stojący obok niego chłopak i odchylił się w bok, bo dziadek zamierzył się na niego, pół żartem pół serio.

*

- To wszystko, czego mogłem się od niego dowiedzieć, towarzyszu majorze - zakończył Skowroński. - Wydaje mi się, że nie jeździłem na próżno. Z tym Kolińskim to jakaś dziwna historia. I nie do końca jeszcze wyjaśniona.

- Tak - Wichurski w zamyśleniu obracał w palcach pióro. - W każdym razie parę fragmentów jego życia inaczej wygląda w rzeczywistości, a inaczej w ankiecie. To daje do myślenia. Zresztą, gdyby nie fakt, że jako kierownik działu zbytu „Mechanika” miał zbyt częsty dostęp do tajnego laboratorium...

- I gdyby nie to, że z tegoż laboratorium zginęły dwa tajne dokumenty... - wtrącił porucznik.

- Właśnie. To byśmy się nim tak bardzo nie zajmowali.

Rozdział 5

Samochód był stary, niski, nieco zdezelowany na oko, ale z bardzo mocnym silnikiem, zaopatrzony w „wyjąca” syrenę i czterdzieści kilo ołowiu w przodzie, dla utrzymania równowagi, w razie gdyby zarzucił. Należał do katowickiego urzędu bezpieczeństwa i został Wichurskiemu wypożyczony wraz z kierowcą w stopniu sierżanta i życzeniami szczęśliwego powrotu, jako że zbyt wiele wozów urząd nie posiadał. Kierowców też nie.

Wskutek opóźnienia wyników sekcji, bez których major nie chciał się ruszyć z Katowic, wyjechali wraz ze Skowrońskim dopiero o szóstej wieczorem. W Strzyżowie miał ich oczekiwać komendant milicji oraz zamówiony przez niego nocleg.

Wieczór był ciepły i cichy, prawie bez wiatru. Citroen sunął osiemdziesiątką, gładko pokonując wyboje na drodze i wymijając stada krów, wracających właśnie z pola.

- Wiecie - zaczął major, gasząc niedopałek papierosa - jak mi Zientara opowiadał po swojemu,

ściśle i dokładnie, o wynikach sekcji zwłok Bekiera, to aż mi się niedobrze zrobiło.

Skowroński parsknął śmiechem.

- Okropny z niego pedant - zauważył. - Ale to właśnie pozwala mu na wykrycie różnych drobiazgów, które potem okazują się nagle ogromnie ważne. Ale zapomniałem was spytać, jakie są te wyniki?

- No więc podstawową przyczyną śmierci tego technika było zatrucie luminalem. Zaraz, jak mi to Zientara tłumaczył? Aha: sfera motoryczna centralnego układu nerwowego została zaatakowana luminalem. Sekcja stwierdziła drobne krwotoki w układzie ośrodkowego nerwowego, a przy luminalu występują one szczególnie w korze mózgowej. Na żądanie Zientary przeprowadzili ponadto dodatkowe badania i udało im się wyodrębnić luminal w niektórych częściach zwłok. Nerki czy coś takiego.

- Czyli że facet się zatrueł. No dobrze, ale teraz zasadnicze pytanie: samobójstwo czy zabójstwo?

- Ba! Tego nie wiem. Stwierdzili również pewne prawdopodobieństwo istnienia alkoholu w organizmie. Dziwna sprawa. Albo przedtem sobie popił, albo po zażyciu tabletek. Jeżeli to drugie, to

wciąż otwarta pozostaje sprawa: gdzie jest naczynie, z którego pił?

- Jeżeli ktoś go otruł, zabrał naczynie. Po co?

- Aby upozorować samobójstwo, oczywiście. Idźmy dalej: dlaczego temu komuś zależało na upozorowaniu samobójstwa? Kto wie, co się za tym kryje. Pamiętajcie, że Bekier pracował w tajnym laboratorium. W tym laboratorium, z którego zginęły dwa dokumenty.

- Zaraz - przerwał Skowroński, który myślał o czymś innym - czy luminal rozpuszcza się w alkoholu?

- Tak. Zientara mnie już dokładnie o wszystkim pouczył.

- Ale nie traci przy tym swego właściwego smaku? Wiecie, nigdy nie zażywałem luminalu, jak to smakuje?

- Lekko gorzkawe.

- No i co? I Bekier tak spokojnie wypił wódkę z czterdziestoma tabletkami? Chyba mu dano piołunówkę. Albo też był zdecydowanym alkoholikiem. Jednak skądinąd wiemy, że to nieprawda. Kazik mówił, z tego co słyszał w hucie, że „lubił czasem wypić”. To przecież jeszcze nie znaczy,

że był nałogowcem. Taka rzecz by się w hucie nie ukryła. Więc może wleli mu to siłą w usta?

Wichurski wzruszył ramionami.

- Jeżeli siłą, to po co w alkoholu? Wystarczyłaby woda ze strumyka. Tańsza i pod ręką. Powiem wam szczerze, iż wcale nie jestem przekonany, że to było zabójstwo. Za mało mamy danych.

Umilkli, temat był wyczerpany. Trudno było dyskutować za pomocą samych hipotez i przypuszczeń. Ostatecznie prokurator prowadzi w tej sprawie śledztwo, może uda mu się dojść do konkretniejszych wyników.

Dojeżdżali do Brzeska. Było już mroczno, w miasteczku okna domów świeciły żółtym, łagodnym blaskiem. W niektórych domach nie było jeszcze elektryczności i używano lamp naftowych.

- Pić mi się chce - mruknął sennie Wichurski.

Kierowca dosłyszał i powiedział:

- Ja bym chciał na parę minetek wóz zatrzymać, bo mi coś przerywa dopływ w motorze. W rynku jest gospoda ludowa, może towarzysz major napić się piwa, a ja przez ten czas przejrę wóz.

- A może byśmy tak coś przekąsili? - zaproponował Skowroński, który rzadko kiedy tracił apetyt. - Bo ja bym już coś zjadł.

- Z tego wynika, że wszyscy trzej chcemy zatrzymać się na pół godziny w Brzesku - zakonkludował Wichurski. - No, to się zatrzymujemy.

Gospodę na rynku nietrudno było odnaleźć. Całe Brzesko liczyło sobie prawie pięć tysięcy mieszkańców i miało tylko dwie gospody - jedną koło kościoła i drugą w rynku. Ta druga była lepsza i liczniej odwiedzana - w dzień przez przyjezdnych chłopów, a wieczorami przez miejscową „złotą młodzież” oraz spragnionych piwa nieco starszych tubylców.

Kierowca zatrzymał samochód trochę z boku. Major zaprosił sierżanta na kolację, na co ten zgodził się chętnie i obiecał przyjść, jak tylko zobaczy, co mu „przerywa”, i wóz naprawi. Poszli więc we dwóch. Gospoda była źle oświetlona, pełna dymu i kurzu unoszącego się z podłogi. W pierwszej chwili nie mogli dojrzeć stolików ani rozróżnić twarzy, potem oczy przywykły i zaczęli rozglądać się, szukając wolnego stolika. Nie było to jednak wcale łatwe. Skowroński zaczepił więc przechodzącego z talerzami kelnera, wyjaśniając mu, że jest ich trzech i chcieliby coś zjeść, najlepiej jajecznicę i piwo.

- Nie ma piwa - odburknął kelner. - Może być żytniówka, czysta albo czysta wyborowa.

- Nie chcemy wódki - wtrącił Wichurski. - Jeżeli nie ma piwa, to proszę nam podać herbatę czy kawę.

- Nie ma kawy. Może być żołądkowa albo angielska gorzka.

- Przecież mówimy panu, że nie chcemy wódki. Proszę postarać się nam o miejsce. Chcemy szybko zjeść i wyjść.

- A czy ja co mogę? - Kelner spojrzał na nich wzrokiem człowieka śmiertelnie zranionego. - Przecie ludzi z krzeseł nie pozrzucam. Niech panowie sami... - zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, po czym odbiegł do bufetu.

W tej samej chwili od jednego stolika podniosło się dwóch mężczyzn, kierując się do wyjścia. Skowroński szybko zajął wolny stół, kiwając ręką w stronę majora. Na stole nie było obrusa, tylko brudny papier, zachlapany sosem i zarzucony okruskami chleba. Strzepnęli go po prostu na podłogę i odwrócili na drugą stronę, aby nie pobrudzić rękawów. Przywołany przez porucznika kelner zjawił się wreszcie, przyjął zamówienie na trzy jajecznice, pieczywo i trzy herbaty, wzruszył ramionami i znikł.

- Zdaje się, że będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość - rzekł Wichurski, rozglądając się od niechcienia po sali.

Przy sąsiednim stoliku siedziało czterech, dobrze już podpitych miejscowych elegantów w marynarkach w grubą kratę, czapkach i butach na kilkucentymetrowej „słoninie”. Przyglądali się przybyłym wzrokiem, w którym nie było ani odrobiny życzliwości, była natomiast wyraźna chęć zaczepki.

- Nie spodobaliśmy się tym panom. - Skowroński, kiedy było trzeba, mówił tak, że słyszeć go mógł tylko ktoś siedzący bardzo blisko. - Zdaje się, że mają ochotę wywołać drakę.

Wichurski musnął siedzących przelotnym spojrzeniem. Spojrzał na zegarek. Czekali już prawie kwadrans.

W tej chwili do gospody weszło dwóch milicjantów. Jeden zatrzymał się przy którymś ze stolików, drugi zbliżył się do bufetu i poprosił o piwo.

- Może to się nam przyda - mruknął Skowroński. Wstał, podszedł również do bufetu. Stał tam kelner, czekając na napełniane przez barmankę kufle z piwem.

- Panie, jak długo mamy czekać? - spytał porucznik poirytowanym tonem. - Mówiłem panu, że się śpieszymy. Co jest z tą jajecznicą?

- A czy ja siedzę? - rzucił kelner opryskliwie. - Nie widzi pan, że cały czas ganiem jak kot z

pęcherzem? Jak będzie czas, to się poda.

- O co chodzi? - spytał milicjant, stawiając kufel na ladzie.

- Widzi pan, to jest tak, kiedy nie zamawia się wódki - zwrócił się do niego Skowroński. - Chcemy herbatę, to musimy na nią czekać czort wie jak długo.

- Panie Józiu, podaj pan tym gościom - rzekł milicjant do kelnera. - Miałeś pan protokół w zeszłym tygodniu czy nie? No?

- A o co, przecie ja nie siedzę - powtórzył kelner, ale odstawił na bok tacę z kuflami i wyszedł do kuchni.

Kierowca ukazał się w drzwiach, dojrzał Wichurskiego i przepchnął się w tamtą stronę.

- Wóz w porządku? - spytał major.

- Już, chodzi jak ta lala. Gdzie porucznik?

- Idzie.

Wreszcie kelner wyłonił się z głębi sali, ostentacyjnie niosąc trzy szklanki z herbatą, chleb grubo pokrajany i trzy talerze z dymiącą jajecznicą.

Milicjanci wyszli. Sala jakby odetchnęła, zaraz ktoś krzyknął pijackim głosem, ktoś inny zaczął

śpiewać ochryple. „Władza” poszła, można było bawić się po swojemu.

Kelner postawił herbatę i lekceważącym ruchem rzucił na stolik talerze, aż z jednego jajecznica zsunęła się na „obrus”.

- Nie możesz pan uważać, do licha? - rozgniewał się Skowroński. - Niechże pan obsługuje przyzwoicie.

- Znowu źle? - warknął tamten. - Może i teraz poleci pan do milicji na skargę, co? Przed chwilą poszli, to są niedaleko. A Komenda w rynku, naprzeciw. Proszę bardzo. Można pójść.

Od paru stolików doleciał śmiech. Gruby, obraźliwy.

- Panie Józiu, temu panu się u nas nie podoba? - spytał ktoś. - To zabierz pan z powrotem talerze. Niech nie jedzą, kiedy tak.

- Słusznie! Racja! - przyświadczyli inni. - Niech nie żrą.

- Panie Józiu - ciągnął ten sam głos - jakby pan miał tylko takich gości, co to jajeczniczkę i herbatkę, to by pan zbankrutował.

Teraz ryczała już śmiechem cała sala.

- Nie dajcie się sprowokować - szepnął major, jedząc spokojnie, jakby nie słyszał.

- Kiedy mnie już krew zalewa - mruknął kierowca.
- To kończmy szybko, płacimy i jazda.

Milczenie przybyłych podrażniło siedzących, zwłaszcza tych w kraciastych, jasnych marynarkach. Twarze mieli już czerwone od wódki i gorąca, oczy mętne.

Kiedy przybysze zjedli i regulowali rachunek, jeden z nich odezwał się współczującym tonem do kelnera:

- Tyle, coś pan utargował, panie Józiu, to gównno.
- Gównno zjedli, to i gównno płacą - roześmiał się inny.

Kierowca nie wytrzymał. Odwrócił się w tamtą stronę i zanim major zdążył go powstrzymać, rzucił ostro:

- A co cię to, gówniarzu, obchodzi?
- No, ty! Uważaj. Nie bądź taki cwaniak, bo w mazak dostaniesz - odparł tamten gniewnie.

- Chodźmy! - Wichurski wstał, za nim podnieśli się inni. Na ten widok mężczyźni w kraciastych marynarkach poszeptali coś do siebie i wstali również. Skowroński zaniepokoił się. To pachniało awanturą, a im nie wolno było do awantury dopuścić. To samo myślał Wichurski. Jeżeli milicja rzeczywiście była niedaleko, można było ostatecznie ją przywołać,

okazać swoją legitymację i poprosić o „zaopiekowanie się” pijakami. Aby to jednak zrobić, trzeba było przedtem wyjść na rynek.

Ale w drzwiach gospody stało jeden przy drugim pięciu „kraciastych”, tamując przejście. Była to wyraźna prowokacja.

- Przepraszam! - powiedział Skowroński ostro, patrząc im po twarzach. Odwracali głowy, ale nie ruszyli się z miejsca. Skowroński odepchnął dwóch niezbyt silnie, ale zdecydowanie, za nim wbił się jak taran kierowca. Major został z tyłu. Kiedy ruszył za tamtymi i był już niemal za drzwiami, uczuł nagle czyjąś rękę na plecach, a jednocześnie stwierdził w błyskawicznym odruchu, że ktoś podstawia mu nogę. Szarpnął się, był bardzo silny i wysportowany, odwrócił w tył i zobaczył tuż koło siebie spoconą, rozpaloną alkoholem twarz.

- O co chodzi? - spytał prawie spokojnie.

Zagadnięty nie odpowiedział. W przejściu było zupełnie ciemno, trudno było dojrzeć jego rysy.

- Ludzi rozpychacie? - krzyknął któryś z wielkim oburzeniem. - Draki szukacie?

- Jak się wychodzi, to się grzecznie mówi do widzenia - dodał inny. Znów wybuchł śmiech. Na chwilę rozstąpili się, przepuszczając majora jakby z

uprzejmości. Ale gdy wyszedł, poszli za nim. Skowroński i sierżant stali parę kroków dalej, czekając.

- Co tam było? - spytał Skowroński zaniepokojony.

- Chodźmy, może się obędzie bez draki - odparł. Nie wierzył jednak już w to, co mówił. Tamci następowali im na pięty. Przystanął więc, aby dojrzeć, czy na rynku są jeszcze milicjanci. W tej samej chwili jeden z pijackiej ferajny, ostentacyjnie pchnięty przez swych kolegów, przewrócił się na kierowcę całym ciężarem swego zwalistego ciała. Obaj upadli, ale sierżant poderwał się natychmiast, odpychając od siebie innego, i krzyknął z gniewem:

- Zabierz łapy, łobuzie!

- Co, kolegę naszego bijesz? - wrzasnął któryś. - Panowie, biją nas!

Wichurski dojrzał nagle wyciągniętą w powietrzu rękę z kamieniem. Ręka zamachnęła się prosto w twarz kierowcy. Zaraz potem rozległ się wrzask bólu i chuligan, wypuszczając z dłoni kamień, potoczył się na parkan, okalający w tym miejscu gospodę. Wichurski uśmiechnął się lekko; ten chwyt jeszcze go nigdy nie zawiódł. Zanim jednak zdążył ochłonąć, dwaj inni z wściekłością i uporem pijaków rzucili się w jego kierunku.

- Stać! Stać, bo strzelam! - krzyknął Skowroński, mierząc w nadbiegających z pistoletu. Major również trzymał już w ręku odbezpieczoną broń. Kierowca podbiegł do samochodu, wskoczył, zapuścił motor i podjechał tuż obok nich.

Z gospody wyrzął kelner. Wichurski dojrzał go, przywołał stanowczym ruchem ręki, a kiedy tamten - blady ze strachu - podszedł bliżej, rozkazał mu natychmiast biec po milicję. Milicjanci zresztą, dosłyszawszy krzyki, biegli już w ich kierunku. Chuligani, trzymani przez Skowrońskiego wciąż pod bronią, oprzytomnieli. Spoglądali ze strachem na lufy pistoletów, a jeden z nich zaczął prosić płaczliwie, aby „panowie dali spokój, bo on tylko żartował”. Kierowca okazał milicjantom swoją legitymację, dodając, że tamci dwaj towarzysze również są z bezpieczeństwa.

- Jedźmy już - rzucił Wichurski niecierpliwie, wsiadając do samochodu.

Milicjanci zasalutowali niezdecydowanie. Właściwie powinni byli zatrzymać wszystkich, spisać protokół z całego zajścia i tak dalej. Jeżeli jednak „tym z Katowic” tak bardzo się śpieszyło...

*

W Strzyżowie byli na krótko przed północą. Zajechali przed Komendę Powiatową Milicji, gdzie wartownik – widząc zatrzymujący się samochód ze znakami rejestracyjnymi Katowic – od razu zadzwonił do komendanta. Przyszedł po paru minutach; mieszkał niedaleko, poza tym nie kładł się spać, uprzedzony już rano o przyjeździe i trochę niespokojny, dlatego tak długo ich nie ma.

Major opowiedział mu pokrótce o zajściu w Brzesku, bagatelizując je w gruncie rzeczy, gdyż podniecenie wywołane awanturą już mu przeszło.

Komendant pokiwał głową; u nich w Strzyżowie bijatyki i zaczepki w restauracjach zdarzały się kilka razy w tygodniu. Właściwie nie można było sobie z nimi poradzić, dopóki kadry milicyjne były zbyt szczupłe.

Potem zaprowadził ich do pokoju gościnnego na drugim piętrze budynku Komendy, życzył dobrej nocy i odszedł.

Skowroński i kierowca zasnęli natychmiast, zmęczeni jazdą i awanturą. Wichurski leżał jednak dość długo bezsennie, spoglądając w czarne, zaciągnięte chmurami niebo bez gwiazd. Myślał trochę o czekającej ich na drugi dzień robocie, trochę o Ewie, po czym myśli te pomieszały się,

zaczęło mu się zdawać, że Ewa i Roman Koliński uciekają gdzieś dużym, czarnym samochodem, a on goni za nimi na motocyklu – nie wiadomo dlaczego z lassem w ręku. Usnął i spał niespokojnym, nerwowym snem, budząc się dość często.

Wstali o siódmej, zbudzeni potężnym warkotem ciągnika z przyczepą, który przejeżdżał tuż pod oknami Komendy. Zjedli śniadanie w barze mlecznym, nabrawszy na pewien czas dziwnej niechęci do kelnerów i restauracji, po czym wrócili do Komendy. Kierowca zajął się wozem, wprowadzie na krótko, bo zaraz potem bardziej zajęły go stryżowskie dziewczęta, a obaj oficerowie udali się do gabinetu komendanta.

– Interesuje nas wieś Sosnówka – zaczął Wichurski bez wstępów. – Leży ona, o ile się nie mylę, w waszym powiecie?

– Tak jest – odparł komendant. – Chcecie tam jechać? Czy mam wam kogoś przydzielić?

Major pomyślał przelotnie, że komendant pamięta o wczorajszej awanturze w Brzesku i po prostu boi się, aby znowu coś podobnego nie zaszło, tym razem w jego powiecie. Uśmiechnął się.

– Nie – odparł. – Szczerze mówiąc, to interesuje nas Sosnówka niedzisiejsza.

- Jak, proszę? - zdziwił się komendant.

- Lata okupacji. Ściślej: czterdziesty drugi i czterdziesty trzeci rok. To najbardziej. Czy pochodzicie z tych stron, komendancie?

- Niestety, nie. Ja jestem z sanockiego. Wprawdzie okolice podobne i niezbyt daleko, ale te wsie znam dopiero od kilku lat. Sosnówka to wioska raczej zamożna. Ludzie tam pobudowali się po wojnie... Ona była częściowo spalona, jeżeli się nie myłę. Wiecie, najlepiej wam to wszystko opowie mój zastępca, porucznik Orenicz. Zaraz... - wstał i wyszedł z gabinetu. Po chwili wrócił, a za nim ukazał się wysoki, barczysty oficer po trzydziestce. Z ciekawością przyjrzał się nieznanemu, mocno uścisnął im ręce, po czym siedli i zapadła chwila ciszy. Wichurski zastanawiał się, czy i skąd zna nazwisko Orenicz, a tamci czekali na jego pytania.

Wreszcie major ocknął się i sięgając po papierosa, spytał:

- Czy nie byliście kiedyś w Warszawie? Wydaje mi się, żeśmy się już raz spotkali.

- Nie - odparł porucznik z lekkim zdziwieniem. - Tak się składało, że nigdy jeszcze nie byłem w stolicy. Teraz zresztą właśnie się wybieram... - urwał. Na jego twarzy ukazał się uśmiech zażenowania.

- Pozwólcie, majorze - odezwał się komendant - zdaje się, że czytaliście o poruczniku Oreniczu w gazetach. To właśnie on...

- Dzieci! - wykrzyknął Skowroński. - Wyratowaliście troje dzieci w czasie pożaru, prawda?

Orenicz skinął głową. Wciąż był zażenowany, nie podobała mu się reklama, jaką urządziła mu cała prasa.

- No i właśnie w tych dniach jedzie do Warszawy - kończył komendant. - Generał ma mu wręczyć odznaczenie i premię.

- Oczywiście, to stąd znam waszą twarz i nazwisko - major patrzył z uśmiechem na zakłopotanego oficera.

- Bardzo się cieszę w takim razie, że poznałem was osobiście. Przykro mi, ale my nie reporterzy z gazet i nie po to dziś przyjechaliśmy...

- Towarzyszu majorze, na dziennikarzy to ja już patrzeć nie mogę - odparł Orenicz. - O takie głupstwa pytają, aż wstyd. Czy ja żonaty, czy mi się podobają brunetki czy blondynki, co sobie kupię za tę premię... Jak ja mogę mówić co kupię, kiedy nie wiem nawet, ile dostanę. Zresztą, to jakieś trochę głupie, żeby za te dzieci... no, miałem stać i patrzeć jak się palą? Każdy inny też by zrobił tak jak ja.

- Skromny z was człowiek, poruczniku. A wiecie, co nas interesuje? Wieś Sosnówka z okresu okupacji. Pomęczymy was co najmniej tak długo jak dziennikarze.

Roześmieli się.

- O tym to ja mogę mówić, czemu nie. Znam dobrze Sosnówkę, urodziłem się niedaleko od niej, w Łochcicach. Byli tam i partyzanci, i bandy, i front przechodził. Różnie bywało.

Opowiadanie porucznika Orenicza

Urodziłem się, jak już wspomniałem, w Łochcicach i tam spędziłem część okupacji. Z Sosnówką mieliśmy kontakty partyzanckie. Pewnie nie wiecie, że na terenie naszego powiatu byłem przez blisko dwa lata w Armii Ludowej. Chodzi wam, majorze, o charakterystyczne, ciekawe szczegóły związane ze wsią Sosnówka i jej okolicami... To nie takie łatwe przypomnieć sobie po tylu latach wszystkie szczegóły. Myślę jednak, że w miarę opowiadania będą mi się one powoli przypominać.

Pamiętam na przykład, że w jednej wsi - zdaje się, że było to w Aleksandrówce - mieliśmy sołtysa, który był volksdeutschem, a pochodził właśnie z Sosnówki. Przez blisko pół roku wysyłał chłopaków ze wsi na

roboty do Niemiec. Mścił się za stare, przedwojenne sprawy. Odżywały w tym czasie zadawnione spory majątkowe, kłótnie rodzinne, zemsty za urwaną miedzę czy zaorane pole. Ten sołtys robił to przy tym bardzo sprytnie, niby zawsze „na rozkaz szwabski”, i trwało dość długo, zanim – mówiąc naszym milicyjnym językiem – mogliśmy zebrać na niego dostateczny materiał. Jak się zorientował, że w naszych oczach już „doszedł” – zwiął, za co go później sami Niemcy wpakowali do kacetu określając to jako „dezercję z posterunku”.

Utkwiła mi w głowie – i będę to pamiętać chyba do końca życia – scena rozstrzelania przez Niemców całej rodziny chłopskiej w Łochcicach za to, że udzieliła schronienia rannemu partyzantowi. Byłem wówczas młodym chłopakiem, ale już wtedy ojciec rozmawiał ze mną jak z dorosłym i słyszałem niejedno. Dowiedziałem się też, że rodzinę tę wydał ktoś z bandy „Czarnego”.

O co pytacie, towarzyszu majorze? O tę bandę? Ano działała taka na naszym terenie w czterdziestym drugim roku, przez blisko sześć miesięcy. I to się nam chyba najbardziej dało we znaki. Od paru miesięcy zaczęły się powtarzać w sąsiednich wioskach jakieś napady, zabieranie od chłopów – pod

pozorem rekwizycji - żywności, pieniędzy, ubrań. Doszło nawet do kilku podpaleń chałup i gospodarstw.

Banda działała pod firmą partyzantów, no i zresztą w tym okresie puściła między chłopów „poufną” wiadomość, że tworzy się nowa grupa partyzancka. W pierwszej chwili nawet i nas wprowadziło to w błąd.

...Mówicie, majorze, że właśnie ta banda was specjalnie interesuje? Dobrze, spróbuję przypomnieć sobie wszystko, co tylko o niej wiedziałem. A więc, przede wszystkim - sam „Czarny”... Przyjechał w nasze okolice gdzieś spod Warszawy, do krewnych. Raz go tylko widziałem, w Sosnówce, u moich znajomych. Nie był wtedy jeszcze przywódcą bandy. Ci jego krewni mieszkali... Co, poruczniku? A wy skąd wiecie, że w czwartej chałupie od rzeki? Zaraz... tak, to rzeczywiście była czwarta, schowana za kępą drzew, niedaleko kapliczki. Dzisiaj to już będzie siódma czy ósma, bo wieś po wojnie rozbudowała się.

Siedziałem wtedy u tych znajomych w chałupie. Była zima, styczeń albo luty, śnieg po okna i mróz na dworze. Oczywiście na rozgrzewkę piło się paskudny bimber, po którym piekło w gardle. W pewnej chwili

weszło kilku chłopaków z tej wsi, przeważnie synów bogaczy. Między nimi był właśnie on, „Czarny”.

Dość wysoki, dobrze zbudowany brunet, bardzo pewny siebie. Spojrzenie miał ostre, patrzył jakby z góry na wszystkich. Pomyślałem, że z takim to trzeba uważać... Nie, nie pamiętam, jak się nazywał, bo „Czarny” to oczywiście jego pseudonim. Myślę, że nazwisko uda nam się chyba ustalić. Spotykam tu od czasu do czasu córkę tych jego krewnych, jedyną osobę, która z całej rodziny pozostała przy życiu, bo reszta zginęła w czasie frontu. Ta kobieta mieszka w sąsiednim powiecie, możemy potem po nią pojechać.

A czy wiecie, majorze, że paru z tych chłopaków, którzy wówczas przyszli z „Czarnym”, znalazło się później w oddziale „Pioruna”? Jaki był ich koniec to już dzisiaj wszyscy wiemy.

... Pytacie, co banda robiła. Było w niej kilkunastu chłopaków, prawie wszyscy w wieku około dwudziestu lat. „Czarny” musiał im imponować. Z miasta, po szkole, wysportowany... Pieniądzy to wszyscy mieli sporo. Wiecie, jak to niektórzy bogaci chłopci dawali sobie radę za okupacji: sprzedaż żywności w miastach po paskarskich cenach, czasem przemyt, czasem interesy ze szwabami.

Ale tym szczeniakom z bandy chodziło, widać, o jeszcze większe sumy. Walka z Niemcami - to nie był dla nich interes. Chyba dlatego utworzyli w końcu bandę, która pod pretekstem „działalności partyzanckiej” rabowała chłopów, przeważnie biedniejszych.

Pamiętam na przykład, jak spłoszyliśmy ich kiedyś we wsi Dąbrówka. Wiali wtedy oknami, opłotkami, gdzie mogli. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, co to za diabeł. Przyjechaliśmy do gospodarza, który z nami współpracował. Była noc. Wpadliśmy w momencie, kiedy bandyci zaczęli już ładować do plecaków żywność, buty co lepsze, nawet kozuchy. Wystraszony gospodarz powiedział nam później, że przywódcą jest jakiś młody mężczyzna o pseudonimie „Czarny”. Tak do niego się zwracali ci z bandy.

Z innej wsi przepędził ich pewnej nocy jakiś oddział partyzancki; nie pamiętam już, czy to był nasz, czy akowski. Ale ponieważ kończyło się, jak dotychczas, zawsze tylko na spłoszeniu, bandę to rozzuchwaliło. Zaczęła robić wypadki rabunkowe nawet do sąsiednich powiatów. Słyszeliśmy niejednokrotnie głosy, że „partyzanci rabują, biją, gwałcą, a nawet podpalają gospodarstwa”.

Wprawdzie podpalenia zdarzyły się tylko dwa czy trzy razy, niemniej nasza cierpliwość wyczerpała się. Obok Niemców wyrastał nam za plecami nowy wróg, gorszy – bo rodzimy.

Zaczęliśmy więc, wspólnie z BCh i AK, „rozpracowywać” tych bandziorów. Było nawet jakieś porozumienie sztabów tych grup, ale ja nie znałem szczegółów.

Nastroje wśród chłopów były już niemal wrogie, a nie można było im przecież szeroko tłumaczyć, że to nie partyzanci, lecz zwykli bandyci. Oddział BCh miał już dokładne informacje o „Czarnym” i jego ludziach. Wiedzieli, że banda w całym komplecie ma się zebrać w jednym miejscu, w swojej melinie. Szykowała jakiś nowy, większy „skok”.

No i wreszcie doszło do słynnej akcji w Starej Leśniczówce na Błotach...

Pamiętam to również i dlatego, że następnego dnia zachorowałem ciężko na zapalenie płuc. Nic dziwnego: sterczał człowiek wtedy prawie po kolana w wodzie przez kilka godzin – z góry też woda, bo deszcz padał od południa, krzaki i gałęzie były nasiąknięte wilgocią i lało nam się za kołnierz. Żartowaliśmy, że widać dowództwa sztabów

uzgodniły wprowadzić akcję i termin, ale zapomniały o tym zawiadomić „tam, na górze”...

Mimo okropnej pogody chwila była jednak odpowiednia, bo prawie wszyscy członkowie bandy byli w Starej Leśniczówce. Dzień przedtem zrobili właśnie jakiś nowy „skok”, a wiedzieliśmy, że po każdym napadzie i rabunku mieli zwyczaj upijać się prawie do nieprzytomności.

Stara Leśniczówka stanowiła dla nich świetną melinę. Jak się później okazało, dostali ją od gajowego, nałogowego alkoholika, którego trzymali przy sobie, pojąc go stale wódką. Gajowy oddał im stary budynek, a sam przeniósł się do nowego, nieco dalej. Miał siostrzenicę, która właściwie mieszkała nie tyle z nim, ile z bandą w melinie. Wiedzieliśmy już wtedy, że ma na imię Helka i jest oficjalną kochanką „Czarnego”. Dziewczyna była bardzo ładna.

Ale wracam do owej nocy. Mieliśmy zadanie punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej zająć uzgodnione poprzednio pozycje na tyłach Starej Leśniczówki, w odległości od niej około stu metrów. Ja byłem w grupie złożonej z sześciu osób. BCh-owcy mieli obsadzić jar za drogą, odległy o mniej więcej trzysta metrów od leśniczówki, a kilku ludzi z AK po

drugiej stronie polany miało usadowić się na brzegu lasu, w gęstym modrzewiu. W ten sposób Stara Leśniczówka byłaby otoczona ze wszystkich stron.

Ewentualną ucieczkę bandy do wsi, leżącej parę kilometrów dalej, udaremniłby oddział BCh, zaczajony w jarze. Las trzymaliśmy my i AK-owcy. Chodziło poza tym o zachowanie możliwie największych środków ostrożności, bo wiedzieliśmy, że banda jest dobrze uzbrojona.

Znajdowaliśmy się już jakieś czterysta czy pięćset metrów od leśniczówki, kiedy nagle usłyszeliśmy długą serię z pistoletu maszynowego. Zaraz po tym – kilkanaście wybuchów rozrywających się granatów. Stanęliśmy. Byliśmy przekonani, że ktoś z bandy spostrzegł poruszające się gałęzie krzaków i na oślep dał serię. A może tamte grupy partyzanckie rozpoczęły akcję z jakiegoś powodu za wcześnie?

Zaczęliśmy biec w kierunku leśniczówki. Odzywały się pojedyncze strzały karabinowe i serie z peemów; zdawało nam się nawet, że słychać karabin maszynowy.

Nagle dowódca naszej grupy szarpnął mnie za ramię, osadzając w miejscu. Inni też przystanęli. W czasie krótkiej ciszy, jaka zapadła w trakcie

strzelaniny, usłyszeliśmy zupełnie wyraźne: Halt! Halt! Hände hoch!

Wtedy zgłupieliśmy. Co robić? Niemcy? To było absolutne zaskoczenie. Nie wiedzieliśmy, kto do kogo strzela i skąd się tam niespodziewanie wzięli Niemcy.

Ostrożnie posunęliśmy się już nie w kierunku leśniczówki, ale trochę w bok, do polany, z której można byłoby obserwować melinę. Kiedy byliśmy już zupełnie blisko, nadzialiśmy się nagle na grupę akowską, która cofnęła się ze swoich stanowisk.

...Wiecie, majorze, o mało wówczas nie doszło do strzelaniny, byliśmy już podenerwowani. Od AK-owców dowiedzieliśmy się, że przed chwilą przyjechało parę ciężarówek, wypełnionych żandarmerią niemiecką i esesmanami. Była ich chyba dobra setka. Podobno kropnął do nich któryś z bandy, po pijanemu.

Później, już po wszystkim, sądziliśmy, że Niemcy przyjechali likwidować nas, a nie bandę, którą mogli wziąć za jakiś inny oddział partyzancki. Do końca wojny zagadka ta nie została jednak wyjaśniona.

AK-owcy powiedzieli nam jeszcze, że Niemcy zaraz po wyjściu z samochodów rozsypali się, próbując tyralierą dojść do Starej Leśniczówki. I właśnie wtedy zaczęła się ta strzelanina.

Próbowałem zorientować się w sytuacji, ale było za ciemno i trochę za daleko. Od zabudowań dolatywały wciąż jeszcze strzały i krzyki. Nikt z nas nie wiedział, co się stało z grupą partyzantów z Batalionów Chłopskich i czy nie zostali oni wmieszani w strzelaninę. Od czasu do czasu rakiety niemieckie oświetlały leśniczówkę i wówczas, kiedy w ich blasku widzieliśmy niemieckie hełmy, posyłaliśmy w tym kierunku krótkie serie. To było zresztą wszystko, co mogliśmy w tej sytuacji zrobić. Nas było sześciu, AK-owców niewiele więcej.

W pewnej chwili duża grupa esesmanów zaczęła się posuwać w naszym kierunku. Trzeba było pryskać. Niemcy byli już w leśniczówce, zrobili tam, co chcieli. Wycofaliśmy się więc do swoich oddziałów.

Po kilku dniach dowiedziałem się, że zginęło wówczas siedmiu członków bandy, w tym również „Czarny”. Niemcy spędzili do lasu paru chłopów z najbliższej wsi i kazali im pogrzebać ciała. Padło również kilku Niemców, ale ich zwłoki żandarmeria zabrała ze sobą do miasteczka. Chłopi mówili, że „Czarny” dostał kulą karabinową w sam środek czoła. Pochowano ich na brzegu lasu, niedaleko leśniczówki. Zginęła też Helka i gajowy.

...Reszta bandy? Ktoś tam podobno uciekł, a dwóch czy trzech rannych Niemcy zabrali. Jak już wspomniałem, następnego dnia po akcji dostałem wysokiej gorączki. Przyplątało mi się bardzo ciężkie zapalenie płuc. Przez parę dni byłem nawet nieprzytomny. Poleżałem około sześciu tygodni, a potem wysłano mnie na odpoczynek do rodziny pod Kraków, gdyż u rodziców bałem się zostać, aby ich nie narażać.

Po śmierci „Czarnego” banda przestała istnieć.

*

- Pani Jadwiga Brzezińska? - spytał Wichurski i wskazał wchodzącej krzesło. - Proszę, niech pani spocznie.

Zajęła miejsce, rozglądając się dokoła niepewnym wzrokiem. Napotkała spojrzenie porucznika Orenicza, uśmiechnęła się lekko i skinęła mu głową. Znali się przecież; ta znajoma twarz napełniła ją w tej chwili pewną otuchą. Zawsze to ktoś z tych stron, chociaż w milicyjnym mundurze.

- Mieszka pani we wsi Grabowice i pracuje w mleczarni, prawda? - major mówił tonem niemal obojętnym, starając się przełamać onieśmielenie i nieufność kobiety.

- Tak. Proszę, tu są... - Sięgnęła do torebki, wyjęła dowód osobisty i jakieś dokumenty, ale Wichurski uśmiechnął się.

- To niepotrzebne, niech pani schowa. Myśmy chcieli po prostu z panią porozmawiać. Gdzie pani mieszkała w czasie okupacji?

- W Sosnówce, z rodzicami.

- Oni jeszcze żyją?

- Nie. Zginęli w czasie frontu.

- Czy pani ma rodzeństwo?

- Brata i siostrę. Brat pracuje w powiecie, jest agronomem. A siostra zamężna.

- Czy w czasie okupacji, kiedy mieszkaliście w Sosnówce, był u was jeszcze ktoś z rodziny?

- No... był. Dziadek, znaczy się tatusia ojciec, i babka. Też już nie żyją.

- A z dalszej rodziny nikt z wami nie mieszkał?

- Z dalszej? - powtórzyła jakby ze zdziwieniem. - Różnie. Czasem kto przyjechał, to i był.

Wichurski pohamował odruch zniecierpliwienia. To była wieś, a nie Warszawa. Ludzie myśleli i mówili tutaj wolniej. Mieli czas.

- No, a kto do was przyjeżdżał? - pytał, usiłując nie popędzać rozmówczyni, aby jej nie spłoszyć.

- Ciotka przyjeżdżała, ze Strzyżowa... Teraz mieszka w Tarnowie, bo drugi raz się wydała za męż.

- A z mężczyzn?

- Też przyjeżdżali.

- Skąd?

Pomyślał, że pewnie odpowie: „różnie”, ale ona spojrzała na niego, jakby coś jej się przypomniało, i powiedziała z ledwo słyszalną nutą smutku w głosie:

- Z Radomska. Kuzyn.

- Jak się nazywał?

- Koliński. Romek mu było...

- Dlaczego pani mówi: było?

- Jego zastrzelili.

- Kto?

- Mówili, że Niemcy. To było w czterdziestym trzecim roku. Latem. Tam, w lesie... - pokazała ręką w uchylone okno.

Zastanowiło go, że tak dobrze pamięta rok śmierci Kolińskiego. Przyglądał jej się uważnie i pomyślał, że chyba kochała się w tym kuzynie. Ale on wolał czarną Helkę od gajowego.

- Długo u was mieszkał?

- Prawie dwa lata.

- I co robił?

- Trochę tatusiowi pomagał w gospodarstwie, trochę na szarwark jeździł... On nieprzyzwyczajony do wiejskiej roboty, ręce miał delikatne - uśmiechnęła się lekko.

- Nie za bardzo mu to szło. Najczęściej to pomagał w obliczaniu kontyngentów.

- To tak za darmo u was siedział dwa lata? - Sądził, że podrażni jej niewygasłe widać uczucia i nie omylił się. Spojrzała na niego gniewnie.

- Nie za darmo. Przecie mówię, że pomagał w gospodarstwie. A zresztą, on mógł nic nie robić. Pieniądzy miał dość. Jego ojciec był bogaty, parę razy przyjeżdżał i dawał mu, ile Romek chciał. Romek jeszcze tatusiowi mojemu czasem dołożył, jak mu gotówki zabrakło. I mnie też dawał.

- I pani mówi, że go Niemcy zastrzelili?

- Tak. Ja nie widziałam, bo to było w lesie. Romek był partyzantem, bił się z Niemcami... Siedmiu ich wtedy zginęło. Pochowano ich we wspólnym grobie, niedaleko leśniczówki. Myśmy tam, znaczy - dziewczęta, kwiaty nosiły. Potem ja wyjechałam...

Wichurski podchwycił spojrzenie Skowrońskiego; była w nim mieszanina litości i ironii. „Partyzant” - kwiaty na mogile... Cholera!

- Czy nie próbowała pani po wojnie przeprowadzić ekshumacji? - spytał.

- Czego? - spojrzała zdziwiona.

- Ekshumacji. To znaczy przenieść jego zwłoki na cmentarz.

Wyjaśnienie było niezbyt ściśle, ale Brzezińska zrozumiała. Potrząsnęła głową przecząco. Nie, nic takiego nie robiła. Zresztą zaraz po skończeniu wojny przeniosła się do Grabowic.

- Czy nie przyjeżdżał tu po wojnie ojciec Romana?

- Stryjek zmarł w czterdziestym piątym, na wiosnę.

Major wyjął z kieszeni szarą kopertę, a z niej kilka fotografii, które rozłożył na biurku.

- Proszę, niech pani przyjrzy się tym zdjęciom. Czy zna pani którąś z tych osób?

Brzezińska pochyliła się nad biurkiem. Jedno zdjęcie wzięła do ręki, ale po chwili odłożyła z powrotem. Przyglądała się pozostałym uważnie, wreszcie potrząsnęła głową.

- Nie. Nie przypominam sobie nikogo.

- Czy na żadnym zdjęciu nie ma Romana Kolińskiego?

- Romka? Nie, skądże. On całkiem inaczej wyglądał.

- A ten? - podsunął jej fotografię kierownika działu zbytu i zaopatrzenia spółdzielni „Mechanik” w Katowicach, Romana Kolińskiego, albo też kogoś, kto się pod niego podszył.

- Nie. Ten ma jakiś taki nos krzywy - wydeła usta z pogardą - a Romek miał ładny, prosty nos. I włosy miał gęste, kręcone, ciemne, a ten jest prawie łysy. Twarz też miał szczupłą, pociągłą, nie taką roztyłą jak ten tu...

- Więc żaden z nich? Na pewno?

- Na pewno. Najprędzej, to może jeszcze ten - wskazała palcem na jedno zdjęcie. Skowroński z majorem wymienili przelotne spojrzenie. Fotografia przedstawiała jednego z nieżyjących pracowników kontrwywiadu, którego obaj dobrze znali; włożyli ją między inne zdjęcia przez czysty przypadek. - Włosy ma podobne i twarz... trochę. Tylko dużo starszy. Romek miał przecież dwudziesty drugi rok, a ten wygląda na trzydziestkę.

- No dobrze - powiedział major, chowając zdjęcia do koperty. - Dziękujemy pani za rozmowę. To wszystko.

Rozdział 6

Przed kwadransem powiał porywisty, ciepły wiatr i las zakołysał się czubami sosen. Spadło kilka kropel deszczu, ale zaraz wiatr przegnał chmury dalej. W pobliskich krzakach coś zapiszczało i Skowroński wzdrygnął się mimo woli.

- Sceneria jak w kiepskim filmie - mruknął, przyglądając się czaszce, którą lekarz trzymał w ręku.

- Tak - odparł major. I jemu było trochę nieswojo, więc sięgnął do kieszeni płaszcza po papierosy. Zapałka nie chciała się zapalić na wietrze. Komendant zauważył to i podsunął swoją wielką, niezawodną zapalniczkę.

Stali we trzech nad świeżo wykopanym dołem, na którego dnie w świetle reflektorów białą kości. Lekarz medycyny sądowej, przywieziony przed południem z Centrali, zszedł do dołu, oglądając uważnie szkielety, a przede wszystkim czaszki. Po trzynastu latach były tu już tylko wątle, rozsypujące się resztki ubrań oraz kości.

Dwaj milicjanci, którzy odkopywali grób, stali teraz z boku dzieląc się cicho uwagami.

- Cholerny świat! - mruknął jeden z nich, ocierając spoconą twarz. - Patrz, co z ciebie zostanie, jak cię kiedyś zagrzebiemy.

- Takiś pewny, że mnie będziesz grzebał?

- A co? Minęła ci już czterdziecia, czy nie minęła? A mnie jeszcze nie.

- Śmierć w kolejności nie ustawia, wybiera jak chce. Ty, czego oni właściwie szukają?

- Diabli ich wiedzą. Spałbym teraz w chałupie, psia noga...

Lekarz - mały i gruby, w ciemnym kombinezonie - poprosił o więcej światła, więc skierowali reflektory w dół, patrząc na jego ręce, które ostrożnie, ale wprawnie poruszały szkielety.

- Postrzał w sam środek czoła, doktorze - przypomniał Wichurski.

- Wiem, wiem - sapnął niecierpliwie, bo noga mu się trochę obsunęła i o mało nie upadł.

Wreszcie wylazł na brzeg dołu, rozejrzał się dokoła; światła reflektorów biegły za nim jak posłuszne psy. Zatoczył ręką mały krąg na pobliskiej trawie.

- Tutaj trzeba by je położyć - powiedział. - W dole nie sposób dokładnie obejrzeć, ziemia się osypuje. Proszę mi pomóc, tylko ostrożnie - zwrócił się do milicjantów.

Komendant i Skowroński odebrali od nich reflektory. Jeden oświetlał teraz grób, drugi trawę. Na zwłokach zachowały się resztki butów i pasów skórzanych. W pewnej chwili lekarz namacał coś ciężkiego, podniósł, zbliżył do światła. Był to zardzewiały pistolet.

- Niemcy musieli nie zauważyć - odezwał się milczący dotąd szef urzędu bezpieczeństwa z powiatu. - Zabitych nie mieli zwyczaju rewidować.

- Więc tak - zaczął lekarz, zwracając się do Wichurskiego; miejscowa „władza” dla niego nie istniała, właściwie mógł się z nią nie liczyć, był uprzejmy i uważał, że to wystarczy. - Tak jak mówiliście, jest siedem szkieletów. Trzy czaszki mają otwory od kul i odłamków, reszta nie. Z tych trzech jedna ma wylot koło ucha i dwa, prawdopodobne wloty, w potylicy. Druga - kilka drobnych otworów przy skroni, pewnie dostał serię. I tylko ta jedna, o, proszę - pokazał palcem w gumowej rękawiczce - otwór na samym środku czoła. Od pocisku,

prawdopodobnie kaliber dziewięć. Wylot w kości potylicznej.

- Doktorze, proszę obejrzyć dokładnie cały szkielet - powiedział Wichurski, podchodząc bliżej.

- No, cóż... - lekarz przykląkł na trawie, poprawił okulary, które obsunęły mu się na nos. - Zmarły miał obie ręce, obie nogi, kości palców w porządku. Żadnych innych śladów od pocisków nie widzę. Zaraz... ciekawe, co to może być?

- To? - major przyjrzał się uważnie. Na kościach przegubu prawej ręki widniało coś jakby ciemny, szeroki pasek z dwoma przerdzewiałymi, metalowymi sprzączkami. - Skóra. Gruby, szeroki na jakieś dziesięć centymetrów pasek skórzany, spięty klamerkami. W czasie okupacji była moda na takie paski. Sporo młodych chłopaków nosiło je na prawej ręce, aby uchronić ją przed zwichnięciem. Jak się kogoś mocno w czasie bijatyki rąbnęło, czasem ręka nie wytrzymała, a taki pas dobrze ją podtrzymywał. Ja sam... - urwał, roześmiał się. Machnął ręką.

- Ten drugi też to miał - zauważył Skowroński, wskazując na sąsiedni szkielet. - Ale na lewej ręce. Może był mańkutomem.

- Jeszcze tu jest jakaś resztką jakby pierścionka rzekł lekarz, wracając do „swojego” szkieletu. Bardzo ostrożnie zsunął mu z palca coś, co było przedtem prawdopodobnie żelaznym, może posrebrzanym pierścieniem i pokazał Wichurskiemu, nie dając mu wszakże do ręki, bo major nie miał rękawiczek. - Wygląda, jakby w tym miejscu był napis, ale to już się nie da odczytać. Co jeszcze chcecie od tej doczesnej powłoki, majorze?

- Poza tym nie ma nic? Jakiś łańcuszek, medalik, coś takiego?

- Nie. Widać nie nosił albo szkopy zabrały. Łase były na te rzeczy.

- Przypuszczalny wzrost? Tusza? Waga ciała?

- Coś mi się zdaje, że za wiele ode mnie wymagacie - lekarz zaczął gderać, bo już miał dosyć. Ostatecznie płacono mu za czystą robotę w zakładzie, nie za grzebanie w ziemi, i to w dodatku nocą. - Wzrost? Przypuszczalnie jakieś... metr siedemdziesiąt dwa, trzy. Dwa następne wasze pytania to czysty nonsens. Po trzynastu latach?! Facet miał wtedy chyba ze dwadzieścia parę lat. Dobrze zbudowany, rozrośnięty. I dajcie mi święty spokój.

Kiedy wrócili do Strzyżowa i szli już spać, Skowroński z butem w jednej ręce odezwał się nagle, jakby coś mu się przypomniało:

- Wiecie, majorze, kiedy byłem w Radomsku, stary Kazimierczuk powiedział mi, tak mimochodem, że Roman Koliński, jeszcze przed wyjazdem na wieś, należał do klubu sportowego „Czarnych”. Tak się nazywali. Nosili zielone koszulki i czarne spodenki. Jak sądzicie, czy to może mieć jakiś związek z tym „Czarnym”, przywódcą bandy?

- Sądzę przede wszystkim, że o tym fakcie powinienem był się dowiedzieć zaraz po waszym powrocie z Radomska - odparł Wichurski, uchylając okno, bo w pokoju było gorąco.

- No dobra - rzekł porucznik trochę markotnie. - A poza tym?

- Poza tym sądzę, że to jest ważna informacja.

- Właśnie.

W piżamie w kolorowe paski i boso Wichurski był mniej majorem, a więcej kolegą, toteż Skowroński pozwolił sobie jeszcze na uwagę, iż wyjazd do Radomska stanowił chyba najważniejszy moment w dotychczasowej pracy całej grupy. Ale usnął, zanim Wichurski zdążył mu odpowiedzieć.

*

Następnego dnia Skowroński wraz z podporucznikiem komendy MO pojechał do Grabowic. Jadwiga Brzezińska mieszkała na końcu wioski, w małym, niedawno widać zbudowanym domku. Na ich widok zmieszala się i znów w jej oczach pojawił się lęk. „Czego ona się boi?” – pomyślał porucznik ze zdziwieniem. Przywitał ją uprzejmie, powiedział jakiś żart, gwizdnął na psa, pięknego owczarka, pochwalił ładnie utrzymany ogród i doprowadził do tego, że uspokoiła się, odpowiadając na jego zagadywania, a nawet lekko żartując.

Weszli do mieszkania. Brzezińska zdjęła fartuch, przetała nim stół i krzeselka, poprosiła, by usiedli. Ale kiedy padło pierwsze pytanie dotyczące Romana Kolińskiego, cały jej spokój prysnął, a twarz zachmurzyła się.

- Czy coś nosił na rękach? – powtórzyła wolno, jakby rozważając słowa. – A, mojego młodszego brata to nieraz nosił. Lubił go bardzo.

Skowroński pohamował chęć śmiechu.

- Ja nie o to pytałem – powiedział. – Czy nosił coś na palcu? Albo tu, na przegubach – pokazał na swoją

rękę.

- Nosił - odparła, jak mu się zdawało, z lekkim westchnieniem ulgi. - Taki pasek ze skóry, szeroki. Pytałam go kiedyś, na co mu ta skóra. Powiedział, że rękę zwichnął i go boli. Więc tak ją sobie paskiem podtrzymuje.

- A pierścionki, obrączki? Miał coś takiego?

- Nie. Ja... nie pamiętam. Może i miał. Nie wiem.

- Dwa lata u was mieszkał i pani nie zauważyła, czy miał pierścionek?

Wzruszyła ramionami. Twarz jej ściągnęła się gniewem.

- A przestańcież wy mnie nachodzić! - krzyknęła nagle. - Wciąż tylko: czy Roman to, czy Roman tamto... Czego wy właściwie ode mnie chcecie? Co wiedziałam, to powiedziałam, i skończone. Tyle lat... czy ja mogę wszystko pamiętać? Mówiłam, że on nie żyje. Po co to całe gadanie?

- Widzi pani - rzekł Skowroński bardzo łagodnie - my przecież ustaliśmy tylko nazwiska wszystkich, którzy zginęli w czasie wojny, żeby móc przeprowadzić ewidencję. Jakiś porządek z tymi sprawami trzeba wreszcie zrobić. Chyba pani to rozumie, prawda?

Milczała, nieprzejednana.

- W sprawie Romana Kolińskiego mamy pewne trudności, bo urodził się w Radomsku i stamtąd miał metrykę, a zginął tutaj, bez żadnego zaświadczenia, bez aktu zgonu, niewciągnięty do ksiąg. Nieurzędowo, rozumie pani? - usiłował dostosować tok rozumowania do jej poziomu. - Ojciec jego nie żyje, krewnych też więcej nie ma, tylko pani jedna została i tylko pani może nam pomóc. Nie chodzi nam zresztą tylko o niego jednego. Ustaliliśmy już nazwiska wszystkich, którzy pochodzili z innych stron, a tutaj zmarli czy zginęli. I tylko z Romanem Kolińskim mamy niezakończoną sprawę.

- Kiedy ja naprawdę nie pamiętam - odezwała się wreszcie cichym głosem, w którym nie było już gniewu. - Ten skórzany pasek to na pewno nosił, ale co do pierścionka, to nie pamiętam.

*

Tegoż dnia, około czwartej po południu, major i Skowroński wyjechali z powrotem do Katowic. W Sosnowcu nie było już nic do roboty. Roman Koliński vel „Czarny” nie żył od trzynastu lat i trzeba było jak najszybciej wracać, aby tam na miejscu stwierdzić, kim jest naprawdę kierownik działu zbytu i zaopatrzenia w spółdzielni „Mechanik”...

Wichurski był zamyślony i odpowiadał półgębkiem na zagadywania porucznika, któremu się nudziło. Sprawa skomplikowała się, a jednocześnie posunęła mocno naprzód. Fałszywy Koliński, kimkolwiek jest, musi być natychmiast rozszyfrowany. Ciekawe, skąd wziął dokumenty Kolińskiego? Skąd w ogóle go znał? Może to był ktoś z bandy, komu udało się uciec wraz z papierami przywódcy? Trochę nieprawdopodobne. Porucznik Orenicz mówił jednak, że jeden z bandy uciekł, a dwóch czy trzech rannych Niemcy zabrali. Może któryś z nich żyje?

- Żeby to jasna cholera! - zaklął na głos kierowca. Major ocknął się z zamyślenia.

- Co tam jest, sierzancie? - spytał ze zdziwieniem widząc, że samochód zatrzymał się w jakimś miasteczku. I nagle dodał, poznając rynek - Przecież to Brzesko.

- Właśnie - Skowroński wybuchnął śmiechem. - Miasto naszych wspomnień. Akurat tutaj musiała nam kicha nawalić.

- Bardzo dobrze - odparł Wichurski. - Jestem wściekle głodny. Chodźcie, poruczniku, pójdziemy do „naszej” knajpy. Sierżant trafi za nami, zna już drogę...

Na widok wchodzących kelner, który niósł właśnie talerze, o mało nie upuścił ich na podłogę. Potem błyskawicznym ruchem rzucił stos naczyń na bufet, równie szybko zakrzętnął się koło wolnego stolika, zmiótł z obrusa okruchy i uprzejmym gestem zapraszał do zajęcia miejsca.

- Co zjemy? - spytał Skowroński, ale kelnera już nie było. Odszedł do kuchni.

- Coś tam pewnie mają - odparł major. - Widzieliście, jaki on gładki? Aż obrzydzenie bierze.

Po paru minutach kelner wyłonił się z powrotem, niosąc na talerzach obfite porcje jajeczniczy. Postawił je z triumfalną miną przed siedzącymi i oznajmił z uśmiechem:

- Herbatka zaraz będzie. Już się parzy.

Obaj spojrzeli wpierw na talerze, potem na siebie. Skowroński westchnął. Major uczynił jakiś niezdecydowany ruch, a potem powiedział z nagłą energią:

- Nie ma pan czegoś konkretniejszego? Jesteśmy głodni.

- Może być świeżutka wątróbka z kartofelkami - kelner zatarł ręce, nie przestając się uśmiechać. - Podać panom?

- Podać - zgodził się Wichurski.

Kiedy kelner odszedł, Skowroński dogonił go w przejściu i szepnął mu coś do ucha. Ten rozpromienił się jeszcze bardziej, kiwnął głową i pozęgłował do kuchni.

Zjedli jajecznicę. Wówczas kelner zjawił się jeszcze raz i postawił na stole lekko przysmażoną wątróbkę z dymiącymi kartoflami, prócz tego zaś – dwa „głębsze”.

– Co to znaczy? – zmarszczył się Wichurski. Porucznik wymownie wzruszył ramionami. Kelnera już nie było. Twarz majora wyrażała stanowczy sprzeciw. Spojrzał na porucznika, który uśmiechnął się lekko. Potem z determinacją sięgnął po kieliszek.

– Żeby nasze dzieci miały bogatych rodziców... – mruknął zabierając się do jedzenia.

Goście przy kilku innych stolikach jedli w milczeniu, udając, że nie patrzą w ich stronę, ale majorowi udało się parę razy złowić ich ukradkowe spojrzenia. Zachciało mu się śmiać.

*

Ewa Jasińska spojrzała na zegarek i odłożyła książkę. Dochodziła dziewiąta, pewnie przed jedenastą nie wróca. A może dopiero jutro? Ryszard nie powiedział wyraźnie, kiedy będą z powrotem. Dwa dni już

upłynęły. Ciekawe, czy się przynajmniej czegoś konkretnego dowiedzieli...

Wstała, podeszła do lustra wiszącego nad umywalką. Przyjrzała się krytycznie swojej twarzy i stwierdziła, że wygląda nieźle. Ktoś powiedział, że zakochaną kobietę można poznać po oczach...

Nagle złapała się na myśli, że wcale jej nie interesuje rezultat poszukiwań w tej całej Sosnowce, tylko sam powrót Ryszarda do Katowic. Żeby już tu był. Żeby mogła ukradkiem przyglądać się jego ciemnym oczom i słuchać, jak mówi. Obojętne co.

„To taki z ciebie oficer kontrwywiadu? – pomyślała surowo, patrząc w lustro. – Wstyd. To jest tylko twój szef i nic więcej”.

Westchnęła i odeszła od lustra, bo zobaczyła w nim swój uśmiech, który mówił wyraźnie: „aha, szef...”. W tej samej chwili na stoliku przy łóżku zadzwonił telefon. „Pewnie Zientara” – pomyślała, leniwie wyciągając rękę po słuchawkę. I zaraz gwałtowna radość rozpromieniła jej twarz. Usłyszała niski, metaliczny głos Ryszarda:

- Dobry wieczór, Ewo.
- Dobry wieczór – odparła, usiłując mówić swobodnie. – Kiedy wróciliście?
- Przed paroma minutami. Zajdź do mnie, dobrze?

I nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę. Zmarszczyła brwi. Zawsze tak było: był pewien, może zbyt pewien jej uległości, czy może po prostu służbistości? Czym była dla niego naprawdę: porucznikiem Jasińską czy Ewą...

Wzruszyła ramionami. Też porę sobie wybrał na sentymenty. Będzie opowiadał o Sosnówce, będzie pytał, co ona tutaj przez ten czas robiła, czy dowiedziała się czegoś nowego. Na pewno teraz dzwoni do Zientary, który nie mieszkał w tym hotelu co oni, na pewno każe mu również przyjść do siebie. A może Zientara już siedzi i opowiada, co działo. Zawsze ma coś do opowiadania, jest przecież wyjątkowo zdyscyplinowanym i sumiennym pracownikiem...

Poprawiła włosy, pociągnęła usta pomadką. Zabrała ze stolika papierosy i uchyliła okno, bo w pokoju było szaro od dymu. Stanowczo za dużo teraz pali, trzeba by się zacząć odzwyczajać.

Wichurski miał pokój piętro wyżej, w lewym skrzydle hotelu. Wbrew przewidywaniom Ewy nie było u niego Zientary ani w ogóle nikogo. Siedział sam, przed nim stały dwie filiżanki czarnej kawy.

- Napijesz się? - spytał i znów nie czekając na odpowiedź, przesunął w jej stronę jedną filiżankę.

„Oczywiście, czysto służbowo” – pomyślała trochę bez sensu. Chciała odmówić, ale zamiast tego machinalnie wyciągnęła rękę po cukier.

- Już wsypałem – powiedział. - Dwie łyżeczki, tak jak lubisz.

„Pamięta. A więc jednak nie tak zupełnie służbowo.” Usiłowała przywołać siebie do porządku. Wypiła łyk kawy, zapaliła papierosa i spytała trzeźwym, zwyczajnym głosem:

- Znalazłeś coś w Sosnówce?

- Tak. Ale o tym później. Za pół godziny przyjdzie Zientara, wtedy opowiem, żeby dwa razy tego samego nie powtarzać. Na razie powiedz ty, co tutaj zaszło. Coś robiła?

„Oczywiście, przyjdzie ta drewniana piła. Bez tego się nie obędzie. Dobrze, że dopiero za pół godziny.”

- Obserwacja Romana Kolińskiego – zaczęła, zaciągając się papierosem – przyniosła nam pewien ciekawy... może drobiazg, ale dość charakterystyczny. Otóż pan Koliński jutro wyjeżdża służbowo do Gliwic. Odległość nieduża, przeszło godzinę pośpieszonym. Właściwie delegacja nie powinna mu być potrzebna, chyba że zamierza tam posiedzieć parę dni. Ale nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że dziś po południu, około szóstej, kiedy inni

pracownicy „Mechanika” dawno poszli już do domu, Koliński został dłużej razem z prezesem spółdzielni. Mam wszelkie dane na to, że tylko prezes wie o jego jutrzejszym wyjeździe. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, ale który kierownik działu zwołuje naradę pracowników na dzień swojej nieobecności? A on właśnie tak zrobił. Wiem, że pracownicy zbytu, wychodząc o czwartej ze spółdzielni, rozmawiali o jutrzejszej naradzie z kierownikiem. A ten kierownik wyjeżdża. Czyli że nie chce, aby oni o tym wiedzieli. To chyba nonsens. Pozostaje przypuszczenie, że zamiar wyjazdu powziął już po ich wyjściu. Może więc dowiedział się nagle, że musi wyjechać?

- Czy to pierwszy raz mu się zdarza taki nagły wyjazd? - spytał major.

- O to chodzi, że nie. Już parokrotnie wyjeżdżał bez żadnego uprzedzenia, wprowadzając nawet chaos w pracy swego działu. To mnie trochę zastanawia.

- Mówisz, że on jedzie jutro, tak? Trzeba posłać za nim dwoje pracowników, najlepiej z wydziału „C”. Kobietę i mężczyznę.

Ewa uśmiechnęła się lekko. Wichurski podchwycił ten uśmiech i zapytał ze zdziwieniem:

- Dlaczego, się śmiejesz?

- Bo już są gotowi do wyjazdu.

- Świetnie. Jeden zero dla ciebie. Czasem mam wyrzuty sumienia, że być może nie doceniam twojej błyskawicznej orientacji i doświadczenia.

Nie odpowiedziała. Po jej wargach ciągle jeszcze błąkał się lekki uśmiech. Major patrzył na nią w milczeniu. „Śliczna jest” - pomyślał, nie po raz pierwszy zresztą.

- Obserwowałaś chyba nie tylko Kolińskiego? - odpędził od siebie myśli, które nie miały nic wspólnego z pracą kontrwywiadu. - A tamci dwaj kierownicy działów zbytu?

- Tamci dwaj... - zamyśliła się na chwilę. - Tak, właściwie żaden z nich nie jest zupełnie czysty. Jeden pobiera dwa tysiące dwieście złotych pensji na swym stanowisku, ale wydaje chyba ze trzy razy tyle. W ciągu ostatnich kilku tygodni kupił sobie nowe, drogie radio i komplet mebli do jednego pokoju. Może miał odłożone, może składał na to od lat i właśnie teraz kupił... Tak by można było myśleć, gdyby nie fakt, że on od dłuższego czasu wydaje o wiele więcej, niż zarabia. Przy tym ten kontakt z jednym z pracowników huty „Maria” też daje trochę do myślenia. Widziano ich parokrotnie razem na wódce.

- Co to za pracownik? Z jakiego wydziału huty?
- Z laboratorium. Obawiam się...
- Żeby nie skończył tak jak Bekier?
- Tak.

Milczeli chwilę. Wichurski patrzył w ciemne okna, za którymi siąpił drobny, wiosenny deszcz, i zastanawiał się nad czymś.

- Mamy za mało ludzi - mruknął, pocierając czoło.
- Trzeba by teraz umieścić kogoś w hucie „Maria”, a my nie mamy takiego człowieka. Nowakowski nie może odejść z huty „Nadzieja”, bo tam jednak pracował Bekier. Można przypuszczać, że po jego śmierci nastąpią jakieś nowe posunięcia. No, a ten trzeci kierownik?

- Trzeci? Utrzymuje kontakty z NRF. Dwa lata temu wyjechała tam jego cioteczna siostra, już na stałe, w ramach akcji łączenia rodzin. Piszą do siebie listy. Naturalnie, niejeden człowiek ze Śląska ma tam rodzinę, bliższą czy dalszą, niejeden dostaje paczki, to jednak jeszcze o niczym nie świadczy.

Ktoś zastukał do drzwi. Wszedł kapitan Zientara, mokry od deszczu, jak zawsze poważny i skupiony.

- Nowakowski nie może przyjść, bo ma w hucie jakieś ważne zebranie - powiedział, siadając z boku

na małym foteliku. - Mogę jednak mówić i za niego, bo mnie o wszystkim poinformował.

- Dobrze. To mówcie - major sięgnął do telefonu, aby zamówić jeszcze jedną porcję kawy, ale kapitan odmówił. Nie lubił kawy, uważając, że psuje równowagę myśli i cały system nerwowy.

- Udało mi się ustalić - rozpoczął - że w hucie „Nadzieja”, gdzie zginęły te dwa tajne dokumenty, został podrobiony podpis kierownika tajnej kancelarii.

- Gdzie? - żywo zareagował Wichurski.

- W książce zwrotu dokumentów. Dokumentów takich, jak wiadomo, nie wolno przechowywać u siebie z dnia na dzień. Nawet jeżeli ktoś wie, że będą mu potrzebne przez szereg dni, musi je codziennie zwracać do kancelarii i następnego dnia znów zabierać. Otóż te dwa dokumenty, które zginęły, zostały rano wypożyczone przez Bekiera. Były mu rzeczywiście potrzebne do jego pracy w laboratorium. Pokwitował wypożyczenie swoim podpisem i tego samego dnia powinien był zwrócić. I teraz uważajcie: w książce zwrotów widnieje jego podpis obok sfalszowanego podpisu kierownika kancelarii - ale dokumenty nie zostały zwrócone. Znaleźliśmy je natomiast podczas porządkowania

papierów w biurku Bekiera. Leżały sobie spokojnie w teczce.

- Może po prostu Bekier zapomniał czy nie zdążył zwrócić, a potem bał się konsekwencji i wolał już się do tego nie przyznać?

- Trochę nieprawdopodobne. Przecież tego samego dnia pokwitował ich zwrot. Nie był chyba wtedy nieprzytomny ani pijany. Ja tutaj widzę coś zupełnie innego.

- Mianowicie?

- Że Bekierowi zależało na tym, aby upozorować zwrot dokumentów do kancelarii. Mam pewne podstawy, aby sądzić, że to on sfałszował podpis kierownika.

- A sam kierownik nic nie pamięta?

- Nie. Słuchajcie, on może rzeczywiście nie pamiętać. Wydaje i przyjmuje dziennie kilkanaście różnych tajnych dokumentów. Podpis jest bardzo dobrze podrobiony. Ktoś, prawdopodobnie Bekier, podpisał najpierw siebie, potem jego. Kierownikowi podsunęto książkę. Spojrzał, zobaczył „swój” podpis i odłożył pióro. To się może zdarzyć, tam jest mnóstwo roboty. Co chwila ktoś wchodzi, wychodzi. Szum nie z tej ziemi.

- Dobrze. Jedźmy dalej: dlaczego Bekierowi zależało na upozorowaniu, że dokumenty zostały zwrócone?

- Ja bym postawił pytanie inaczej: dlaczego mu w ogóle zależało na przetrzymaniu dokumentów? To jest dla nas chyba najważniejsze. Czy wyniósł je z huty? Czy komuś pokazywał? Jest to zupełnie możliwe. Te papiery, jak stwierdziłem przy bliższym obejrzeniu, były wpierw trochę zgniecione, jakby je ktoś kilkakrotnie złożył, chcąc zmniejszyć ich objętość. Cóż, pewnie po to, aby zmieściły się w kieszeni. Potem zaś dokumenty wyprasowano jak koszulę. To już musiał zrobić dobry fachowiec, ktoś inny by spalił papier. Widocznie temu komuś zależało, aby dokumenty były wyprostowane.

- Jasne. Do fotografii.

Umilkł na chwilę. Za śmiercią Bekiera kryło się jeszcze wiele tajemnic.

- Nowakowski musi bliżej pokręcić się koło innych pracowników tego laboratorium - odezwał się wreszcie major. - Możliwe, że nie jeden Bekier maczał w tym wszystkim palce.

- Kazik stwierdził, że w dniu, w którym wypożyczono, a następnie rzekomo zwrócono dokumenty, Bekier został na drugiej zmianie,

zastępując jednego z kolegów. Kazik dowiedział się również, że w ciągu obecnego i ubiegłego roku Bekier dostał tylko jedną premię, i to dość dawno. A pamiętacie, jak jego żona mówiła o tych częstych premiach i nagrodach?

- Czy w tym dniu, kiedy wypożyczono dokumenty, był w hucie ktoś ze spółdzielni współpracujących z hutą?

Zientara zamyślił się na chwilę.

- Tak - odparł. - Był tam ten Koliński, kierownik działu zbytu ze spółdzielni „Mechanik”. Załatwiał coś w związku z rozbudową laboratorium. Ale to przecież...? - spojrzał na majora ze zdziwieniem. - Sądzicie, że to ma coś wspólnego?

- Sądzę, że tak. Posłuchajcie, co było w Sosnówce...

*

Pociąg był zatłoczony, jak zwykle na tej linii. Roman Koliński wcisnął się do jedyne go przedziału, w którym dojrzał trochę wolnego miejsca. Siedzący ścieśnili się, nie tyle pod wpływem jego prośby, ile tonu, który był stanowczy, a nawet ostry.

Nieco dalej w korytarzu, przed opuszczoną szybą, stał mężczyzna w szarym prochowcu. Palił papierosa,

wypuszczając przez okno dym, który pęd powietrza wtłaczał natychmiast z powrotem. Kątem oka pasażer obserwował korytarz.

Kobieta, z którą miał się spotkać później, kiedy pociąg zatrzyma się już w Gliwicach, jechała dwa wagony dalej. Była to szczupła, przystojna blondynka w eleganckim granatowym kostiumie, w dodatku dyskretny makijaż podkreślał jej urodę, toteż dla niej od razu znalazło się siedzące miejsce, i to nawet przy oknie.

Na stacji wszyscy troje „zgubili się” wzajemnie. Dziwnym trafem jednak, kiedy Koliński wysiadł z tramwaju przed hutą, w parę sekund później z tego samego wozu wyszedł również mężczyzna w szarym prochowcu i przystanął, zasłaniając dłońmi twarz, aby zapalić na wietrze papierosa.

- Proszę, może tak będzie łatwiej - zaproponował jakiś robotnik, przysuwając mu swoją zapalniczkę.

- Dziękuję - odparł mężczyzna uprzejmie. I ledwo dostrzegalnym ruchem powiek wskazał robotnikowi Kolińskiego, który wchodził właśnie do biura przepustek.

Robotnik kiwnął głową. Usiadł na ławce przed hutą, rower, którym przyjechał, oparł o poręcz i wyciągnął świeży numer „Trybuny Robotniczej”.

Widocznie szedł dopiero na drugą zmianę i nie śpieszyło mu się...

Mężczyzna w prochowcu wskoczył do tramwaju, ruszającego z powrotem w stronę miasta. Przez cały czas stał na platformie pogwizdując z cicha i przyglądając się mijanym ludziom i sklepom. Od paru miesięcy nie był w Gliwicach. Ciekawiła go każda zmiana, interesowali mieszkańcy.

Wysiadł na jednym z przystanków, wstąpił do sklepu po papierosy, zatrzymał się na chwilę przed jakąś wystawą, wreszcie jakby od niechcienia wszedł do bramy zwykłej, czerwonej kamienicy, w której mieścił się miejscowy urząd bezpieczeństwa. Okazał wartownikowi legitymację, a ten uśmiechnął się i machnął ręką. Znali się przecież nie od dziś.

Wszedł na pierwsze piętro, odszukał drzwi z napisem „zastępca szefa”, zastukał i otworzył. Młody, czarnowłosy kapitan za biurkiem na jego widok nie okazał zdziwienia.

- Podporucznik Słotwiński? - spytał.

- Tak jest, obywatelu kapitanie - pokazał legitymację służbową.

- Siadajcie. Gdzie on teraz jest?

- W hucie „Waryński”. Chciałbym, abyśmy jutro, względnie jeszcze dzisiaj ustalili, po co przyjechał.

- Dobrze, to się da zrobić. Robotnika znaleźliście?

- Tak jest, został na obserwacji przed hutą. Jak jestem z nim umówiony?

- Zatelefonuje. Zaraz po wyjściu tamtego z huty. Wtedy go zwolnicie.

- Tak. Sierżant Kazimierska już się do was zgłosiła?

- Owszem - kapitan uśmiechnął się. - Skąd wystraszeńliście taką ładną pracowniczkę?

- To moja żona - odparł z pewnym zażenowaniem Słotwiński. - Poznaliśmy się w pracy.

Kapitan przyglądał mu się i twarz mu spoważniała.

- To ciężka robota - rzekł. - Nie obawiacie się o nią?

Mężczyzna wzruszył lekko ramionami. Nie odpowiedział i kapitan zrozumiał.

- Jest w pokoju numer sześć. Przejdźcie tam, jak będzie telefon, to was zawołam.

Telefon od „robotnika” zadzwonił dopiero po dwóch godzinach, tyle bowiem czasu Roman Koliński spędził w hucie. „Robotnik” donosił, że obserwowany po opuszczeniu huty udał się do kawiarni „Bajka” i

zajął miejsce przy stoliku, czyli że zamierza posiedzieć tam nieco dłużej.

Podporucznik Słotwiński poprosił „robotnika”, aby poczekał jeszcze przed kawiarnią kilka minut, dopóki on sam tam nie przyjdzie. Do „Bajki” było niedaleko.

Kiedy wszedł, sporo stolików było zajętych. Koliński siedział pod oknem. Podporucznik wybrał pluszową kanapkę, z której mógł jednocześnie obserwować i Kolińskiego, i drzwi wejściowe, po czym zamówił kawę. Prochowiec zostawił w urzędzie, był teraz w dobrze skrojonym, popielatym ubraniu i robił wrażenie mężczyzny, który nie jest pewien, czy jego ukochana przyjdzie, ale który oczekuje na nią niecierpliwie. Co chwila spoglądał to na zegarek, to na drzwi, a kawa stygła tymczasem, nawet nie osłodzona.

Roman Koliński zauważył ten typowy dla zakochanych niepokój gościa na kanapce i przyglądał mu się od czasu do czasu z pobłażaniem. Ciekaw był zresztą, czy „ona” przyjdzie i jaka będzie. Mężczyzna wyglądał elegancko, z pewnością nie czekał na byle kogo.

Z kolei podporucznik nieznacznie obserwował kierownika działu zbytu. Sądząc z kilku ciastek, dużej kawy i całego pliku gazet, jakie przed nim

leżały, Koliński zamierzał posiedzieć w „Bajce” co najmniej z godzinę. Może na kogoś czekał, a może po prostu spędzał tu wolny czas.

Wreszcie w drzwiach ukazała się Kazimierska. Przez chwilę rozglądała się po sali wzrokiem kobiety, która wie, że jest ładna i że się podoba. Podporucznik uniósł się z krzesła, robiąc z daleka gest powitania. Dostrzegła go, uśmiechnęła się. Szła między stolikami lekkim, drobnym krokiem, w modnych „szpilkach” i granatowym kostiumie, z dużą plastikową torbą w ręku.

Podeszła do stolika i osunęła się na krzeselko, słuchając z lekkim zakłopotaniem wymówek swego towarzysza. Tak, spóźniła się, bo w „Delikatesach” była długa kolejka, a potem nie mogła się dostać do przepełnionego autobusu. Trudno, zdarza się, w zeszłym tygodniu to on się spóźnił, a ona czekała całe dwadzieścia minut!

To wszystko mówiła dosyć głośno, rozglądając się nieuważnie po kawiarni. Obojętnym spojrzeniem musnęła siedzącego w pobliżu Kolińskiego. Pochyliła głowę nad filiżanką kawy i szepnęła, ledwie poruszając wargami:

- Czekasz na kogoś?

- Możliwe - odparł równie cicho. - Jak dotąd, siedzi sam.

- Dobrze.

Zaczęli znowu rozmawiać o jakimś niedoszłym spotkaniu przed kinem, potem o planowanym wspólnym urlopie, trochę się sprzeczali, trochę przepaszali, przy czym on całował ją czule po rękach, a ona udawała nadąsaną, ale szczęśliwą.

Tak minęło pół godziny, potem trzy kwadransy. Kobieta zauważyła, że Koliński od pewnego czasu trzyma w ręku gazetę, otwartą wciąż na jednej i tej samej stronie, jakby nad nią zasnął. Nie spał jednak, co parę minut spoglądał na drzwi wejściowe albo na zegarek.

- Czeka - szepnęła. - Zdaje się, że ta gazeta jest znakiem umownym.

- To „Dziennik Zachodni”, tak? - Słotwiński siedział tak, że nie mógł dojrzeć tytułu gazety.

- Tak. Kupimy potem dzisiejszy numer. Może tam... - urwała.

Do kawiarni wszedł jakiś mężczyzna. Wyglądało, że szuka wolnego stolika, ale sala wciąż jeszcze była pełna. Przeszedł uważnie aż do końca, potem zawrócił. Przechodząc obok Kolińskiego, spojrzął na niego jakby od niechcienia. Kierownik nie poruszył

się, nie zwrócił na niego uwagi. Mężczyzna raz jeszcze spojrział dookoła i opuścił kawiarnię.

Cała ta scena trwała nie dłużej niż minutę, może dwie, i nie byłoby w niej nic szczególnego. Sierżant Kazimierska dostrzegła jednak, że wzrok mężczyzny zatrzymał się na gazecie, trzymanej przez Kolińskiego.

- To był ten, na którego on czekał - powiedziała, pochylając się w stronę podporucznika z filuternym uśmiechem.

- Sądzę, że tak - odparł, uśmiechając się również i całując przelotnie kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. - Poczekajmy jeszcze. Zobaczymy, co będzie dalej.

Po dziesięciu minutach Koliński odłożył gazetę, bez pośpiechu rozejrzał się za kelnerką i zapłacił rachunek. Spojrzawszy na zegarek, odczekał jeszcze dwie minuty, po czym wstał. W tym samym momencie Słotwiński dojrzał, że ów mężczyzna, który przedtem szukał stolika, pojawił się znowu we drzwiach kawiarni, a widząc podnoszącego się Kolińskiego, podszedł do niego i zapytał:

- Przepraszam, czy pan już wychodzi? Stolik jest wolny?

- Tak - odparł Koliński z roztargnieniem.

Sięgnął po swoje gazety, obciągnął marynarkę i, nie śpiesząc się, podążył ku wyjściu.

- Czy tam, przed kawiarnią, ktoś jest? - spytała Kazimierska.

Podporucznik skinął głową. Kolińskiego nie wolno było stracić z oczu. Przed kawiarnią czekał „robotnik”, tym razem w przebraniu motocyklisty.

Mężczyzna, który zajął stolik, zamówił teraz kawę i zapalił papierosa. Słotwiński zauważył, że rozgląda on się bardzo dyskretnie po kawiarni. Po paru minutach, sięgając po szklanekę z kawą, upuścił na podłogę łyżeczkę. Schylając się po nią, błyskawicznie wsunął rękę pod blat stolika, zatrzymał ją tam parę sekund, potem podniósł łyżeczkę i położył ją na spodeczku.

Zbliżyła się kelnerka, podając mu czystą łyżeczkę. Podziękował jej z uśmiechem, ale oczy jego pozostały chłodne i uważne.

- Schował coś pod stolikiem - mruknął Słotwiński, zapalając papierosa. - Albo tam jest jakiś otwór, albo przylepił plasteliną.

- Tak. Co teraz zrobimy?

- Zdjęcie.

Wyjęła puderniczkę, otworzyła, przejrzała się w lusterku. Ledwo słyszalny dźwięk migawki upewnił

ją, że mikroaparat, ukryty w środku puderniczki, spełnił swoje zadanie.

- Pójdziemy do urzędu - rzekł podporucznik, rozglądając się za kelnerką. - Trzeba się naradzić.

- A ten...? - pokazała oczami mężczyznę przy stoliku.

- Nim zajmie się ktoś inny. Czeka przed kawiarnią.

- Słuchaj, a gdybyśmy się zaraz po nim przenieśli do tamtego stolika? - spytała niepewnie. - Na przykład, że tutaj niewygodnie, wieje od okna czy coś takiego?

- Wiało nam prawie dwie godziny i dopiero teraz się przenosimy? Nonsens. Poza tym, któryś z nich może nagle wrócić i zauważy nasze manewry ze stolikami. A w ogóle, jak chcesz coś stwierdzić na ślepo, macając tylko rękami? Możesz właśnie zatrzeć ślady, a nie rozpoznać.

Wrócili do urzędu bezpieczeństwa i od razu poszli do kapitana, który poprzednio z nimi rozmawiał. Przyjął ich natychmiast, a usłyszawszy, co zaszło, zaczął się wraz z nimi zastanawiać.

- Może jakaś ekipa monterska? Elektrycy czy coś takiego? - zaproponował, ale zaraz machnął ręką z niezadowoleniem. - Nie, to ryzykowne. Trzeba by

przecież zawiadomić kierownika kawiarni, na pewno byłby przy tym jeszcze ktoś z personelu. Na nic.

- Ekipa sanitarna? - odezwała się Kazimierska.

- W nocy? To by trzeba iść rano, a do tej pory mogą już tam sprzątaczkę gruntownie wyczyścić stoliki.

- No, to nie pozostaje nam nic innego, jak pójść w nocy - zdecydował Słotwiński.

- Jako kto?

- Jako my. Ty wrócisz do Katowic, aby zdać sprawę szefowi grupy, co tu zaszło. A ja pójdę z kimś z urzędu... o ile obywatel kapitan da mi kogoś do pomocy - spojrzał na zastępcę.

Ten kiwnął głową przyzwalająco.

- Pójdzie z wami jeden z oficerów, specjalista od daktyloskopii i wszelkich śladów. Sądzę, mimo wszystko, że na takim chropowatym drewnie niewiele znajdziecie, ale resztki plasteliny mogą być.

Słotwiński spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jak to: resztki? Przecież on tam coś przylepił.

Kapitan uśmiechnął się lekko.

- Mocno mi się wydaje, że się mylicie. Oboje. Przylepił coś jego poprzednik przy stoliku, a on po prostu oderwał to „coś”. Stolik był ich skrzynką

pocztową. Jeżeli zamiast resztek plasteliny znajdziecie w nim najmniejszy otwór, w który da się wsunąć mikrofilm czy zwiniętą kartkę, to ślady przepadły.

- Obserwowaliśmy Kolińskiego bardzo uważnie - powiedziała Kazimierska ze zmartwioną twarzą - ale nie zauważyliśmy najmniejszego ruchu jego ręki pod stolikiem.

- To może dowodzić tylko tego, że mamy do czynienia z wytrawnym specem w swoim fachu, poza tym był w kawiarni przed wami.

Drzwi uchyliły się. Wszedł „robotnik” przebrany za motocyklistę. Miał na sobie skórzaną kurtkę, a na czole zsunięte okulary ochronne.

- Pojechał do Katowic - odparł na nieme pytanie Słotwińskiego. - Wagon „B”, trzeci przedział pierwszej klasy. Spotkał na dworcu trzech znajomych, zdaje się, że z Katowic. Wsiedli razem z nim do wagonu. Był zadowolony, rozmawiał o dziewczynkach - uśmiechnął się. - Odjechał przed dziesięcioma minutami.

- Dobrze, dziękuję - powiedział kapitan. - Jesteście wolni do jutra. - I zwrócił się do podporucznika: - Chodźcie, przejdziemy piętro wyżej, do operacyjnego. Milicją ja się zajmę. Patrol

będzie stał przed kawiarnią. Będzie zwracał uwagę na wszystko, co się dzieje dokoła, z wyjątkiem samej kawiarni. Tylko postarajcie się to zrobić szybko. Nigdy nie wiadomo... - nie dokończył.

- Dobrze, kapitanie - odparł Słotwiński.

*

Było kilka minut po drugiej. Jeszcze nie świtało. Wiatr kołysał szyldem zawieszonym nad kawiarnią i rozrzucał śmieci po ulicy.

Dwaj milicjanci przechadzali się chodnikiem. Dwadzieścia metrów w prawo - zwrot - i znów dwadzieścia metrów w lewo, a potem od początku.

- Cholera z taką robotą - mruknął jeden. - Już mi się we łbie kręci. Nie możemy iść trochę dalej?

- Nie - odparł drugi, wyższy stopniem.

- Przecież tu się nic nie dzieje.

- Nie nasza rzecz. Mamy tu być, dopóki nas nie zwolnią.

Przeszli obok okien kawiarni. Zasłony były zapuszczone, ale pierwszy milicjant dostrzegł w pewnej chwili, że jakieś nikłe światelko porusza się między stolikami. Trącił kolegę.

- Patrz! Tam ktoś jest.

- Co cię obchodzi? Nie pamiętasz, co ci mówili?
- No... Ale ciekawe, co oni tam robią.
- Pewnie czegoś szukają, Chodź, nie przyglądaj się.

*

Słotwiński zapalił latarkę. Miała przyćmione światło. Towarzyszący mu oficer rozejrzał się po cichej, pustej, jakby uśpionej kawiarni.

- Który to stolik? - spytał szeptem.

Słotwiński bez słowa podszedł do miejsca, gdzie wczoraj siedział Koliński; dźwignęli razem, przewrócili i ostrożnie zaczęli oglądać spód.

- Jest - mruknął oficer. Pokazał końcem paznokcia.

Słotwiński pochylił się nad blatem.

- Plastelina.
- Tak. Coś było nią przyklejone, a potem oderwane.

Przytrzymajcie stolik...

Delikatnym, wprawnym ruchem zdjął do szklanej probówki resztki plasteliny i powiedział:

- Tu jest suche powietrze. Do jutra rana to by to odpadło i nic byśmy już nie znaleźli.

- Nie ma poza plasteliną żadnych innych śladów?
Linie papilarne czy coś takiego?

- Sprawdzę, ale chyba nie. Drewno jest zbyt chropowate.

Nie znaleźli nic więcej. Niemniej jednak Słotwiński miał minę zadowoloną. Wiedział, że do Katowic powróci z jakimś konkretnym dowodem. Postanowił pozostać zresztą jeszcze przez dzień lub dwa, aby dowiedzieć się, kim jest ów mężczyzna, który zabrał „pocztę” od Kolińskiego. Wywiadowca z urzędu bezpieczeństwa, który poszedł za nim po wyjściu z „Bajki”, jeszcze nie wrócił.

Oficer milicji oddał próbkę Słotwińskiemu, postawił stolik na poprzednim miejscu i spojrzał pytająco na podporucznika.

- Idziemy?

- Tak. Kto zwolni patrol?

- To już do nas nie należy. Chodźcie...

Rozdział 7

- Tak więc widzisz, że chociaż wyniki naszej dotychczasowej roboty są jeszcze słabe, to jednak z drugiej strony mamy już mocno określony ślad i dość pewne kierunki działania. Najważniejsze w tym wszystkim, że mamy wyjście na Kolińskiego.

Pułkownik Solecki potwierdził ruchem głowy. Zaraz jednak odezwał się, zapalając lampę na biurku, bo w pokoju zrobiło się już szaro:

- Chciałbym ci zwrócić uwagę, Rysiu, że ta cała scena w kawiarni „Bajka” mogła was wprowadzić w błąd. Nie, nie! Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Przecież ty tam nie byłeś i opierasz się tylko na relacji dwojga ludzi. Na ich spostrzeżeniach. No i, oczywiście, na tych mikroskopijnych śladach plasteliny. Ale pozwól, że zadam ci jedno pytanie: skąd masz pewność, że tej plasteliny nie przylepiło na przykład dziecko, które parę godzin przedtem siedziało z rodzicami w tej samej kawiarni i przy tym samym stoliku? W szkole używa się plasteliny do

robót ręcznych, poza tym dzieci chętnie się nią bawią.

- No dobrze, Stefan, ale byłyby to naprawdę jeden przypadek na tysiąc, że to dziecko... - Wichurski urwał zniecierpliwiony. - Nigdy nie widziałem w kawiarni dzieci z plasteliną.

- Bo nie masz dzieci - odparł pułkownik, uśmiechając się - i nie wiesz, co potrafią takie szczeniaczki z trzeciej czy piątej podstawowej. Mnie kiedyś młodszy chłopak całe biurko pomalował atramentem. Nie chciałbym, żeby jedna pomyłka wprowadziła cię na fałszywy ślad. Co dała obserwacja tego mężczyzny?

- Na razie jeszcze nic. Nic konkretnego. Oczywiście, mamy go na oku. Może w tej chwili coś tam w Katowicach już wiedzą, ja wyjechałem rano i nie widziałem się z Ewą, która kontaktuje się z pracownikami wydziału „C”. Gdyby natrafili na jakieś rewelacje, wiedzą przecież, gdzie mnie szukać.

- Zwróć szczególną uwagę na bardzo wnikliwą obserwację osobistych kontaktów Kolińskiego, a raczej tego, który się za niego podaje. Kontaktów towarzyskich, służbowych i tak dalej. Zresztą, sam wiesz, co cię będę uczył. Gdyby się dało złapać na

gorącym uczynku... To są, widzisz, marzenia każdego pracownika kontrwywiadu albo milicji.

Roześmieli się.

- Co masz zamiar robić w Warszawie? - spytał pułkownik.

- Muszę zbadać, kto w ciągu ostatnich lat zbiegł za granicę względnie zaginął.

- Sądziś, że właśnie ktoś taki nosi w tej chwili nazwisko Koliński?

- Tak mi się wydaje.

- Mówiłeś, że Nowakowski siedzi teraz w hucie „Nadzieja”?

- Owszem. Jako inżynier Kowalski.

- To dobrze. Przejęliśmy ostatnio kilka szyfrów o cynku. Wygląda na to, że gros informacji pochodzi właśnie z tej huty.

Wichurski spojrzał na pułkownika z ożywieniem.

- A więc jednak! - rzekł z nie tajoną satysfakcją. - To znaczy, że dobrze wybraliśmy. Śmierć tego technika, Bekiera, dała mi wiele do myślenia. Kiedy były te szyfry?

Pułkownik spojrzał na kartkę papieru i wymienił daty.

- Na krótko przed jego śmiercią. No, oczywiście materiały zabrano wcześniej. Masz, zapoznaj się z tym dokładnie.

Wichurski wstał, przeciągnął się. Był niewyspany, ostatnie dwie noce kładł się nad ranem. Postanowił, że dzisiaj wyśpi się porządnie, a jutro z samego rana rozpocznie poszukiwania.

W ciągu kilku następnych dni od rana do wieczora ślęczał nad teczkami i aktami różnych osób, które bądź zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, bądź też „wybrały wolność”. Z wolna, eliminując ludzi, którzy ani wiekiem, ani wyglądem zupełnie nie przypominali Romana Kolińskiego, odłożył na biurko cztery te czki. Tymi osobnikami postanowił zająć się bliżej.

Pierwszy z nich, były naczelnik wydziału w jednym ze zjednoczeń, popełnił grube nadużycia finansowe, a kiedy już kontrola deptała mu po piętach, uciekł za granicę. Drugi, urzędnik oddziału finansowego na prowincji, nie przyszedł pewnego dnia do pracy - i od tej pory wszelki słuch po nim zaginął. Trzeci, wicedyrektor jednej z fabryk na Ziemiach Odzyskanych, również miał na swym koncie poważne przestępstwo gospodarcze i również podejrzewano, że uciekł z kraju. I wreszcie czwarty,

który skazany został wyrokiem sądowym na dziesięć lat więzienia za napad rabunkowy, a następnie zdołał zbiec z transportu tak dobrze, że do dziś go nie złapano.

Wszyscy czterej mieli po trzydzieści kilka lat, byli dość wysokiego wzrostu, o ciemnych włosach, szczupli. Od biedy każdy z nich mógł po kilku latach wypłynąć na widownię jako kierownik działu zbytu i zaopatrzenia, Roman Koliński.

Major zainteresował się wpierw byłym naczelnikiem. Grupa pracowników kontrwywiadu, oddelegowana do tej roboty przez pułkownika, zajęła się sprawdzaniem i kontynuowaniem tego, co kiedyś zapoczątkowała milicja czy bezpieczeństwo. Było z tym sporo roboty. Nie wszystkie akta prowadzono dokładnie, czasami ślad urywał się nagle i nie wiadomo było właściwie, czy zajmowano się nim dalej, czy na tym poprzestano.

Na rozkaz majora ludzie z grupy zaglądali do archiwum sądowego, przetrząsali stare akta personalne instytucji, szperali w życiorysach, protokołach różnych komisji, notatkach służbowych milicji i meldunkach WOP-u.

Wreszcie jednego z czterech podejrzanych można było z czystym sumieniem wykreślić z listy. Były

naczelnik, jak stwierdziło Wojsko Ochrony Pogranicza, został zastrzelony przy usiłowaniu przekroczenia granicy i tylko czyjeś niedbalstwo sprawiło, że nie znalazło się to w aktach.

Wichurski zajął się więc z kolei następnym na liście, wicedyrektorem fabryki wyrobów metalowych na zachodnich krańcach Polski, Jerzym Malinowskim. Już pierwsze dokładne przeczytanie jego akt wzbudziło w majorze zainteresowanie.

Malinowski został mianowany wicedyrektorem po poprzedniej pracy w tejże samej fabryce na stanowisku kierownika jednego z wydziałów. Ale nie to było zastanawiające. Oto wśród dokumentów major znalazł pismo - właściwie małą notatkę - pracownika departamentu kadr Ministerstwa Przemysłu: *...Urząd Bezpieczeństwa Publicznego popiera towarzysza Jerzego Malinowskiego na stanowisko wicedyrektora do spraw administracyjnych.*

Wichurski zamyślił się. Dlaczego Urząd Bezpieczeństwa popierał Jerzego Malinowskiego i dlaczego w ogóle angażował się w tę sprawę? Musiały w tym tkwić jakieś przyczyny.

Zaraz. Wicedyrektorem został... tak, zgadza się. Awans z kierownika jakiegoś tam oddziału. Pięknie.

No, ale jak się w ogóle dostał do fabryki i skąd?

Dalsze poszukiwania dały całkiem nieoczekiwany rezultat. Oto Jerzy Malinowski był poprzednio oficerem Urzędu Bezpieczeństwa w powiatowym mieście Wolice. Niezbyt daleko, ale i niezbyt blisko od fabryki wyrobów metalowych.

No cóż... trzeba sprawdzić, jak porucznik Malinowski tam się sprawował. W czterdziestym siódmym roku władze bezpieczeństwa tak łatwo nie rezygnowały ze swoich pracowników, zwłaszcza w randze oficerów.

Ściągnięcie akt personalnych Jerzego Malinowskiego nie sprawiło majorowi trudności. Postawił sobie trzy pytania, na które powinien był odpowiedzieć: za co porucznik Malinowski został zwolniony z Urzędu Bezpieczeństwa, jakim był oficerem i kim był jego przełożony. Jeżeli wyjaśni sobie te trzy sprawy, być może porucznik Malinowski przestanie go interesować.

Z załączonego do akt życiorysu, napisanego ręką pewną i sprawną, wynikało, że Malinowski urodził się akurat wtedy co... Roman Koliński. Oczywiście, z tego nic jeszcze nie wynikało. Niemniej jednak Wichurski pomyślał przelotnie, że o ile jego hipoteza o „przemianie” porucznika w obecnego kierownika

działu zbytu jest słuszna, to w każdym razie data urodzenia jest wyjątkowo trafnie dobrana. Po czym zganił sam siebie za zbyt pochopne wnioski i zagłębił się w papierach.

Fotografia porucznika Malinowskiego była naturalnie bardzo podobna do fotografii wicedyrektora Malinowskiego; różniła się tylko dystansem kilku lat i zabójczym, krótko strzyżonym wąsikiem, który ozdabiał oficera.

Przeczytawszy o przyczynach, dla których porucznik został zwolniony z Urzędu Bezpieczeństwa, Wichurski gwizdnął z cicha. Krótka, sucha notatka zawierała oskarżenia bardzo wymowne. Malinowski, jak się okazuje, zasłużył na wylanie całkowicie. Za nadużywanie władzy, karierowiczostwo, wywołanie burdy i strzelanie po pijanemu na zabawie...

Jaki więc był ten cały Malinowski? W aktach znajdowało się kilka opinii - niestety, wszystkie były zgodne. Przyznawały one porucznikowi nieprzeciętną odwagę, ale zarzucały niepotrzebne ryzykanctwo. Podkreślały, że „lubił wypić”, a po wypiciu urządzał awantury. Zarzucały nieprzyjemną skrytość wobec kolegów, nawet najbliższych. To jednak nie jest ostatecznie wadą. Wprost przeciwnie, w wielu

przypadkach może się okazać cenną zaletą. Malinowski był przedtem w partyzantce i być może stamtąd wyniósł przekonanie, że lepiej się nie „wywnętrzać” przed drugimi.

W jednej z opinii Wichurski przeczytał, że porucznik bardzo niechętnie wracał we wspomnieniach do owych lat, spędzonych w partyzanckich oddziałach.

- Ciekawe dlaczego... - mruknął, odkładając kartkę na bok. Sam były partyzant, lubił - spotkawszy się z dawnymi towarzyszami broni - wspominać, jak to było w lesie. Wspominać tych, których mogiły zasypał śnieg i zarosła trawa. No cóż... może Malinowski wolał nie wracać do tamtych czasów. Może frapowała go teraźniejszość, a na przeszłość - jakakolwiek by ona była - machnął ręką raz na zawsze.

Obraz tego odważnego, ryzykanckiego, skrytego oficera zaczął mu się już rysować w myślach. Nie pasowała jednak do tego wszystkiego chęć „zrobienia kariery”, jaką podkreślały zgodnie opinie kolegów i przełożonych. Może to nie tyle o karierę chodziło, co o władzę nad drugimi, chęć komenderowania, wyżycia się w wymaganiu posłuszeństwa u innych...

Znał takie typy. Wśród nich byli i dawni koledzy z partyzantki. Ci, którzy wówczas nie znajdowali się ani w sztabie, ani na czele oddziałów, lecz w szeregach, co najwyżej w stopniu kaprała albo plutonowego. Ci, którzy myśleli wówczas często: „ja bym inaczej pokierował akcją, ja bym nie wydał takiego rozkazu, ja bym to, ja bym tamto...”.

No tak. Wtedy nie mieli okazji, dziś ją mają. Dziś mają tych parę gwiazdek na ramieniu i władzę. Może i Malinowski do takich należał?

Zastanawiał się, czy powinien sięgnąć wstecz, do jego pobytu w oddziałach. „Co to da?” – myślał, wpatrując się w zdjęcie porucznika, jakby można było wyczytać z niego odpowiedź na te wszystkie wątpliwości i pytania. A gdyby porozmawiać w tym powiatowym miasteczku?

- Co to da? - powtórzył, sięgając po papierosa. Czy taka rozmowa nie będzie niepotrzebną stratą czasu? Tam, w Katowicach, na niego czekają. Pułkownik pokazywał przechwycone przez Centralę nowe informacje dotyczące przemysłu cynkowego i wskazujące wyraźnie na hutę „Nadzieja”. Czy Nowakowski da sobie radę w tej niełatwej sytuacji?

Rozmyślenia Wichurskiego przerwało pukanie do drzwi gabinetu.

- Proszę - powiedział. Na progu stanął jeden z pracowników grupy oddelegowanej mu do pomocy.

- Towarzyszu majorze, zebrałem dokładniejsze dane o Janie Nowaku - rzekł, siadając na skinienie majora. - Wiecie, to ten gość, który został skazany i zbiegł z transportu.

- Tak, pamiętam. Mówcie, sierżancie...

- Tu jest odpis dokumentów z więzienia śledczego, gdzie przedtem siedział. Proszę.

Podał kilka papierów, stuknął obcasami i wyszedł. Wichurski zaczął czytać ze wzrastającą uwagą. Jak wynikało z treści pism, Nowak został skazany z artykułu 225 Kodeksu karnego. Napadł na przechodnia w małej, ciemnej uliczce, uderzył go łomem w głowę, obrabował i zbiegł. Przechodzień zmarł z upływu krwi, a Nowaka znalazła milicja po kilku dniach w pijackiej melinie. Przestępca pochodził z jednej z podwarszawskich wsi, z rodziny tak zwanych badylarzy. Rodzice jego, mimo dobrej sytuacji materialnej, nie interesowali się kształceniem syna, toteż Nowak skończył zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej. Nie nauczył się żadnego zawodu, wcześniej rozpoczynając złodziejską karierę, zakończoną „mokrą robotą”. Napadał zwykle na małych, nieoświetlonych ulicach, rabował w

sposób prymitywny, nie wskazujący na choćby najprostsze obmyślenie przestępstwa.

„Nie – pomyślał major, odkładając kartki na bok. – Taki człowiek nie nadawał się do trudnej, wymagającej wielu przygotowań i sprytu, pracy szpiegowskiej. Chyba można z czystym sumieniem przestać zajmować się Janem Nowakiem.”

Pozostało więc dwóch: Jerzy Malinowski, były wicedyrektor – oficer – partyzant, i Zbigniew Włodarczak, były urzędnik oddziału finansowego w Parzęcicach. O Malinowskim wie się już coś niecoś, z kolei należałoby więc zająć się panem Włodarczakiem.

Sięgnął po akta, które poprzedniego dnia upchnął gdzieś głęboko w szufladzie biurka. Wyprostował zgięty róg teczki, spojrział w zamyśleniu na zdjęcie człowieka, który patrzył na niego z pierwszej strony życiorysu. Twarz była niewątpliwie inteligentna, szczupła, nerwowa. Jakiś rys zaciętości w ustach, a jednocześnie miękki, łagodnie zaokrąglony podbródek. Włosy ciemne, lekko przerzedzone od czoła. Oczy szeroko rozwarte, trochę bezradne, trochę smutne.

„Babiarz” – pomyślał, przyglądając się tej twarzy. Nie wiedział, na czym opiera swoje spostrzeżenie,

nie precyzował tego w myślach. Tak mu się wydawało, a co dalej, to się zobaczy.

Zbigniew Włodarczak, urodzony w dwudziestym drugim roku, żonaty, dwoje dzieci. Jakiś proces o alimenty dla przygodnej „sympatii”, z którą miał również dziecko. Jakieś - niewielkie zresztą - nadużycia finansowe. Jeszcze jedna sprawa w sądzie, umorzona z braku dostatecznych dowodów, o „uwiedzenie małżonki magistra farmacji N”... Oczywiście, że babiarz. Ale gość z wykształceniem, matura i wyższe studia ekonomiczne. Nie na wiele mu się widać przydały, skoro wylądował na takim niskim stanowisku.

Zaraz, ale... Pochylił się nad dokumentami. Włodarczak „zaginął” dokładnie półtora roku temu. Dokładnie wtedy, kiedy Roman Koliński rozpoczął pracę w spółdzielni. Czyżby...

Major odłożył jednak na bok domysły wynikające ze zbieżności dat; zbieżność ta mogła się zresztą okazać najzupełniej przypadkowa. Postanowił przede wszystkim zająć się bliżej byłym urzędnikiem oddziału finansowego, o którym nietrudno mu będzie dowiedzieć się wielu ciekawych szczegółów. Znajdzie się przecież chyba jego żona, a raczej... tak, już nie żona, bo rozwiedli się po zakończeniu procesu o

alimenty. Żyli ze sobą, jakby nie było, siedem lat. A nuż w Romanie Kolińskim rozpozna ona swego eks-męża, o ile to jest, oczywiście, on?

Dobrze by było wobec tego sprawdzić, gdzie znajduje się dawny przełożony Malinowskiego. Zanim pracownik grupy wróci z Parzęcic, rozmowa z byłym kapitanem Urzędu Bezpieczeństwa posunie może tę sprawę naprzód albo też zakończy ją definitywnie.

Kapitan, a obecnie radca prawny w centrali handlu zagranicznego „Polifex”, nie zdziwił się specjalnie, otrzymawszy od Wichurskiego telefoniczne zaproszenie do odwiedzenia jego gabinetu. Umówili się na następny dzień o dziewiątej rano.

Wichurski, który wiedział już o panu radcy to i owo, a wszystko z najlepszej strony, nie obwijał sprawy w bawełnę.

- Chciałbym, jeżeli to możliwe, bo czasy są bądź co bądź trochę odległe - zaczął - poprosić was o charakterystykę jednego z waszych dawnych podwładnych w N., porucznika Jerzego Malinowskiego.

Radca, który spodziewał się różnych pytań, tylko nie tego, spojrział na majora ze zdziwieniem.

- Malinowskiego? - powtórzył, ściągając krzaczaste, rudawe brwi. - Kierownika sekcji?

- To on był wówczas kierownikiem sekcji?

- Tak. Zanim nie wyleciał. To chyba wiecie, prawda?

- Że został od was usunięty? Wiem.

- To była moja ostatnia, a dość przykra czynność przed przejściem do Wojewódzkiego Urzędu. Przykra, bo to był zdolny chłopak. Tylko niemożliwie uparty, zarozumiały. Ale odważny, co w tych latach nie było łatwe. Walczyliśmy przecież z bandami, wymagano od nas dużo, przy nie najlepszej kadrze. Chłopaki z partyzantki biły się jak szatany, ale utrzymać ich w karbach dyscypliny... Czasem myślałem, że nie dam rady, mówię wam szczerze.

- Rozumiem.

- Piło bractwo, z cywilami czasem brali się za łby. Zwłaszcza ten Malinowski. Ale... czy możecie mi powiedzieć, dlaczego kontrwywiad nim się interesuje?

- Nie mogę.

- Nic, ja tylko tak. No, więc Jurek przyszedł do nas z partyzantki razem z kilkoma innymi chłopakami. Na początku zdawało mi się, że wszystko będzie jak najlepiej. Na ogół

zdyscyplinowany, odważny, inteligentny. Robił, co było trzeba, i tylko oczami strzelał, jakby mu wszystkiego było mało. Na ochotnika do trudniejszej roboty szedł pierwszy. Z czasem zauważyłem u niego coraz silniejszy pęd do wyróżnienia się, wybicia ponad innych. Jeżeli zrobił coś lepiej, zaraz domagał się pochwały, wprost pchał się pod rękę, aby mu wpisać jakieś wyróżnienie. Zrobił się przykry dla kolegów. Wyraźnie lekceważył tych, którzy byli mniej wykształceni, mniej inteligentni od niego. Przyszedł do nas w stopniu sierżanta i najprędzej ze wszystkich dorobił się gwiazdek porucznika. Zrobiłem go kierownikiem sekcji, choć już wtedy miałem coraz poważniejsze zastrzeżenia. No ale, prawdę mówiąc, to nie miałem wówczas lepszego od niego. Był jeszcze taki... zaraz, jak to on? Aha, Strzelczyk. Janek Strzelczyk, chłopski syn z Białostockiego. Ambitny, ale w najlepszym tego słowa znaczeniu, posłuszny i do gruntu uczciwy. Cóż, kiedy myślał zbyt wolno, nie stać go było na żadną samodzielną koncepcję, na śmielsze zorganizowanie roboty. Z pisaniem też u niego było gorzej... No, więc kierownikiem został Malinowski. I to był błąd. Władza uderzyła mu do głowy jak wódka, którą też zaczął pić coraz częściej, już się nie krępując nawet mnie. Był za młody na

jakiegokolwiek stanowisko kierownicze, miał dopiero dwadzieścia kilka lat! Zwracałem mu coraz częściej uwagę na niewłaściwe postępowanie, ale zaczął mi się stawiać. Największą przyjemność miał w komenderowaniu ludźmi, w posyłaniu ich „na rozkaz”. Jego rozkaz.

- Czy nie dało się przemówić mu do rozsądku? Jeżeli rzeczywiście dążył tak uparcie do zrobienia kariery, to przecież przez takie postępowanie sam sobie pogarszał sytuację.

- Oczywiście. Toteż próbowałem mu to wytłumaczyć, ale już mnie nie słuchał. Kiedyś powiedział mi: „Wy, kapitanie, jesteście starym człowiekiem i macie stare metody”. Spytałem go wówczas, jakież to nowe metody on wymyślił? Roześmiał się tak jakoś nieprzyjemnie i nie odpowiedział. Wreszcie kiedy upił się w jakiejś wsi i na oczach wielu chłopów zrobił karczemną awanturę, zrozumiałem, że tak dalej być nie może. Właściwie zrozumiałem tylko jedno: że musi odejść. Ale... czy uwierzycie, że trochę mimo wszystko było mi go żal?

- Lubiliście go?

- W gruncie rzeczy tak. Był naprawdę nieprzeciętnie odważny. Owszem, czasem ryzykował

niepotrzebnie. Mogłem go jednak posłać na najtrudniejsze zadanie i wiedziałem, że nie złęknie się tam, gdzie większość ludzi wycofałaby się. No, cóż... odwaga – to jednak nie wszystko. Podpisałem wniosek o zwolnienie go.

- Jak to przyjął?

- Nie wiem. Podpisałem i na drugi dzień musiałem już pożegnać się z N., aby objąć wyższe stanowisko w Urzędzie Wojewódzkim. Wniosek poszedł do zatwierdzenia, potem wrócił do N., to wszystko trwało jakiś czas. Przed odjazdem prosiłem tylko kolegów i mojego następcę, aby jakoś ułatwili mu otrzymanie pracy w cywilu.

- A z jakich oddziałów partyzanckich Malinowski do was przyszedł?

- Z Batalionów Chłopskich w Rzeszowskiem. Miał stamtąd rekomendacje, tak jak inni.

Wichurski wyciągnął z teczki kilka kartek papieru.

- To są właśnie te rekomendacje. Pamiętacie je pewnie?

Radca wziął do ręki dokumenty, rzucił okiem i kiwnął głową.

- Tak. Są zresztą na nich moje cyferki – uśmiechnął się.

- Znacie może kogoś z tych ludzi, którzy wydali mu opinie?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba nie. Wiem natomiast, że dwóch z nich pracowało zaraz po wojnie w milicji, a jeden, zdaje się, jeszcze tam jest.

- Pamiętacie który?

- O ile się nie mylę, to Zakrzewski.

Major zastanawiał się przez chwilę. Nagle wyjął z biurka zdjęcie Romana Kolińskiego i podał radcy, mówiąc:

- Czy ten człowiek nie przypomina wam porucznika Malinowskiego?

Radca patrzył przez dłuższą chwilę na twarz dość tęgiego mężczyzny w okularach, na łysawą czaszkę i szeroki, załamany nos, a potem potrząsnął głową.

- Nie. I nie sędzę, aby mógł się tak bardzo zmienić. Jurek był szczupły, miał gęste, lekko falujące włosy, prosty nos. Co tu gadać, ładny był z niego chłopak. Nosił wtedy małe, przystrzyżone wąsiki i kochały się w nim wszystkie okoliczne dziewczęta. Oczywiście, minęło od tamtej pory dziesięć lat z okładem, ludzie się zmieniają, łysieją, nabierają tuszy i tak dalej, Ale przecież trudno aż tak bardzo zmienić rysy twarzy. Nie, to nie jest Malinowski.

- Zaraz... jak mówiliście? Gęste, falujące włosy, prosty nos, tak? Przystojny?

Major nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, ale był przekonany, że niedawno słyszał od kogoś podobny opis.

- Ach, tak - mruknął po chwili na wpool do siebie. Już wiedział. To ta kobieta z Sosnowki. „Roman był ładny, miał ciemne, gęste włosy, prosty nos...”.

Nonsens. Koliński przecież nie żyje, a przystojnych mężczyzn o prostym nosie i gęstych włosach znajdzie się w Polsce parę setek, jeżeli nie więcej.

- Co mówicie? - spytał radca, nie mogąc odgadnąć, co w jego opisie tak zaintrygowało majora.

- Nic, głupstwo. No, cóż - to by chyba było wszystko, o co chciałem was zapytać. Dziękuję serdecznie i przepraszam za fatygę.

Radca zapewnił, że nic nie szkodzi. Pożegnali się i były kapitan wyszedł. Wichurski sięgnął po słuchawkę, połączył się z Komendą Główną Milicji Obywatelskiej i poprosił o wydział kadr. Mieli trochę obiekcji, że to ma być „zaraz”, nie było naczelnika wydziału, potem okazało się, że jest u komendanta na konferencji. Wreszcie major otrzymał wiadomość:

Stanisław Zakrzewski pracuje w Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach.

- Świetnie - powiedział, notując nazwisko oficera. Właściwie nie bardzo wiedział, czy słusznie robi, ciągnąc dalej tę sprawę. Radca nie poznał na fotografii porucznika Malinowskiego, a charakter i sylwetka, jaką nakreślił, odbiegały tak dalece od obrazu nieruchawego, spokojnego kierownika działu zbytu, że wszelkie skojarzenia wydawały się tu absurdalne.

Więc może ten urzędnik z Parzęcic...

Zameldował się u pułkownika Soleckiego i zgłosił swój powrót do Katowic. Tak czy owak, tam znajduje się „obiekt zainteresowań” całej grupy Wichurskiego, trzeba więc wracać.

Upewnił się jeszcze, czy nie ma jakichś dalszych informacji o Zbigniewie Włodarczaku, ale nie było. Poleciał przekazywać do Katowic wszystko, czego tylko się dowiedzą, i wyjechał na dworzec.

W hotelu zastał u portiera karteczkę: Komenda Wojewódzka MO prosi st. inspektora o telefon pod numer wewnętrzny 219.

„Bardzo dobrze” - pomyślał. Miał do nich interes, a oto okazuje się, że oni do niego też. Ciekawe, o co im chodzi. Dobiegała już jedenasta w nocy, więc

położył się spać, rezygnując nawet z telefonu do Ewy. Był zmęczony.

Rano połączył się z Komendą i zażądał numer 219. Jakiś nie znany mu głos poprosił uprzejmie, aby „obywatel inspektor, jeżeli nie ma jakiejś pilnej roboty, przyszedł do Komendy”. Odparł, że może przyjść nawet zaraz. Cokolwiek to było, wolał już mieć poza sobą, aby nie przeszkadzało mu później w robocie.

W sekretariacie Komendy dyżurny podoficer był już uprzedzony o jego przyjeździe. W imieniu porucznika Zakrzewskiego przeprosił za kilka minut zwłoki, bo porucznik jest właśnie u komendanta, ale zaraz wyjdzie.

- Jakiego porucznika? - spytał major zaintrygowany.

- Zakrzewskiego.

- Jak on ma na imię?

Takie dopytywanie o personalia oficerów dochodzeniowych nie było wskazane, toteż dyżurny przyjrzał mu się podejrzliwie, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież to jest inspektor z Najwyższej Izby Kontroli. Takiemu można chyba powiedzieć.

- Porucznik ma na imię Stanisław.

Mógł to być zbieg okoliczności, ale przecież w Komendzie nie pracuje chyba dwóch ludzi o takim samym nazwisku i imieniu. Wobec tego dobrze się składa.

W tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu komendanta i wyszedł z nich wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w szarym ubraniu. Spojrzał bystro na Wichurskiego.

- To jest właśnie... - dyżurny zawahał się, nie wiedząc, kogo komu przedstawić, ale major wyciągnął rękę do oficera.

- Jestem inspektor Kowalski z NIK-u...

- Zakrzewski. Proszę bardzo, inspektorze, pozwólcie do mnie.

Kiedy usiedli w jednym z pokojów, Wichurski przyjrzał się porucznikowi i stwierdził, że to jest przecież ten sam człowiek, który przeszło miesiąc temu jechał wraz z nim, Ewą i gadatliwym dyrektorem huty, a także jego księgowym w pociągu z Warszawy do Katowic.

Zakrzewski również przyglądał mu się z lekkim zakłopotaniem, nie będąc widocznie pewnym, czy go pamięć nie myli.

- Nie męczcie się - rzekł major z uśmiechem. - Znamy się z widzenia...

- ...W pociągu - wpadł mu porucznik w słowo. - Tak jest, inspektorze.

- Chcieliście się ze mną widzieć? - Wichurskiemu śpieszyło się.

- Tak. Chcieliśmy zapytać was, jak wypadła kontrola w hucie „Maria”? Jaki był jej zakres?

„Czekaj, bratku - pomyślał nagle major. - Zobaczysz teraz inspektora”.

- Zagadnienie inwestycji w ramach realizacji rocznego planu oraz wynikające stąd problemy kooperacji wymagają skonfrontowania praktyki wykonawstwa huty z ekonomicznymi założeniami planów, które zatwierdza ministerstwo - odparł szybko i bez zająknięcia, po czym spojrzał na porucznika wyczekująco.

Zakrzewski siedział przez parę sekund oszołomiony, usiłując zrozumieć sens tej bardzo „uczonej” wypowiedzi. Pomyślał ze złością: „Jak to można tak mówić po polsku, że się nic nie rozumie”. Odchrząknął, poprawił coś przy krawacie. Diabli nadali, trzeba coś powiedzieć.

- To znaczy - zaczął ostrożnie - co przez to rozumiecie, inspektorze?

Major ulitował się.

- Muszę przeprowadzić jeszcze analizę tego zagadnienia, co pozwoli mi na wyciągnięcie ostatecznych wniosków - odparł wymijająco.

- Myśmy widzieli się miesiąc temu. Przeszło miesiąc. Czy po upływie tego okresu nie macie jeszcze żadnej oceny?

Pytanie zadane było tonem uprzejmym, niemniej jednak przebijało w nim trochę wyrzutu. Major uśmiechnął się. W tej samej chwili do pokoju wszedł zastępca komendanta.

- Wy tutaj, towarzyszu majorze? - spytał zdziwiony.

Zakrzewski spojrzał szybko na Wichurskiego, potem na zastępcę, potem znów na Wichurskiego.

- Majorze? - powtórzył ze zdumieniem.

Tajemnica „starszego inspektora NIK-u” została więc wykryta, przy czym porucznik wyraził delikatnie lekki żal, że go tak nabrano. Przy okazji dowiedział się, że major ma do niego pewną sprawę i gdyby nie kartka w hotelu, sam by tu dzisiaj przyszedł.

- Słucham was, towarzyszu majorze - rzekł, gdy zastępca wyszedł.

- Czy pamiętacie jeszcze sierżanta Jerzego Malinowskiego? Byliście razem w partyzantce.

Zakrzewski powiódł ręką po czole, skupiając myśli.

- Bardzo słabo - odparł z zafrasowaniem. - On był w innym oddziale partyzanckim niż ja. Co prawda pod sam koniec wojny przeszedł do mojego, ale to już były ostatnie tygodnie. Wiem, że był odważny, dosyć zdyscyplinowany, ambitny... To chyba wszystko. Czy macie z nim teraz jakieś kłopoty?

- Jak dawno jesteście w Katowicach? - odparł Wichurski pytaniem na pytanie.

- Półtora roku.

- Nie spotkaliście go tu kiedy?

- Tu? - porucznik był wyraźnie zdziwiony. - Nie, nigdy. Ale na Śląsku można mieszkać i dziesięć lat, nie spotkawszy ani razu znajomych. Tu jest przecież ogromne zaludnienie i ciągły przepływ przyjezdnych.

- Chciałbym wam coś zaproponować...

- Słucham?

- Czy odpowiadałaby wam praca przy pewnym specjalnym zadaniu? Oczywiście, po uzgodnieniu z waszym szefem. Zastrzegam, że praca byłaby niełatwa, chwilami niebezpieczna.

Zakrzewski zrozumiał, o co chodzi, i dlatego nie zapytał o szczegóły.

- Na długo?

- To zależy. Może miesiąc, może rok.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie musicie mi dawać odpowiedzi od razu.

Namyślcie się.

Następnego dnia major przyjął porucznika Zakrzewskiego do swojej grupy na czas nieograniczony. Wówczas dowiedział się od niego przy okazji dłuższej rozmowy, że szefem sztabu oddziałów partyzanckich, w których znajdował się Malinowski, był Jan Grabowski - obecny dyrektor departamentu jednego z ministerstw.

Rozdział 8

Mężczyzna, który w gliwickiej kawiarni „Bajka” zajął stolik po Romanie Kolińskim i za którym, jak nieodłączny cień, przez parę dni włączył się wywiadowca – miał około pięćdziesiątki, był dość przystojny, tęgawy, dobroduszny z wyglądu. Ongiś radiotechnik, dziś zatrudniony był na pół etatu w pewnej spółdzielni jako księgowy. Prócz tej skromnej połówki zarabiał również dorywczo, prowadząc i sprawdzając księgi handlowe w innych spółdzielniach i zakładach prywatnych.

Mieszkał u krewnych w Katowicach, wynajmując od nich nieduży pokoik. Prócz tego jednak posiadał własny domek w osiedlu Kolne, odległym od Katowic o blisko dwie godziny drogi pociągiem. W domku tym, jak zdążył stwierdzić wywiadowca, mieszkała siostra pana Krawczyńskiego (bo tak się ów mężczyzna nazywał), stara panna – zgorzkniała, milcząca, nieufna wobec wszystkich.

Wywiadowca zauważył, że Krawczyński zdążył przez te kilka dni dwukrotnie przyjeżdżać do domku i

w nim nocować. Było to zawsze po spotkaniu z Kolińskim, raz w kawiarni „Bajka”, a raz na zabawie w Wojewódzkim Domu Kultury w Katowicach. To drugie spotkanie było zaaranżowane tak subtelnie i z takim zjawstwem, że gdyby nie poprzednia scena w „Bajce”, nawet tak wytrawny obserwator jak wywiadowca Dziecioł nie zdołałby nic zauważyć.

Koliński wszedł do szatni, aby kupić papierosy. Krawczyński wychodził w tym samym momencie z toalety, która mieściła się w hallu obok szatni. Nie zderzyli się, nie dotknęli nawet swoich rąk. Koliński upuścił pudełko „Giewontów”, tamten schylił się, aby je podnieść, ale Koliński go uprzedził. Powiedział z roztargnieniem: „dziękuję...”, odwrócił się i odszedł na salę. Krawczyński zaś – na ulicę.

A mimo to wywiadowca Dziecioł swoim nieomylnym nosem poczuł, że tutaj rozegrała się jakaś scena. Może w chwili, kiedy jeden z mężczyzn upuścił papierosy, a drugi się schylił, zdążyli coś sobie podać? Na kamiennej podłodze hallu nie pozostał ani skrawek papierka. Chyba że przerwali sobie coś tak błyskawicznie jak cyrkowi żonglerzy.

Zaraz potem księgowy pojechał tramwajem na dworzec, a stamtąd pociągiem do swego domku i

zamknął się w nim aż do następnego ranka, kiedy wyjechał do pracy.

- Tam coś musi być - powiedział Wichurski, wysłuchując meldunku Dziecioła.

- Będę próbował jakoś się dostać do tego domku - rzekł wywiadowca - ale z tą starą babką niełatwa sprawa.

- Uważajcie, sierżancie, aby nie spłoszyć ptaszków. To by nam w fatalny sposób popsuło robotę.

- Tak jest - odparł Dziecioł flegmatycznie. Dobrze wiedział, co można, a co nie, na takiej robocie zęby zjadł.

Kapitan Zientara, który uparcie od tygodnia dłuwał w papierach i dokumentach, wiążących się w jakiś sposób z pracą i ze śmiercią Bekiera, przyniósł zaskakującą wiadomość. Oto żona zmarłego przyszła rano do prokuratora Strzeleckiego i zeznała z własnej a nieprzymuszonej chęci, iż widziała poprzedniego dnia w sklepie tego mężczyznę, który na jakiś czas przed śmiercią jej męża był u nich w domu. Tajemniczego osobnika zobaczyła teraz przy całkiem prozaicznym zajęciu: kupował w sklepie skarpetki.

- Rysopis? - spytał major z zaciekawieniem.

Zientara uśmiechnął się. W oczach jego zamigotało rozbawienie.

- Zgadza się, ale to nawet było zbyt cenne - odparł z zadowoleniem. - Byłem przy jej wizycie u Strzeleckiego, więc spytałem od razu, w jakim sklepie to było i na jakiej ulicy. Potem wystarczyło już tylko zapytać wywiadowcę, który za nim chodzi. Potwierdził.

- Koliński?

- Tak. Okazuje się więc, że kierownik działu zbytu z „Mechanika” nie tylko pracował w hucie z ramienia swojej spółdzielni, ale i odwiedzał prywatnie pracownika huty w jego własnym mieszkaniu. Właśnie tego pracownika, który był zatrudniony w tajnym laboratorium i który wkrótce potem został zamordowany.

- Ciekawe... Oczywiście, pamiętajcie, że to może być też zbieg okoliczności.

- Pamiętam. Gdyby to był jedyny atut, jakim rozporządzamy, byłoby kiepsko.

- Musimy mieć w rękę wszystkie atuty. Inaczej z nimi nie wygramy - rzekł major twardo.

- Słusznie. Razem z porucznik Jasińską zajmujemy się więc gromadzeniem i porównywaniem informacji, jakie dostajemy od wywiadowców. Dzięki jest

przekonany, że między Krawczyńskim, tym księgowym, a Kolińskim jest jakieś porozumienie.

- Krawczyński jest z zawodu radiotechnikiem?

- Tak.

Popatrzyli na siebie. Obaj myśleli w tej chwili to samo.

- Za wcześnie - Wichurski potrząsnął głową.

*

Inżynier Kowalski uniósł głowę znad maszyny do pisania. Do pokoju, w którym siedziało kilku inżynierów, wszedł dyrektor administracyjny, a wraz z nim jakiś mężczyzna dobrze ubrany, łysawy, w okularach.

Dyrektor podszedł do maszyny, przy której siedział Kowalski. Ten podniósł się grzecznie, spoglądając z zaciekawieniem na obcego mężczyznę.

- Kolego Kowalski - powiedział dyrektor - pozwólcie, to jest pan Koliński, kierownik działu zbytu ze spółdzielni pracy „Mechanik”...

Panowie zamienili uścisk dłoni. Koliński ukłonił się i uśmiechnął uprzejmie.

- „Mechanik” będzie u nas wykonywał dalszą część robót przy obudowie agregatu pomocniczego

w laboratorium - mówił dyrektor. - Pan w tej chwili nie ma zbyt wiele pracy, może więc zajmie się pan dopilnowaniem tych robót z ramienia huty.

- No, cóż... jak trzeba, to trzeba - odparł inżynier Kowalski.

- Widzę, że nie jest pan specjalnie zachwycony. Sytuacja jednak jest taka, że... no, nie mam komu tego powierzyć - dyrektor rozłożył bezradnie ręce. - A ktoś tam być musi. Pan rozumie, przecież to jest tajne laboratorium.

- Dobrze, panie dyrektorze. Zajmę się „Mechanikiem” - powiedział rzekomy inżynier Kowalski, dodając w duchu: „lepiej i głębiej, niż sądzicie...”.

*

Major Wichurski wszedł do sekretariatu dyrektora departamentu, z którym umówiony był na godzinę dziewiątą rano. Do dziewiątej brakowało jeszcze sześciu minut, chciał więc tylko zgłosić, że jest, i poczekać. Ale siwowłosa, elegancko ubrana sekretarka wiedziała już o jego dzisiejszej wizycie i powiedziała grzecznie:

- Pan będzie uprzejmy wejść do gabinetu. Dyrektor czeka.

Wszedł więc i zagubił się w ogromnym, trochę mrocznym pokoju z opuszczonymi storami, gdyż słońce operowało w nim od wczesnego ranka. Zza biurka wyszedł ku niemu mężczyzna zupełnie siwy, dość wysoki, o twarzy poranej zmarszczkami, ale czarstwej i opalanej. Idąc utykał na prawą nogę.

Kiedy przywitali się i usiedli w wygodnych fotelach w rogu gabinetu przy małym stoliku, dyrektor rzekł, jakby przywołując pamięcią dawne obrazy:

- To są bardzo odległe czasy... Wiecie sami, majorze, jak się u nas przedstawiały lata czterdzieści trzy, czterdzieści cztery. Największe nasilenie ruchu podziemnego, zmiana układu sił politycznych... Zwłaszcza że PPR z jednej strony przystąpiła już w tym okresie do intensywnego działania dywersyjno-sabotażowego, z drugiej - zaczęła tworzyć wraz z ruchem ludowym coraz szerszy front. Duża część Batalionów Chłopskich współdziałała wówczas z Armią Ludową.

- Wiem - rzekł Wichurski, sięgając do podsunętego mu pudełka z papierosami. - Orientuję się trochę w tych sprawach. Sam byłem w AL-u.

- Byliście? No, to rozmowa nasza będzie o wiele łatwiejsza, znajdziemy szybko wspólny język. Gdzie

byliście, w jakich oddziałach?

- Przez pewien czas pod Warszawą, a później na Lubelszczyźnie.

- Na Lubelszczyźnie? Tkwiałem tam przez jakiś czas, w czterdziestym czwartym. U kogo byliście?

- U Głowackiego, jako dowódca plutonu.

- Znałem go. Mówiono mi wówczas o akcji przyjmowania spadochroniarzy z Moskwy.

- Brałem udział w tej akcji.

- No widzicie... - Zamyślił się przez chwilę, potem spojrzał na Wichurskiego z zainteresowaniem. - Przyszliście jednak do mnie z jakąś konkretną sprawą, prawda? Bo o tamtych dawnych latach to musimy kiedyś porozmawiać, przy okazji. Do tych wspomnień zawsze się wraca.

- Bardzo chętnie, towarzyszu dyrektorze. Rzeczywiście, mam pewną konkretną sprawę. Chodzi mi o to, czy pamiętacie może z tamtego okresu człowieka o nazwisku Jerzy Malinowski.

- Malinowski... Czekałcie. Niech sobie przypomnę. Wiele szczegółów, a zwłaszcza niektórzy ludzie zatarli mi się już w pamięci.

- To zrozumiałe. Może jednak...

- Muszę wam się przyznać - roześmiał się z lekkim zażenowaniem - że próbowałem w czterdziestym szóstym roku, leżąc kilka miesięcy w sanatorium, pisać coś w rodzaju wspomnień czy pamiętników z tamtego okresu. Mówiło się u nas czasami w sztabie, że po wojnie - kto przeżyje, ten powinien spisać historię oddziałów i ich walk, pokazać sylwetki bohaterów, a może nawet i zwykłych „szarych” partyzantów, żeby to wszystko potem nie zaginęło, nie zatarło się w pamięci. Przecież w końcu tworzyliśmy jakiś maleńki, ale na swój sposób ważny kawałek historii tamtych lat... No więc pisałem trochę. Potem mnie wyleczyli, wyszedłem z sanatorium i całą pisaninę diabli wzięli. Odkładam to z roku na rok, na „wolną chwilę”, ale tych wolnych chwil jakoś nie widać. Może nigdy nie skończę?

- Czy w tych waszych zapiskach - rzekł Wichurski z ożywieniem - są również fakty związane z poszczególnymi ludźmi?

- Czy są fakty? Ależ oczywiście. Nie są to przecież tylko jakieś luźne refleksje i wrażenia z partyzantki, lecz przede wszystkim fakty. Fakty i ludzie. Jako szef sztabu naszego oddziału poczułem się bardziej od

innych predestynowany do napisania takiego pamiętnika.

- Dajcie mi to na parę dni... - powiedział major niemal błagalnym tonem.

- Dobrze, jeżeli może wam to w czymś pomóc. Muszę tylko najpierw poszukać, mam to gdzieś w domu, ciśnięte pewnie na samo dno biurka. Więc zrobimy tak: ja to dzisiaj znajdę, akurat mam wieczorem trochę czasu, jutro mnie nie będzie, bo wczesnym rankiem wyjeżdżam w teren na dwa dni, ale zostawię dla was kopertę w sekretariacie. Jak wrócę, zadzwonicie i umówimy się na rozmowę, bo pewnie nie wszystko tam będzie dla was jasne. Pismo mam wyraźne, ale pisałem trochę chaotycznie, rzucałem myśli skrótami. Może będzie tam coś i o tym Malinowskim.

*

O ósmej wieczorem, po całodziennym uganianiu się po Warszawie, Wichurski mógł wreszcie zabrać się do czytania wspomnień dyrektora Grabowskiego. Wziął gorącą kąpiel, zaparzył sobie cały dzbanek mocnej kawy i z niecierpliwością otworzył dużą, brązową kopertę. Był w niej dość gruby zeszyt oraz kilkanaście luźnych kartek i notatek zapisanych

równym, starannym pismem. Kartki były ponumerowane, na marginesach opatrzone odnośnikami i uwagami. Poukładał je według numeracji i zorientował się, że należy zacząć od zeszytu.

Otworzył pierwszą stronę. Nie był to jednak początek, widocznie Grabowski nie mógł odnaleźć innego zeszytu. Pierwsze zdania od razu wprowadzały w tok narracji.

...Miałem tego dnia bardzo dużo kłopotów z zaopatrzeniem jednej z naszych grup zwiadowczych w broń, o którą przecież stale toczyły się zażarte „boje” między chłopcami. W trakcie tych „bojów” porucznik „Koniak” (nikt z nas nie umiał powiedzieć, skąd i dlaczego wybrał on sobie taki pseudonim...), nasz specjalista od wywiadu i od ochrony sztabu, zawiadomił „Starego”, że ma już bliższe informacje o bandzie „Czarnego”, która działała na terenie kilku powiatów. Informacje te pochodziły przeważnie od chłopów, na których banda napadała i rabowała. Mieliśmy w tym czasie dość dobrze zorganizowaną siatkę wywiadowczą, bliższe informacje zdobywaliśmy również od chłopów współpracujących z naszymi oddziałami. Pamiętam, że „Koniak” zlecił

wtedy zadanie zebrania dokładniejszych wiadomości jednemu z lepszych naszych wywiadowców, „Józefowi”. Sytuacja stawała się dla nas coraz trudniejsza i wprost głupia, bo chłopci zaczęli nawet przebąkiwać, że to partyzanci napadają i rabują.

Tego dnia, kiedy wysłaliśmy „Józefa”, pojechałem ze „Starym” do dowództwa Gwardii Ludowej. Był lipiec, dzień bardzo gorący, zbierało się na burzę. Jechaliśmy na rowerach (pamiętam to dobrze, bo obaj byliśmy bez broni) do miasteczka, gdzie czekali na nas GL-owcy. Uzgodniliśmy z nimi podczas spotkania, że akcję przeciwko bandzie przeprowadzimy wspólnie. Nawet zgodzili się na udział w niej niepełnego plutonu, jednej czy dwóch drużyn z oddziału AK porucznika „Burzy”. Wykazywał on w tym czasie pewne tendencje do wspólnego działania; miał zresztą później z tego powodu jakieś kłopoty. Trzeba powiedzieć, że to porozumienie uznane było u nas za duży sukces, o znaczeniu nawet politycznym.

Po dwóch czy trzech dniach „Józef” wrócił, a z jego relacji nabraliśmy już przekonania, że bandę „Czarnego” trzeba natychmiast rozpędzić i zlikwidować jej działanie. Zapytałem „Józefa”, czy chłopci mają jakieś, chociażby mgliste podejrzenie,

kim może być „Czarny”. Nie umiał mi na to odpowiedzieć. To zresztą było zrozumiałe – był trochę za krótko między chłopami. No a swoją drogą trzeba przyznać, że ludność bała się tej bandy i nikt nie kwapił się z ujawnianiem informacji o niej. „Józefa” musieliśmy więc drugi raz posłać w teren. Gdy po paru dniach wrócił, przyniósł rewelacyjną wiadomość: banda miała się zebrać w Starej Leśniczówce. Miał już ustalone nazwiska kilku synów bogatych chłopów ze wsi położonych niedaleko tej leśniczówki, którzy byli w bandzie. Pamiętam, że jednego z tych chłopaków podejrzewaliśmy o współpracę z Niemcami.

„Józef” nie po raz pierwszy oddał nam nieocenione usługi. Tym razem również informacje jego pochodziły z wiarygodnych i sprawdzonych źródeł. Byliśmy więc przekonani, że możemy zupełnie pewnie i spokojnie przygotowywać się do akcji.

Banda miała się zebrać w Starej Leśniczówce za trzy dni. Te trzy dni poświęciliśmy na opracowanie szczegółów akcji, na dokładne uzgodnienie z GL i porucznikiem „Burzą” godziny rozpoczęcia, stanowisk, jakie zajmą poszczególne grupy, i tak dalej.

... Pogoda tego dnia nie była zbyt zachęcająca i gdyby sytuacja nie wymagała natychmiastowego działania – banda mogła przecież nieprędko zebrać się po raz drugi w takim komplecie – trzeba by było nawet zastanowić się nad przesunięciem terminu. Odprawa pod wieczór trwała bardzo krótko. „Stary” przedstawił jeszcze raz zadania i założenia akcji, a ponieważ szczegóły były już poprzednio uzgodnione, przypomniał tylko, na czym będzie polegało współdziałanie z GL i AK.

Nasza grupa miała zająć wyznaczone stanowiska około godziny dziesiątej wieczorem. Z przygotowań do akcji wynikało, że nasi mają zająć wylot jaru, znajdujący się w odległości około dwustu pięćdziesięciu metrów od leśniczówki. Za całość odpowiedzialny był „Ziutek”, rozważny i wykazujący wiele opanowania w trudniejszych sytuacjach. Przypominam sobie, że miał duży wpływ na młodych, przychodzących do oddziału.

I tu nagle, po kilku godzinach, olbrzymie zaskoczenie: dokładnie na trzydzieści minut przed rozpoczęciem akcji, ni stąd ni zowąd zjawili się Niemcy. Chłopcy opowiedzieli nam później, że Niemcy musieli być dobrze zorientowani i przygotowani, bo błyskawicznie otoczyli leśniczówkę.

Zastanawialiśmy się potem niejednokrotnie, co było powodem tego nagłego pojawienia się Niemców. Można było jedynie przypuszczać, że albo ktoś z bandy współpracował z nimi i sygnął, albo też sami Niemcy dostali fałszywą informację, że jakiś oddział partyzancki wyznaczył sobie w Starej Leśniczówce miejsce postoju. Ta druga ewentualność była bardziej prawdopodobna, bo nasze rozeznanie ustaliło, że Niemców było stu kilkudziesięciu, a więc siła wielokrotnie przewyższająca liczbę ludzi znajdujących się wówczas w leśniczówce. W owym czasie do walki z partyzantką Niemcy zawsze używali dużej liczby esesmanów i żandarmerii.

Nawet „Czarny” nie umiał nam tego później wyjaśnić...

Major Wichurski drgnął i raz jeszcze odczytał to zdanie. Nawet „Czarny” nie umiał... Dlaczego Grabowski napisał „później”? Przecież „Czarny” ...

Wstał, przeszedł się nerwowo po pokoju. Sięgnął po papierosa. Jeżeli jest tak, jak wynika ze wspomnień „Jana”, to...

Ale po co wybiegać myślą naprzód. Może był ciężko ranny i przed śmiercią z nimi rozmawiał.

Usiadł z powrotem w fotelu i czytał teraz z rosnącą ciekawością:

„Czarny” był postacią bardzo nietypową i sprawiał nam wiele kłopotu. Cholerna była z nim sprawa i do tego bardzo głupia (nie waham się przed użyciem tego określenia). Po nieudanej akcji na Starą Leśniczówkę wracały dwie nasze drużyny, każda z osobna, do oddziału. I chyba do drużyny plutonowego..., nie, nie pamiętam już dziś jego pseudonimu, dołączył się jakiś mężczyzna, o którym plutonowy, sądził, że uczestniczył w akcji jako członek GL czy AK. Był on ranny w rękę, miał przy sobie pistolet maszynowy i visa. Później się okazało, że ze Starej Leśniczówki w trakcie strzelaniny udało się uciec dwom z bandy: „Czarnemu” i jakiemuś Felkowi. Co się z tym drugim potem stało, dokładnie nie wiem; podobno związał się na dobre z NSZ.

„Czarny” natomiast, po dojściu z drużyną do naszego obozowiska, został dopiero opatrzony przez sanitariusza, ale był tak osłabiony, że położył się przy ognisku i zasnął. Po paru godzinach, kiedy wciąż jeszcze myśleliśmy, że to któryś z partyzantów – wstał, podszedł do jednego z naszych i poprosił o natychmiastowe skontaktowanie go z dowódcą

oddziału. Nasz chłopak, nie znając go, spytał, skąd jest, na co otrzymał odpowiedź: „Powiem to tylko samemu dowódcy”. Ton, jakim to krótkie zdanie zostało wypowiedziane, był tak stanowczy i sugestywny, że mimo iż dowódca był wówczas bardzo zajęty, zameldowano mu o tym.

Byłem wtedy u „Starego”. Można sobie wyobrazić nasze zdumienie i zaskoczenie, kiedy ten rzekomy partyzant wszedł do szałasów dowódcy i powiedział: „Ja jestem «Czarny»...”.

Dziś trudno mi już odtworzyć dokładnie całą tę scenę. Pamiętam jednak, jak zdumionym wzrokiem wszyscyśmy na niego spojrzeli! Szukaliśmy przecież tego człowieka przez szereg tygodni, imię jego zaczęło się już wiązać ze strachem i nienawiścią, taką samą, jaką wzbudzali Niemcy... Aż tu raptem stanął przed nami. Powiedział: „Ja jestem «Czarny»”, z zupełnym spokojem, w głosie jego wyczułem nawet ledwie uchwytną nutkę dumy. Jeżeli szukał swoistej popularności, to ją niewątpliwie miał.

Zdecydowaliśmy ze „Starym”, że wsadzimy go na razie do bunkra. Musieliśmy wskutek tego wystawić przy nim dodatkowy posterunek, co nas gniewało, bo chłopcy byli nieludzko pomęczeni wielu poprzednimi akcjami.

Na drugi dzień zebrał się cały sztab, aby zdecydować, co z tym fantem zrobić. Prawdę mówiąc, nikt z nas nie wiedział właściwie, jak się do tego jego dobrowolnego przyjscia ustosunkować. Zaczęliśmy więc od rozmowy z „Czarnym”, co było najprostsze, a konieczne. Przyznał się w zasadzie do tego, że zorganizował bandę. Próbował jednak nas przekonać, że po to zebrał i uzbroił chłopaków, po to zdobywał wraz z nimi – dla nich – żywność, aby później przyprowadzić do partyzantki dobrze przygotowany i wyposażony oddział. W to mu, oczywiście, nikt nie uwierzył. Tłumaczył nam dalej, że do napadów i rabunku rzekomo namawiali go jego „koledzy” z bandy, czemu również nie daliśmy wiary. Ostatecznie to on był ich przywódcą, bezwzględnym i żądającym posłuchu.

Ja osobiście nie miałem wtedy wątpliwości: trzeba było z tym radykalnie skończyć. Większość z naszych była jednak innego zdania. Wysuwali różne argumenty: „Czarny” ani jego ludzie nikogo nie zabili. „Czarny” zgłosił się do nas sam, dobrowolnie, a w czasie strzelaniny padło jednak około dwudziestu Niemców, a sam „Czarny” został ranny.

Nie miałem do niego zaufania. Nie podobało mi się to zgłoszenie do naszego oddziału,

podejrzewałem w tym jakąś pozę i kręactwo. Tak raptem zrozumiał swoje „błędy młodości”, jak je nazwał? W ciągu jednej nocy? Oburzały mnie te oczywiste kłamstwa, którymi usiłował wybielić się w naszych oczach.

Przeważała zaskakująca prośba „Czarnego”. Wiadomo było powszechnie, że w sąsiednim mieście powiatowym szef gestapo, nawiasem mówiąc niedawno przystany, zapisał się już w pamięci Polaków krwawymi masakrami, egzekucjami i wywożeniem do Niemiec. Próbowano parokrotnie go zlikwidować, ale bezskutecznie.

„Czarny” poprosił więc teraz, abyśmy dali mu broń i pozwolili zrehabilitować się w naszych oczach. Tą rehabilitacją miał być... zamach na szefa gestapo. Równało się to właściwie wyrokowi śmierci, ale ten i tak wciąż mu groził.

Nikt z nas nie wątpił, że wysłanie jednego człowieka na tak wyjątkowo ryzykowną akcję nie może skończyć się szczęśliwym powrotem. W poprzednich zamachach brało udział po kilkanaście osób i nie tylko nie dało to efektu, ale większość z nich zginęła. – A jeżeli się uda? – zapytał ktoś z nas „Starego”. Dowódca odpowiedział krótko: – To „Czarny” u nas zostanie.

Taką akcję mogła więc wykonać albo bardzo duża grupa – ale wówczas akcja naraziłaby mieszkańców miasta – albo jedna osoba, która nie ma już nic do stracenia. I dlatego sztab się zdecydował.

Udało mi się tylko przeforsować jedno: aby nie puszczać „Czarnego” zupełnie samego. Kilku naszych ludzi zostało więc skierowanych przed akcją do miasta, aby w miarę możliwości obserwować jej przebieg.

„Czarny” dostał dwa granaty i pistolet „dziewiątkę” z zapasowym magazynkiem. Zapoznaliśmy go z rozkładem zajęć szefa gestapo, a zwłaszcza z godzinami jego wyjazdów samochodem. Ręka „Czarnego” była tylko lekko zraniona, tak że po tygodniu swobodnie nią władał. Wtedy wyruszył do miasta.

Plan był opracowany możliwie dokładnie. O godzinie jedenastej rano „Czarny” miał być u fryzjera w bocznej uliczce obok rynku. Gestapowiec przejeżdżał codziennie samochodem o wpół do dwunastej – prawie nigdy się nie spóźniał – przez rynek i ulicę prowadzącą w stronę kościoła; wracał z ранego objazdu do budynku, w którym mieściło się gestapo.

Na akcję wybraliśmy dzień targowy. W takie dni około południa chłopci wracali furmankami z targowiska i samochód musiał jechać wolno, często się zatrzymując. W ostatniej chwili skierowaliśmy trzech ludzi jako ubezpieczenie „Czarnego”.

Z dokładnych relacji „Żbika” i „Śmiałego”, którzy wyszli jakiś czas przedtem do miasta i obserwowali później całą akcję, wynika, że na parę minut przed wpół do dwunastej „Czarny” – ubrany jak zwykły wiejski chłopak – wyszedł z zakładu fryzjerskiego, pospacerował chwilę po rynku i skierował się w ulicę wiodącą do kościoła. Na jezdni znajdowała się wówczas jedna samotna furmanka.

Samochód szefa gestapo zwolnił przed ostrym zakrętem, w odległości około dwustu metrów od rynku. Miasto w tym miejscu właściwie już się kończyło. Motocykl z obstawą utknął pomiędzy furmankami na rynku. Chwila do działania była wymarzona i „Czarny” doskonale ją wykorzystał. W momencie kiedy kierowca samochodu zwrócił całą uwagę na zakręt, „Czarny” błyskawicznie wyskoczył z za drzewa (pamiętam, chłopcy mówili, że była to duża i gruba topola). Kilkoma strzałami położył kierowcę, a kiedy samochód gwałtownie skręcił do rowu – zanim szef gestapo i jadący z nim podoficer

SS zorientowali się w sytuacji - „Czarny” rzucił do wnętrza wozu granat, sam zaś przeskoczył przez jezdnię i skrył się w rowie, aby uniknąć odłamków.

W tym samym momencie na jezdni pojawił się motocykl z obstawą. Niemcy wyskoczyli z niego, nie mogąc jednak od razu połapać się w sytuacji. Wówczas „Czarny” rzucił w nich drugi granat, po czym zaczął uciekać, kryjąc się pomiędzy opłotkami i zabudowaniami gospodarskimi. Paru SS-manów puściło się za nim w pogoń.

„Czarny” biegł w kierunku rzeki. Zaalarmowana żandarmeria przybiegła z dwoma dużymi wilczurami. Kilkunastu Niemców zaczęło teraz gonić uciekającego.

Biegł w górę rzeki, a ponieważ przez cały czas kryły go gęste, wysokie zarośla, strzały Niemców nie mogły go dosięgnąć. Odległość pomiędzy nim a pościgiem powiększała się z każdą chwilą. Szybciej jednak od ludzi biegły psy...

„Czarny” wiedział, że gonią go wilczury. Przebiegł przez rzekę, która w tym miejscu miała około dziesięciu metrów szerokości, i zaroślami po drugiej stronie wrócił około pięćdziesięciu metrów, zbiegł do jaru i jego dnem dotarł do lasu.

Oczywiście, te ostatnie szczegóły opowiedział nam już sam „Czarny”, kiedy wrócił do oddziału. Bo jednak wrócił...

Ja osobiście miałem co do tego duże wątpliwości i powiedziałem nawet do „Starego”: - Zobaczysz, że nawet jeżeli cała akcja się uda, to ten bandzior potem zwieje.

„Stary” był raczej tego samego zdania. Zastanawiałem się, co się „Czarnemu” lepiej opłaci: uciec czy wrócić. Chciałem tego człowieka rozszyfrować. Chciałem wiedzieć, co się kryje pod tą brawurą i niewątpliwą odwagą.

Rozważałem wtedy dwie możliwości. Jeżeli nie wróci do oddziału, będzie musiał albo miesiącami kryć się gdzieś w lesie, albo uciec w ogóle z tych terenów, gdyż ktoś w miasteczku mógł go rozpoznać w czasie strzelaniny. Niemcy mogą go więc poszukiwać. Ludzie w miasteczku byli różni... Poza tym wiedział chyba, że Niemcy, mszcząc się za zamach, będą przy pomocy zwielokrotnionych sił „czesać” okolicę, a zwłaszcza lasy. W lasach z kolei łatwo mógł wpaść w ręce jakiegoś oddziału partyzantów i mieć potem poważne kłopoty.

Jeżeli zaś wróci od razu, sam, dobrowolnie, może liczyć (o czym niewątpliwie był przekonany) na to, że

przyjmiemy go do oddziału; w jego sytuacji było to właściwie jedyne wyjście. Jedyne i wcale nie najgorsze...

Tak więc doszedłem do wniosku, że chyba jednak wróci, i okazało się, że miałem rację. Kiedy przyszedł, co prawda ranny dość mocno w tę samą rękę, ale żywy - cały oddział patrzył na niego ze zdumieniem i podziwem. Zaskoczyło nas również jego opanowanie i spokój, z jakim opowiadał o przebiegu akcji.

Krótko potem nadeszli „Żbik” i „Śmiały”. Byli również pełni podziwu dla jego odwagi i wprawy, z jaką zamach wykonał. Pomyślałem wtedy, że wprawiał się na okolicznych chłopach... ale już nic nie mówiłem. Trudno było nie przyznać, że „Czarny” przeprowadził sam jeden wyjątkowo trudną, niebezpieczną robotę.

Przyznam się jednak, że w dalszym ciągu nie miałem do niego pełnego zaufania, w czym zresztą popierał mnie „Koniak”. Ale ponieważ w tym okresie decydowały przede wszystkim czyny, „Stary” zgodził się tylko na jedno ustępstwo: odroczyć ostateczną decyzję o przyjęciu „Czarnego” do oddziału na okres dwóch tygodni.

W tym czasie „Czarny”, mimo zranionej ręki, brał udział jeszcze w kilku akcjach. W jednej z nich przypadek zdecydował, że znowu w jakiś szczególny sposób wyróżnił się odwagą i szybką orientacją. Zyskał już sobie w oddziale wielu zwolenników; ci sami, którzy jeszcze niedawno odgrażali się, że z bandy „Czarnego” zrobią marmoladę – dziś jej przywódcę traktowali jak starego, szanowanego partyzanta.

Czy można się było jednak wówczas chłopcom dziwić? Chyba nie. Podstawowe znaczenie miała przecież w tych niezwykłych, trudnych latach odwaga, spryt, a nawet pewne ryzykanctwo.

Wichurski syknął, bo dopalający się papieros sparzył mu palce. Nawet nie zauważył, że go zapalił, tak był przejęty tym co znalazł w pamiętnikach „Jana”.

Co się jednak dalej stało z „Czarnym”?

Przerzucił kilkanaście kartek. Nie, nie było już o nim ani słowa. Widocznie natrafił na obszerny fragment, dotyczący właśnie interesującej go sprawy, ale przecież wspomnienia miały obejmować cały okres walk partyzanckich, w których „Jan” brał udział, a sprawa „Czarnego”, jakkolwiek na pewno

oryginalna i ciekawa, była tylko małym wycinkiem tych wspomnień.

Zajrzał jeszcze do luźnych notatek, a nie znalazłszy już nigdzie więcej słowa „Czarny”, odłożył teczkę i zamyślił się głęboko. Teraz rozumiał, że nie obejdzie się bez rozmowy z dyrektorem. Cisnęło mu się na usta wiele pytań, wiele kwestii trzeba było wyjaśnić i uzupełnić.

Ale dyrektor wyjechał, trzeba parę dni poczekać.

*

Wichurski położył przed dyrektorem teczkę z zeszytem i notatkami, po czym rzekł z uśmiechem:

- Wiecie, towarzyszu dyrektorze, że po prostu nie mogłem się was doczekać! Mam kilka zasadniczych pytań. Uporządkowałem to sobie, aby nie zabierać wam dużo czasu. Wiem, że macie dziś konferencję...

Dyrektor pomyślał sobie przelotnie, że nawet i o takich sprawach wiedzą w kontrwywiadzie, a potem odparł:

- Cieszę się wobec tego, że moja bazgranina na coś się wam przydała. Natrafiliście na coś, co was interesowało szczególnie?

- Tak. Jak najbardziej.

- No, to pytajcie. Słucham.

- Co się dalej działo z „Czarnym”?

- No, cóż... został w oddziale, mimo pewnych oporów z mojej strony. Zresztą, później i ja nabrałem do niego zaufania, chociaż... Szczerze mówiąc, nie potrafiłem odnosić się do niego tak, jak do innych partyzantów. Po dwóch czy trzech miesiącach przenieśli go wraz z kilkoma plutonami do innego oddziału. Zdaje się, że było to już w okresie powstania warszawskiego.

- Czy wiecie jak on się naprawdę nazywał? Bo przecież „Czarny” to był pseudonim.

- Naturalnie, że pseudonim. Jak się nazywał? Poczekajcie... Nie, nie pamiętam. Wówczas na pewno wiedziałem, ale kto by to wszystko zapamiętał. Tylu ludzi było w oddziale, jedni ginęli, przychodzili drudzy...

- Ale chyba nie pozostał w oddziale pod tym bandyckim pseudonimem?

- Nie. Zamiast niego przybrał zupełnie zwyczajne nazwisko: Jerzy Malinowski. Czekaście! - uderzył się ręką po kolanie. - Przecież wyście z tym do mnie przyszli! Pytaliście, czy nie znałem Malinowskiego, prawda?

- Tak - major był jeszcze bardziej poruszony niż dyrektor. - Mówicie, że „Czarny” i Jerzy Malinowski to ten sam człowiek?

- Tak. Tylko że Malinowskich jest w Polsce chyba tyle samo, co Kowalskich, rozumiecie... Nie mogę twierdzić, że ten wasz poszukiwany Jerzy Malinowski jest tym samym Jerzym Malinowskim, który narodził się z „Czarnego”.

- A z waszym co się stało później?

- Mówiłem już, że straciłem z nim kontakt. Czy ja tam w notatkach nie pisałem, że on przybrał wówczas takie nazwisko?

- Nie.

- Widocznie zapomniałem. Zresztą ta cała historia z „Czarnym” to nie było znów dla nas takie strasznie ważne. Owszem, nie przeczę, że oryginalne. Nie codziennie zdarza się przecież, że przywódca bandy zostaje partyzantem. Zwłaszcza takim partyzantem... No ale w końcu to był tylko jakiś fragment naszego leśnego życia. W ogóle bym się tym „Czarnym” tak bardzo nie zajmował, gdyby nie to, że... - Umilkł, zastanawiał się przez chwilę, pocierając lewy policzek, na którym miał bliznę. - Tak. Gdyby nie to, że do końca nie miałem do niego pełnego zaufania.

- Czy wiecie, że we wsi Sosnówka, w której „Czarny” mieszkał, zanim zorganizował bandę i przeniósł się do lasu, pokazali mi parę dni temu jego grób?

- Grób „Czarnego”? Cóż za nonsens...

- Powiem wam jeszcze więcej: myśmy tam przeprowadzili ekshumację i rozpoznaliśmy jego zwłoki.

„To ślicznie pracujecie” - chciał powiedzieć dyrektor i w ostatniej chwili ugryzł się w język. Z kontrwywiadem lepiej nie zaczynać... Zamiast tego powiedział więc ze zdziwieniem:

- Rozpoznaliście jego zwłoki? A po czym to, jeśli łaska?

Wichurski roześmiał się nagle. W oczach dyrektora tańczyły iskierki rozbawienia.

- To było tak: przyjechaliśmy do Sosnówki i jeden z oficerów milicji - opowiadam w skrócie - mówił nam o „Czarnym”. On go nawet widział w okresie, kiedy „Czarny” organizował bandę. Milicjant był potem w oddziale AL i brał udział właśnie w tej bitwie pod Starą Leśniczówką, o której przeczytałem w waszych wspomnieniach.

- Ciekawe! Patrzcie, jaki to świat jest mały... Akurat natrafiliście w krótkim czasie na dwóch ludzi,

którzy mówią wam o tak drobnym szczególe z życia partyzantki na tamtym terenie.

Wichurski pomyślał, że nie stało się to wcale „akurat”, lecz w wyniku zmuszonej pracy, nie odpowiedział jednak na tę uwagę i ciągnął dalej:

- I ten milicjant, i krewna „Czarnego”, który właściwie nazywał się Roman Koliński...

- Ach, tak! - zawołał Grabowski. - Koliński. Pamiętam to nazwisko.

- To dobrze. Więc tych dwoje powiedziało nam, że Koliński zginął w bitwie, jeżeli można to skomplikowane zamieszanie w Starej Leśniczówce nazwać bitwą, i został na drugi dzień pochowany we wspólnym grobie z innymi swymi kompanami przez miejscowych chłopów, którym Niemcy kazali pogrzebać trupy. Mówiono mi z całą pewnością, że „Czarny” dostał pocisk w sam środek czoła. Przy ekshumacji okazało się, że tylko jedna czaszka ma otwór odpowiadający temu opisowi. Prócz tego kuzynka Kolińskiego pamiętała, że nosił on na ręce szeroką skórzaną opaskę. Resztki takiej opaski znaleźliśmy przy oglądaniu szkieletu. Mieliśmy więc wszelkie dane, aby sądzić, że Roman Koliński nie żyje. Koliński vel „Czarny”.

- Wiecie, co wam powiem? Chłopi z tej Sosnówki i w ogóle z całej okolicy mogli tak sądzić, bo od czasu bitwy w Starej Leśniczówce banda „Czarnego” przestała istnieć, a on już więcej nie pokazał się we wsi. Gdyby żył, przyszedłby przecież do tej rodziny, prędzej czy później, jak nie za okupacji, to po wojnie. A właściwie... po wojnie się nie pokazał?

- Nie. To znaczy... w tamtych stronach nie.

- Ciekawym, czy żyje. Nie spotkałem go już nigdy więcej.

- Ale pamiętacie, jak wtedy wyglądał?

- No oczywiście. Miałem czas mu się przyjrzeć przez te parę miesięcy. Przystojny chłopak, czarnowłosy, nos prosty. Był dość wysoki i postawny.

- Ten? - Major podsunął dyrektorowi małe, wyblakłe zdjęcie. Był to sierżant Malinowski, w okresie kiedy rozpoczął pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa.

Dyrektor spojrział i znów uderzył się ręką w kolano.

- Naturalnie, że ten! Skąd macie jego zdjęcie?

- A ten też?

Drugie zdjęcie przedstawiało porucznika Malinowskiego, kiedy otrzymał już swoje gwiazdki i był „na wylocie” z urzędu. Na fotografii był nieco

tęższy, nosił krótko przystrzyżone wąsiki, był w mundurze.

- Tak - odparł dyrektor, ale już z mniejszą pewnością. - Tylko ma wąsy. I grubszy. No, chyba tutaj jest trochę starszy.

Wichurski rozłożył na biurku kilka zdjęć, wśród których była fotografia kierownika działu zbytu spółdzielni „Mechanik”.

- Czy wśród tych ludzi poznalibyście Malinowskiego? Dyrektor potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Nie. Wszystko jakieś starsze, mają chyba około czterdziestki. No oczywiście, jeżeli Malinowski żyje, to też nie jest młody. Ale wśród tych... bo ja wiem, może najprędzej jeszcze ten - wskazał na zdjęcie Kolińskiego. - Trochę podobieństwa w ustach. „Czarny” też miał taki lekki grymas, ściągnięta dolna warga. Tylko nos inny. O oczach trudno coś powiedzieć, „Czarny” nie nosił okularów. Widzieliście kiedy partyzanta w okularach?

- Widziałem - odparł major z lekkim uśmiechem. - Był w moim oddziale. Lekarz. Stale gubił te okulary i mieliśmy z nim kłopoty.

- Ale! - Dyrektor podniósł się z krzesła, jakby coś go poderwało. Przeszedł się parę kroków, zmarszczył

brwi. – Wiecie, co by wam mogło pomóc? Zdaję sobie sprawę, że sądzicie, iż ten facet w okularach to dawny „Czarny”, tylko nie macie dowodów. Więc może by wam mogła pomóc blizna. Po zamachu na szefa gestapo „Czarny” wrócił do oddziału ciężko ranny w rękę. Zachodziła nawet obawa, że będzie ją trzeba amputować, ale ten człowiek miał żelazny organizm. Pozostała jednak duża, głęboka blizna na rękę. Tu, nad łokciem, od wewnętrznej strony – pokazał na swojej ręce. – Myślę, że to byłby jakiś znak rozpoznawczy.

– Nie pamiętacie, którą rękę miał ranną?

– Chyba lewą.

– Zresztą, to drobiazg. Dziękuję wam bardzo za cenną wskazówkę.

– A te zapiski... – zawahał się, dokończył jakoś wstydliwie: – Jak uważacie, czy... tego, czy...

– Uważam, że przedstawiają dużą wartość dokumentalną i naprawdę namawiam was, towarzyszu, abyście je kontynuowali. Zainteresujcie tym jakieś wydawnictwo. Teraz przecież bardzo chętnie publikują partyzanckie wspomnienia.

– E tam. Akurat czekają na moje zapiski. – Dyrektor udawał obojętnego, ale w gruncie rzeczy

cieszył się z uznania. - No, dobra. Trzeba będzie zabrać się do nich wieczorami. Albo podczas urlopu.

Rozdział 9

W dwa dni po powrocie do Katowic Wichurski otrzymał z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej wiadomość, że były urzędnik oddziału finansowego w Parzęcicach, Zbigniew Włodarczak, bynajmniej nie zginął z rąk nieznanego mordercy ani też nie uciekł za granicę. Przyczyną jego zniknięcia z terenu Parzęcic (zarazem było to zniknięcie z oczu dwóch zazdrosnych o niego kobiet – żony i kochanki) stała się pewna niebieskooka blondynka z Białegostoku. Dla niej to porzucił rodzinne pielesze oraz kochankę, która już mocno dała mu się we znaki, i przyczaił się u blondynki tak dobrze, że go przez półtora roku nikt nie mógł odnaleźć. Na podstawie sfalszowanego dowodu osobistego zawarł z blondynką ślub cywilny jako obywatel Adam Kowalski z Torunia. I mieszkali sobie ci państwo Kowalscy cicho i szczęśliwie na małej uliczce Białegostoku, dopóki „władza” oraz prawowita żona nie wtargnęły i nie przerwały brutalnie tej sielanki.

Pan Zbigniew vel Adam powędrował z powrotem do Parzęcic, a major Wichurski odesłał jego akta komu trzeba i wykreślił z listy. Były urzędnik interesował już teraz tylko prokuratora, nie zaś kontrwywiad.

Należało zwrócić baczną uwagę na dwie osoby: Romana Kolińskiego i byłego radiotechnika z małego domku w osiedlu Kolne - Krawczyńskiego. Od chwili powrotu majora z Warszawy inwigilacja tych dwóch, a zwłaszcza Kolińskiego, nie została przerwana ani na jeden dzień. Czterech wywiadowców z grupy „C” przekazywało go sobie kolejno, oplatając niewidzialną nicią obserwacji każdą godzinę jego życia. Codziennie Ewa lub Zientara otrzymywali meldunki o tym, gdzie Koliński był, z kim rozmawiał, dokąd wyjeżdżał, nawet gdzie kupował skarpetki czy mydło do golenia i jakie czytał gazety.

Czterech innych nie spuszczało z oczu pana Krawczyńskiego. Ci mieli nieco łatwiejsze zajęcie. Krawczyński w tym okresie mało wychodził z pokoju, który wynajął w Katowicach. Prawdopodobnie chorował trochę, gdyż dwukrotnie kupował w aptece jakieś specyfiki na wątrobę.

- Pojedziecie do Rogowa? - spytał major kapitana Zientarę, kiedy ten narzekał na brak ruchliwego

zajęcia. Nudziła go inwigilacja, poza tym uważał, że jedna osoba najzupełniej do tego wystarczy.

- Do Rogowa? - odparł ze zdziwieniem. - Po co?

- Do Fabryki Wyrobów Metalowych.

- Ach, tak. Malinowski. Bardzo chętnie pojedę. Z pewnością znajdą się tam ludzie, którzy go pamiętają. Czy macie dla mnie jakieś konkretne zadanie, związane z tym wyjazdem?

- Owszem. Dowiedźcie się w jakiś dyskretny sposób, czy wicedyrektor Malinowski nie przyjmował w okresie swego pobytu w fabryce kogoś do pracy. Rozumiecie, co mam na myśli: nie chodzi tu o tych wszystkich, których podania cyfrował mechanicznie jako kierownik, ale o takiego kandydata, którego sam przedstawił lub osobiście popierał. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że... - urwał i zamyślił się. Zientara patrzył na niego uważnie.

- Chyba wiem, o co wam chodzi - odezwał się. - Tam mógł być ktoś, kto zwał z nim razem za granicę. Z różnych przyczyn.

- Tak. Widzicie, charakter i cała sylwetka moralna „Czarnego”, a później także porucznika Malinowskiego, nie pasują mi do postaci szpiega. Gdzieś musiało nastąpić jakieś generalne

przesunięciu, jakaś przerwa, w czasie której dokonała się w tym człowieku ogromna przemiana.

Kapitan skrzywił się lekko i potrząsnął głową.

- Mówicie tak, jakbyśmy już mieli pewność, że Koliński to szpieg.

- Nie mam żadnych wątpliwości - odparł major twardo.

- A ja mam.

- Wiem. I wy macie, i Nowakowski, może nawet i Ewa... Trudno. Może już niedługo okaże się, kto miał rację. Oczywiście mogę się mylić.

Zientara rozmyślał nad czymś. Wiedział, co o Wichurskim mówiono w Centrali. „Jeden z naszych najlepszych pracowników, głęboko doświadczony, mądry, opanowany...”. Ale nawet ci najmądrzejsi mogą się mylić.

- Co mieliście na myśli, mówiąc o tej przerwie w życiorysie Kolińskiego? - spytał.

- Ośrodek szpiegowski w NRF. Dlatego musimy odnaleźć ślady człowieka, który go tam zaprowadził. O ile naturalnie człowiek taki istniał. Sądzę jednak, że tak. Koliński sam do NRF nie trafił. Chyba się nie mylę w jego ocenie.

- Uciekł, sam lub z kimś, przeszkolili go, potem wrócił tutaj i zadekował się w spółdzielni

„Mechanik”, aby przekazywać materiały o cynku – tak by to wyglądało? Boję się, czy nie upraszczamy sprawy.

- W dużym skrócie tak właśnie by to wyglądało. Tak sądzę.

- Dobrze, pojedę dziś jeszcze do Rogowa.

*

Był wieczór. Po upalnym dniu, nie ochłodzonym najmniejszym nawet powiewem wiatru, słońce zaszło za chmurę, ciemną i burzową. O ósmej zagrzmiało kilka razy, wiatr jednak nie powiał i powietrze na gliwickim dworcu było tak duszne, aż trudno było oddychać.

Niewysoki, szczupły kolejarz w rozpiętym pod szyją mundurze siadł na ławce w poczekalni, stawiając koło siebie niezapaloną latarnię. Otarł pot, spływający mu po twarzy, rozejrzał się dokoła.

Ludzi nie było wiele. Kręcili się ospale koło bufetu, ciągnąc piwo ze szklanych kufli, trzy osoby jadły coś przy stolikach. Kolejarz pomyślał przelotnie, że warto by teraz coś zjeść, bo potem może nie znaleźć wolnej chwili, ale nie chciało mu się wstać i podejść do bufetu.

Siedział więc tak jeszcze z pół godziny, na pozór senny i oziębiały, jak wszyscy kolejarze po iluś tam godzinach jazdy, a w rzeczywistości czujny, bacznie obserwujący wszystko i wszystkich dokoła.

Ten jednak, na którego czekał, jeszcze nie przyszedł. Wstał więc i wyszedł na perony. Zapalił latarnię, mruknął coś na pytanie bagażowego, odszedł dalej, nie chcąc wdawać się z nim w rozmowę.

Na peronie, z którego odchodziły pociągi do Katowic, podeszła do niego jakaś tęga, czerwona na twarzy kobieta.

- Kaj to leci tyn cug na Katowice? - spytała, napierając na niego wielkim brzuchem.

Odsunął się trochę, plecami poczuł żelazną balustradę.

- Tu.

- Zarozki polecisz?

Wzruszył ramionami, pochylił się nad latarką, bo słabo świeciła.

- Jo ta nie wim. Pytojcie drugich.

Odeszła, urażona. Nie wiedziała, że był rad z jej zapytania, z tego, że poznała w nim tylko kolejarza, nikogo więcej. Porucznik Zakrzewski - on to był bowiem - spojrzął na zegarek. Było już dobrze po

dziewiątej. Pomyślał, że przyjdzie mu tu pewnie siedzieć do nocy. Ostatni pociąg do Katowic odchodził dwie minuty przed dwunastą, potem była długa przerwa aż do czwartej z minutami. Chyba Koliński nie będzie czekał do rana. W najgorszym przypadku pojedzie więc tym ostatnim.

Pokręcił się jeszcze trochę po peronie, po czym wyszedł do hali dworcowej. Na perony wiodły stąd cztery wyjścia. Ludzi przybywało, jak zwykle o tej godzinie. Stwierdził, że stanowczo nie będzie w stanie upilnować wszystkich wyjść, rozejrzał się więc za sierżantem, który powinien tu gdzieś czekać. Z trudem rozpoznał go, rozpartego leniwie na ławce pod oknem, w kwiaciastej koszuli wyrzuconej na spodnie, przybrudzonych trampkach i z rozwichrzoną grzywą ciemnych włosów, spadających niemal na oczy. Był tak świetnie ucharakteryzowany, że jakiś przejezdny milicjant obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

Zakrzewski, szurając butami jakby ze zmęczenia, poczłapał do ławki i przysiadł, znów ocierając twarz z potu.

- Przy kasie. Kupuje bilet - powiedział „kwiaciasty”, prawie nie otwierając ust. Potem ziewnęła szeroko i wsadził ręce w kieszenie dżinsów.

Zakrzewski podniósł się leniwie z ławki. Roman Koliński szedł w kierunku jednego z wyjść na perony. Oficer przepuścił za nim dwie osoby, po czym powiedział głośno „przepraszam!” i wlaźł w przejście tuż za Kolińskim. „Kwiaciasty” był już koło niego, zderzyli się ramionami, Zakrzewski burknął coś o „szczeniakach, co oczu nie mają”, tamten roześmiał się wzgardliwie.

- Wsiadaj do innego wagonu - szepnął porucznik tuż przy jego uchu, po czym rozeszli się na peronie.

Pociąg do Katowic właśnie nadjeżdżał, wagony wolniutko przesuwwały się przed ich oczami, wreszcie stanęły. Koliński wsiadł do pustego przedziału dla palących, zasunął za sobą drzwi, zaciągnął w oknie firanki. Z teczki wyjął gazety, rzucił na siedzenie, teczkę położył na siatkę. Wszystko to robił ruchami spokojnymi, bez pośpiechu, od czasu do czasu rzucając krótkie spojrzenia na korytarz wagonu.

Do tego pociągu mało kto wsiadał, najwięcej ludzi jeździło ostatnim, o dwunastej. Toteż Zakrzewski umieścił się o dwa przedziały dalej, tylko drzwi na korytarz zostawił otwarte.

Informacje, jakie dostał dziś rano, były bardzo skąpe. Wynikało z nich, że Roman Koliński ma się spotkać z kimś w ciągu dzisiejszego dnia,

prawdopodobnie w Gliwicach. Wyjechał o jedenastej rano, do tej pory jednak, poza ściśle służbowymi sprawami spółdzielni „Mechanik”, dla której załatwiał w Gliwicach różne zamówienia, nie spotkał się z nikim prywatnie, nie był w kawiarni, obiad jadł sam w małym barze, nie odwiedził nikogo w mieszkaniu.

Zakrzewski sądził więc, że albo informacja była błędna, albo też spotkanie nastąpi w pociągu. Czekał teraz cierpliwie, wychodząc dwukrotnie na korytarz, aby zapalić papierosa. W tym celu umyślnie wybrał przedział dla niepalących.

Upłynęło dziesięć minut, potem piętnaście. Koliński nie ruszał się z miejsca, studiując uważnie ogłoszenia w gazecie. Kiedy przeszło jeszcze pięć minut, w końcu wagonu otworzyły się drzwi przedziału i na korytarz wyszedł starszy, siwy pan z teczką.

Zakrzewski, który stał właśnie przy oknie z trzecim już papierosem, poznał go natychmiast. Był to Krawczyński. Porucznik ucieszył się, że jego czekanie nie było daremne i serce zabiło mu żywo. Wiedział, że nie chodzi tu już o zwykłych przestępców, z którymi jako milicjant stykał się niemal codziennie. Tutaj sprawa była daleko

poważniejsza, a partnerzy o wiele sprytniejsi i ostrożniejsi. Krawczyński stanął w drzwiach przedziału, w którym siedział kierownik sekcji zbytu, i spytał grzecznie:

- Są wolne miejsca, prawda?

Koliński spojrział na niego z roztargnieniem.

- Oczywiście, że są - odparł.

- Pozwoli pan wobec tego, że się tu przesiądę. W przedziale na końcu wagonu okropnie rzuca.

- Ostatni przedział jest na osi, zawsze w nim rzuca. Proszę, niech pan siada...

Krawczyński położył teczkę na siatce i zajął miejsce naprzeciwko Kolińskiego, zasuwając drzwi przedziału.

„Kiepsko” - pomyślał oficer. Wejść do tych dwóch nie miało sensu, nie odezwą się do siebie przy kimś obcym. Zamknięte drzwi nie przepuszczą ani słowa rozmowy.

Obejrzał się ostrożnie. Szyby w drzwiach Koliński zasłonił firankami. Porucznik odwrócił się więc swobodniej i przyjrzał się tym drzwiom uważnie. Po chwili dojrzał, że zdradzają wyraźną tendencję do ciągłego otwierania się. Postanowił im to ułatwić. W szparę od strony korytarza, tuż przy podłodze, wsunął nieznacznie zwitek papieru, tak że nie mogły

dosunąć się do samego końca. Kiedy pociąg zachybotał na zakręcie, rozsunęły się z cichym zgrzytem...

Koliński wstał i zamknął je, ale po chwili historia się powtórzyła.

- Zostaw, przecież nikogo nie ma - powiedział Krawczyński.

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknął tamten niechętnie.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Zakrzewski wychylił się przez okno i głośno zapytał o coś stojącego na peronie kolejarza, mówiąc mu na „ty”. Zagadnięty, nie poznając widocznie, że to obcy, odkrzyknął mu, również na „ty”, że pojedzie dopiero następnym pociągiem.

„To świetnie” - pomyślał Zakrzewski i zamknął okno. Byłby w kłopotcie, gdyby kolejarz wsiadł nagle do jego wagonu. Kiedy pociąg ruszył, przeszedł się po wagonie jakby czegoś szukając, a potem usiadł na sprężynowej ławeczce w korytarzu, oparł nogi o ścianę przedziału i przymknął oczy.

Silniejsze zakolysanie wagonu znowu otworzyło drzwi. Koliński wyjrzał na korytarz. Oficer obserwował go przez niedomknięte powieki, pochrapując z cicha.

- Co ty się tak denerwujesz? - rzekł Krawczyński.
- Przecież to tylko jakiś kolejarz. Siadaj, on przecież śpi. Ty się ciągle kręcisz, bo nie chcesz odpowiadać na moje pytania. A ja się ciebie jeszcze raz pytam: to znaczy, że znowu ja będę wszystko robił, do jasnej cholery? Wszystko, co lepsze, sam wyłapujesz, a ja mam ciągle za ciebie odwalać najgorszą robotę?

- Ciszey! - syknął Koliński gniewnie i zasunął drzwi, które po chwili łagodnie rozsunęły się z powrotem. - Zachowujesz się jak histeryk.

- Bo mam już tego dość.

- To nie powód, abyś darł mordę na cały wagon. Narażasz mnie.

- A co ty sobie wyobrażasz, że ja to się już nie narażam? Tylko ty?

- Zrozum, kretynie...

Dalsze słowa zagłuszył świst pociągu na zakręcie. Zakrzewski poprawił czapkę, która spadła mu na oczy i znowu zachrapał.

- Nie przerywaj, tylko słuchaj, co ci mówię - ciągnął Koliński. - Pójdiesz do niego i powiesz, że nie dostanie ani kropli. Tak mu powiesz, bez żadnego owijania w bawełnę: ani kropli więcej.

- On nie wytrzyma. Wiesz, co to znaczy w tym stanie przerwać? Gotów nam urządzić głupi kawał.

- Nie urządzi... Nie zdąży, rozumiesz?

- Takiś pewny? To dlaczego sam mu tego nie powiesz? Ja nie mam na niego wpływu.

- Nie powiem mu, bo się obawiam.

- Ty? Ty się obawiasz? - W głosie Krawczyńskiego była wyraźna drwina.

- Mam wrażenie, że od paru dni ktoś się za mną włóczy.

- Myślisz, że...

- Nie, nie to. Ale mógł mnie przecież ktoś rozpoznać. Wiesz, ktoś z fabryki...

Milczeli chwilę.

- No, dobrze - odezwał się Krawczyński zrezygnowanym tonem. - Jutro do niego pójde.

- Tylko pamiętaj, że jak nie zdążysz jutro... Zresztą, byleś tylko załatwił to przed sobotą. Co jest, do cholery, z tymi drzwiami?

Wstał, obejrzał dokładnie zasuwę. Nie zauważył papieru. Kiedy stał przez chwilę na korytarzu, Zakrzewski czuł na sobie przez przymknięte powieki jego ostry wzrok. Nerwy miał w tej chwili napięte do ostatnich granic, ale w dalszym ciągu spokojnie „drzemał”, rozwalony na twardym, niewygodnym krzeselku, z nogami opartymi o ścianę i ustami na

wpół otwartymi, z których wydobywało się miarowe chrapanie.

Ktoś zbliżał się z końca korytarza. Było to dwóch kolejarzy. Szli spierając się o jakieś zarządzenie porządkowe. Mijając „śpiącego” potracili go, jeden ostrzegł: – Nie śpij, chłopie, kontrola idzie... – i zaraz znikli w drugim końcu wagonu.

Zakrzewski dobrze udał rozbudzenie, przeciągnął się, wyjrzał przez okno i jakby przestraszony, podniósł z podłogi latarnię i wstał z siedzenia.

Koliński był jeszcze na korytarzu, palił papierosa. Patrzył na porucznika chłodnym, ale nie podejrzliwym wzrokiem.

Zakrzewski uśmiechnął się do niego i rzekł:

– Duchota taka, to mnie rozebrało.

– Pewnie będzie burza – odparł Koliński obojętnie i wrócił do przedziału po teczkę, bo dojeżdżali już do Katowic.

Porucznik poszedł pierwszy do wyjścia, tamci po chwili stanęli za nim. Słyszał, że jeden z nich nakręca zegarek. Oddech drugiego czuł tuż za swymi plecami i poczuł ulgę na widok konduktora, który stojąc na stopniach wagonu otworzył drzwi, bo pociąg wtaczał się na peron.

Wysiadł, machnął niby komuś latarnią, przystanął. Tamci minęli go, zaraz jednak Koliński bez słowa oddalił się od Krawczyńskiego, wyszedł innym przejściem. W tym samym momencie ktoś silnie potrącił oficera; był to młody mężczyzna w kraciastej koszuli z gazetą w ręku. Powiedział głośno: - Przepraszam - i szepnął mu nad uchem: - W porządku - po czym znalazł się tuż za plecami Kolińskiego.

Zakrzewski popatrzył za tym drugim. Zobaczył, jak od kiosku z piwem oderwała się jakaś dziewczyna w kolorowej sukience, mocno wymalowana, i rzuciwszy oficerowi krótkie, zaczepne spojrzenie, skierowała się w stronę pierwszego wyjścia, w którym zniknął Krawczyński.

Porucznik odetchnął. To by już było wszystko na dzisiaj... Nagle zauważył ze zdziwieniem, że Krawczyński po chwili wraca na peron. Zamiast dziewczyny, towarzyszył mu teraz „cień” innego wywiadowcy, który najczęściej jeździł za nim do Kolna. „Pojedzie?” - pomyślał oficer zaciekawiony. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Pociąg do Kolna stał już na peronie i Krawczyński wszedł do wagonu. Wywiadowca już tam był. Wiedział, co ma

robić, przyzwyczał się niemal do tych nagłych nocnych wyjazdów swego „podopiecznego”.

Zakrzewski zgasił latarnię i zmęczonym krokiem poszedł w kierunku miasta.

*

Major Wichurski odłożył szyfrówkę i zamyślił się. Centrala donosiła, że nadawanie informacji o cynku odbywa się na coraz to innej częstotliwości fali i z coraz to innego miejsca. Pelengatory wykrywały te miejsca z pewnym opóźnieniem, nie zdarzyło się jednak, aby osobnik, przekazujący informacje, nadał je dwukrotnie z jednego i tego samego punktu.

Grupa wiedziała, że Krawczyński w domku pod Kolnem ukrywa radiostację, nie zawsze jednak wywiadowcy zaobserwowali, kiedy ją wynosi. Była to widocznie niewielka walizka, może mieściła się w skórzanej torbie, z którą starszy pan zawsze udawał się do miasta.

To znaczyło jednak, że wywiadowcy nie pracują dokładnie. Trzeba będzie zmienić obserwatorów Krawczyńskiego. W pracy grupy i jej pomocników oznaczało to konieczność błyskawicznego poprzestawiania ludzi, zapoznania ich z

dotychczasową robotą innych, i w ogóle wymagało wiele dodatkowej pracy...

Zastukano niedbale do drzwi, wszedł kapitan Zientara.

- Już jesteście? To świetnie - major ucieszył się na jego widok. - Szybko załatwiliście tę fabrykę.

Zientara zrzucił marynarkę i wytarł twarz, mokrą od potu.

- Śpieszyłem się, bo wiem, że tutaj czeka nas najwięcej roboty. Więc tak: wicedyrektor Jerzy Malinowski na jakieś trzy miesiące przed swoją ucieczką - dokładnej daty oni tam nie pamiętają - przyjął do fabryki nowego pracownika do magazynu, Antoniego Feliksiaka. Ze strony personalnego były podobno nawet jakieś opory, bo ten Feliksiak nigdy przedtem w magazynie nie pracował, ale Malinowski swoim dyrektorskim autorytetem poparł i oczywiście przeforsował. Feliksiak dość szybko zrobił w magazynie jakieś manko, nawet nieduże, ale znów wicedyrektor to zatuszował. Ktoś tam robił kontrolę i nic nie wykrył. Dopiero jak miała przyjechać kontrola resortowa, obaj nagle zniknęli Malinowski i ten Feliksiak.

- A jak wyglądają papiery Feliksiaka?

- Po jego zniknięciu czy ucieczce, teczkę ze wszystkimi dokumentami - prawdę mówiąc, nie było ich tam wiele - przejęła najpierw miejscowa milicja, potem Komenda Wojewódzka. Przeglądałem, trudno z tego się zorientować. Ankieta, życiorys, który trzeba by jeszcze raz sprawdzić, zaświadczenie z poprzedniego miejsca pracy, prywatnego warsztatu w Łodzi. To się podobno zgadza. Zabrałem te papiery, chociaż mieli pewne opory - uśmiechnął się.

- Zobaczymy, co się za tym wszystkim kryje.

- Poczekajcie... zaraz, jak to było? - Wichurski zamyślił się na chwilę. - Kiedy banda „Czarnego” została rozbita przez Niemców w Starej Leśniczówce, oprócz samego przywódcy uciekł jeszcze jeden.

- Tak. Nazywali go „Felek”. Sądziecie, że to właśnie ten Feliksiak? - Zientara skrzywił się lekko. - Może to być zupełnie przypadkowa zbieżność, a raczej tylko podobieństwo nazwisk czy pseudonimów.

- Może. Ale my nie możemy pominąć nawet cienia nowego śladu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby dyrektor Malinowski przyjął do pracy swego dawnego kumpla z bandy.

- Po co?

- Są dwie możliwości: albo chciał go przyjąć, potrzebując do czegoś jego pomocy, albo nie chciał, ale został przez tamtego zmuszony, szantażowany. Wyobraźcie sobie, że któregoś dnia przychodzi do niego „Felek” i mówi: „Jak mi nie dasz dobrej roboty, takiej z łatwym zarobkiem, to cię wsypię. Powiem, kim byłeś, i tak dalej”. Co Malinowski może zrobić z takim typem? Zawiadomić milicję? Wtedy wpada sam. Zabić go? Ryzykowne. Więc przyjmuje go do magazynu, gdzie zawsze jest jakiś towar do upłynnienia na lewo. I rzeczywiście, po paru miesiącach „Felek” czy Feliksiak robi kanty, wicedyrektor albo też z tego korzysta, albo tylko go chroni póki się da. Kiedy widzą, że ziemia im się pali pod nogami, wieją za granicę.

- No cóż. Zupełnie możliwe, że tak było. Obie koncepcje są realne. Jeszcze bardziej przemawia to za tym, abym zajął się teraz osobą Feliksiaka możliwie szybko i dokładnie.

Wstał, sięgnął po marynarkę. Kiedy wyszedł, major zamknął starannie drzwi i ujął za słuchawkę specjalnej linii telefonicznej. Poprosił o połączenie z pułkownikiem. Otrzymał je po paru minutach, pułkownik był właśnie w swoim gabinecie.

- Słucham, majorze - powiedział swym niskim, basowym głosem. W oficjalnych rozmowach nie mówili do siebie po imieniu.

- Towarzyszu pułkowniku, w najbliższych dniach zamykamy sprawę „C-4”.

Pułkownik milczał parę sekund, jakby zaskoczony.

- Czy nie za wcześnie? Jesteście pewni?

- Tak.

- Chcieliście coś od nas?

- Sześciu ludzi i dwa samochody. Możliwie szybko.

- Ludzi... dobrze. Z samochodami może być trochę trudniej, ale sądzę, że mi się uda.

- Kiedy mamy się ich spodziewać?

- Jutro pod wieczór. - A po chwili dodał trochę ciszej: - Uważajcie tam na siebie...

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Odmeldowuję się.

*

W „Kolorowej” - nocnej restauracji z dancinikiem w Katowicach - panował tłok, jak zwykle w niedzielę. Wieczór był ciepły, toteż mimo na przestrzał pootwieranych okien, na sali wciąż było duszno i szaro od dymu. Kelnerzy, z twarzami mokrymi od

potu, poruszali się coraz wolniej i coraz niechętniej przyjmowali zamówienia. W bufecie od dawna zabrakło piwa i wody sodowej, więc pito teraz resztki „Kryniczanki”, a nawet zwykłą wodę z kranu.

Orkiestra, w białych marynarkach i błękitnych spodniach, przestała grać żywe „kawałki”, bo i tak wszyscy tańczyli ledwie ruszając nogami. Przylepione do siebie pary pociły się nie gorzej od kelnerów, mimo to na parkiecie wciąż było ciasno. Tradycji niedzielnej potańcówki musiało stać się zadość.

Porucznik Nowakowski siedział wraz z Romanem Kolińskim niedaleko orkiestry, w wygodnej wnęce, tuż pod otwartym oknem. Przy ich stoliku siedziały również dwie znajome Kolińskiego, obie przystojne, ubrane z trochę pretensjonalną elegancją, obie bardzo jasne blondynki o starannie zrobionych twarzach. Wyższa z kobiet, pani Zosia – jak ją krótko przedstawił Roman Koliński – wyraźnie do niego lgnęła, osobę „inżyniera Kowalskiego” pozostawiając swojej towarzyszce.

Owa towarzyszka – imieniem Jola – zwróciła więc na inżyniera całą uwagę, czym się czuł trochę skrępowany, bo była naprawdę przystojna i w innych

okolicznościach z pewnością by się nią bliżej zainteresował.

Koliński z początku mówił dużo, sypał dowcipami jak z rękawa, wyraźnie starał się rozruszać nieznające się towarzystwo. Ale kiedy przyniesiono wódkę i zakąski, umilkł, aby na pewien czas całkowicie oddać się jedzeniu. Widać było, że lubi dobrze zjeść. Pił niewiele.

- Jak panu na imię? - zapytała Jola, kładąc rękę na ramieniu „Kowalskiego”. - Przecież nie mogę ciągle mówić do pana: inżynierze.

„Jak mi na imię?” - Szybko spytał sam siebie i wymyślił na poczekaniu:

- Mam takie trochę niezwykle imię: Hieronim. Może pani mówić po prostu: Romek.

- To się będzie myliło - wtrąciła Zosia, krzywiąc wargi. - Dwóch Romków przy jednym stoliku...

- Wolę mówić: Johny - odparła Jola kapryśnie. - To brzmi tak jakoś zagranicznie.

- Niech będzie Johny - zgodził się Nowakowski bez oporu. Chciało mu się śmiać. - Wobec tego, może zatańczymy?

Powiedział to, zauważywszy u Kolińskiego poruszenie, jakby chciał wstać z fotelika.

- Wszystkie pary tańczą! - zawołała Jola. Sięgnęła po kieliszek, wychyliła go jednym haustem i wstała.

Kiedy byli już na parkiecie, porucznik zobaczył, że partnerka Kolińskiego szepcze mu coś do ucha. Po chwili zorientował się, że mówią o nim i o Joli, śmiejąc się dyskretnie. „Miękki jest” - udało mu się podsłuchać urywek zdania; to mówił Koliński. Pomyślał, że to dobrze, iż takie ma o nim wyobrażenie. Nitka z kłębka odkręcała się coraz dalej, na pozór w kierunku, w którym chciał ją ciągnąć Koliński. Ale tylko na pozór.

Wrócili do stolika. Kelner przyniósł nową karafkę z wódką. Zosia miała już maślane oczy i coraz to szeptała coś do swego towarzysza, czego ten słuchał z pobłażliwym uśmiechem. Jola piła kieliszek za kieliszkiem, jakby chciała upić się jak najszybciej.

Jakieś sentymentalne tango poderwało znów obie kobiety do tańca. Tym razem porucznik podniósł się trochę niechętnie, zmęczenie dawało się we znaki, ale jego partnerka była nieubłagana.

Pianista cicho akompaniował. Pierwszy skrzypek odłożył na chwilę swój instrument, saksofonista wstał, miał krótką, popisową solówkę.

Koliński przesunął się z partnerką bliżej podium. Nagle porucznik dostrzegł krótką, lecz wyraźną

wymianę spojrzeń pomiędzy kierownikiem a skrzypkiem. Zdawało mu się, że Koliński ledwo dostrzegalnym gestem wskazał drzwi, wiodące z sali na korytarz. Skrzypek pochylił głowę, może sięgał z powrotem po skrzypce, a może dawał tamtemu znak, że zrozumiał. „Chyba mi się nie zdawało” – pomyślał Nowakowski. Momentalnie opuściło go zmęczenie. Tańcząc i machinalnie odpowiadając półsłówkami na to, co plotła Jola, obserwował na przemian to skrzypka, to Kolińskiego.

Tango skończyło się. Orkiestra odłożyła instrumenty, była piętnastominutowa przerwa.

- Przepraszam na chwilę - bąknął Koliński, podnosząc się od stolika.

Porucznik wytrzymał parę sekund, potem obojętnym ruchem odwrócił za nim głowę. Kierownik szedł w kierunku drzwi od korytarza. Były tam toalety. Po kilku minutach skrzypek zrobił to samo.

Nowakowski odczekał jeszcze trochę, po czym wstał.

- Panie wybaczą... - mruknął.

- Co was tak przyparło? - zachichotała Zosia. Była już pijana, oczy jej błyszczały, suknię z boku miała rozpiętą.

Nie odpowiedział; udając, że płaczą mu się trochę nogi, powędrował między stolikami, opierając się niepewnie to o krzesła, to o czyjeś plecy. Wreszcie wydostał się na korytarz. Udał, że ma czkawkę, biało ubrana babka klozetowa spojrzała na niego i westchnęła.

Koliński i skrzypek stali w toalecie, odwróceny plecami do korytarza. Zanim go dostrzegli, usłyszał ostry głos kierownika: „No więc jutro wieczorem...” Koliński odwrócił się, zobaczył głupio uśmiechniętą twarz „inżyniera”, któremu wciąż się odbijało.

- Te sar...sardynki - mruknął, podstawiając pałającą twarz pod odkręcony kran. - Za... za tłuste, wie pan. Ja nie mogę tłustego.

- Chodź pan, wypijemy mocnej kawy - odparł Koliński, z męską solidarnością reagując na tak wyraźny dowód przepicia.

Kiedy wrócili do stolika, kobiety odeszły na chwilę, aby się uczesać. Wówczas kierownik, mieszając kawę w porcelanowej filiżance, rzekł do „inżyniera”:

- Tak mi się wydaje, że pan nieczęsto bywa w lokalach. Pewnie za drogo, co?

- A tak - przyznał Nowakowski bez protestu. - Wie pan, zwłaszcza w nocy i przy orkiestrze, to oni

pakują do rachunku tyle tych jakichś narzutów, dodatków, procentów, że człowiek nawet się nie obejrzy, a już parę setek musi zapłacić.

- Tak. Na takie lokale to trzeba by trzy razy tyle zarabiać.

- Albo i pięć. W każdym razie goła pensja nigdy nie wystarczy.

- Czy nie może pan na przykład dostać w hucie jakiejś pracy zleconej?

- Trudno - skrzywił się. - Ja jestem tam krótko, takie zlecone roboty biorą przede wszystkim starsi koledzy. Obiecał mi wprowadzić dyrektor, że coś tam wymyśli, ale to - machnął ręką - na wodzie pisane.

Koliński przyglądał mu się przez chwilę, kreśląc coś zapalką na obrusie.

- Wie pan co - zaczął, ostrożnie dobierając słowa - w spółdzielni, w której ja pracuję, mogłaby się znaleźć, tak sędzę, od czasu do czasu praca zlecona dla pana.

- Dla mnie? - Nowakowski dobrze odegrał zdziwienie. - Przecież ja jestem inżynier chemik, a „Mechanik” żadną produkcją chemiczną się nie zajmuje.

Koliński wzruszył lekceważąco ramionami.

- Produkcja produkcją, a jak się chce, robotę zawsze można odpowiednio ustawić. Ja się dowiem. W spółdzielczości można zarobić, i to nieźle. A pan fachowiec. Pogadamy jeszcze o tym - dodał, bo obie kobiety wróciły do stolika.

- Dobrze - zgodził się Nowakowski. - Zaciekawił mnie pan.

- Czym? - spytała Jola, wsuwając mu rękę pod ramię i ocierając się twarzą o szorstki materiał marynarki.

- A, nic. Tak sobie rozmawialiśmy, bo nam się bez was przykrzyło - odparł Koliński z uśmiechem. - No, jeszcze jeden taniec i do domu. Późno już.

- W każdym razie - rzekł porucznik, jakby pochłonięty tym, co usłyszał - cieszę się, że pan tak trzeźwo i rozsądnie patrzy na życie. U nas, wie pan, starzy inżynierowie niechętnie dopuszczają młodych do lepszego zarobku.

- Zawsze tak jest, jak są jakieś kliki. Zanim człowiek sam w nie wlezie, niełatwo mu żyć - odparł Koliński sentencjonalnie.

Posiedzieli jeszcze pół godziny, po czym opuścili duszny, zadymiony lokal. Na ulicy Koliński bez żadnej żenady ujął swą towarzyszkę pod ramię, skinął na przejeżdżającą taksówkę i krzyknąwszy im: „do

widzenia!” odjechał. Nowakowskiemu nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo.

W taksówce Jola powiedziała ze znaczącym uśmiechem, że chyba ten miły wieczór tak się nie zakończy. Porucznik zastanawiał się przez chwilę, jak z tego wybrnąć. Wreszcie postanowił być „brutalnym”, bo nic lepszego nie wymyślił. Kiedy taksówka stanęła przed jakąś kamienicą i kobieta wyskoczyła na chodnik, pan inżynier powiedział po prostu do kierowcy: „chwileczkę”, a do Joli:

- Wybacz, moja droga, ale muszę jechać do domu. Jest mi tak niedobrze i głowa mnie rozboleła, że nie byłbym w stanie dotrzymać ci dłużej towarzystwa. Dobranoc!

- Frajer! - rzuciła zawiedziona. - Smarkacz, pić nie umie. Ech, z takimi się zadawać...

Nie słuchając dłużej, posłał jej ręką od ust całusa i odjechał.

*

Następnego dnia, kiedy Nowakowski składał majorowi sprawozdanie z pobytu w „Kolorowej”, do drzwi ktoś zastukał.

- Proszę - powiedział Wichurski niecierpliwie.

Wszedł jeden z wywiadowców. Był wyraźnie zmieszany, a na widok porucznika zmieszanie to doszło do szczytu.

- Co się stało? - spytał major zdziwiony.

- Obywatelu majorze, ja bym... chciałbym porozmawiać z wami w cztery oczy - rzekł wywiadowca, unikając wzroku obu oficerów.

- Możecie mówić przy poruczniku Nowakowskim.

- Kiedy, bo... właśnie, że to... - jękał się tamten nieporadnie.

Nagle Nowakowski roześmiał się na całe gardło.

- Wiecie co, majorze - rzekł ubawiony - on mnie pewnie wczoraj widział w „Kolorowej”. Nie był uprzedzony i sądzi teraz, że ja współpracuję ze szpiegami.

Wichurski uśmiechnął się mimo woli.

- Trzeba było uprzedzić sierżanta - powiedział. - No, dobrze, dziękuję wam - zwrócił się do podoficera. - Wszystko jest w porządku. Jeszcze nie raz zobaczycie porucznika, jak się zalewa w towarzystwie Romana Kolińskiego.

Wywiadowca próbował również się uśmiechnąć, ale był zły. Powinni mu byli powiedzieć. Mruknął coś, co miało brzmieć jak: „odmeldowuję się” i wyszedł.

- To była moja trzecia rozmowa z Kolińskim - rzekł Nowakowski, usiłując stłumić ziewanie; był straszliwie śpiący. - I pierwsze spotkanie na gruncie neutralnym, poza hutą. Próbował mnie delikatnie wybadać, jak stoję z forszą, czy mi nie brak, czy nie chciałbym dostać ze spółdzielni „Mechanik” prac zleconych i tak dalej.

- Podprowadźcie go jeszcze raz. Powiedzcie mu coś o bliskim awansie, dobrych kontaktach z dyrektorem. Zobaczymy, czy na to poleci, najważniejsze jednak teraz to sprawa tego skrzypka z orkiestry.

- Ustaliłem, przy pomocy Zakrzewskiego i jego kolegów z milicji, jak skrzypek się nazywa, i gdzie mieszka:

- Mam nadzieję, że bez zbytecznego szumu?

- Oczywiście, To nie było trudne, mają tam spisy orkiestr, a w umowach były adresy.

- Dobrze. Jak on się nazywa?

- Mayer. Karol Mayer. Mieszka na Kościuszki sześć.

- Będzie pod obserwacją. I to dokładną.

Rozdział 10

Skrzypek Karol Mayer spał w swoim niewielkim, ponurym pokoju sublokatorskim przy ulicy Kościuszki sześć na czwartym piętrze. Dawno minął już ranek, dochodziła pierwsza w południe i wywiadowca w bramie domu stojącego po przeciwnej stronie ulicy poczuł, że go rozboleły nogi.

„Ależ śpi!” – myślał, widząc wciąż zasłonięte firanką okno.

Przeszedł się po ulicy, kupił papierosy w kiosku, wypił piwo i znów powrócił na swój posterunek w ciemnej bramie starej kamienicy.

Z domu pod szóstym wyszedł inkasent elektrowni. Przystanął na chwilę, wyjął paczkę papierosów, pomacał się po kieszeniach. Potem spojrzenie jego padło na przeciwległy dom i mężczyznę ze znudzoną miną, opartego niedbale o ścianę i palącego papierosa.

- Przepraszam, ma pan ogień? – spytał inkasent, przysuwając się do niego. I mruknął przez zęby: -

Spał. Zbudziłem go, pewnie niedługo wyjdzie. Dziękuję – dodał głośno, kiwnął głową i odszedł.

Po kwadransie znajdował się już w gmachu, który nie miał nic wspólnego z elektrownią ani z biurem inkasa, i mówił do majora Wichurskiego:

- Sądzę, że teraz niedługo wyjdzie na obiad. Mieliśmy informacje, że stołuje się w barze „Albatros”.

- Dobrze – odparł major i nacisnął guzik dzwonka na biurku. W drzwiach pojawił się mężczyzna w cywilnym ubraniu. - Sierżancie – powiedział do niego – samochód na Kościuszki, tak jak było umówione. I niech czekają.

- Tak jest – mężczyzna odwrócił się i zniknął za drzwiami. W kilka minut później niepozorna czarna „cytryna” stała w odległości stu metrów od domu pod numerem sześć. Kierowca drzemał, rozparty na tylnym siedzeniu pasażer widocznie na kogoś czekał.

Na krótko przed godziną drugą skrzypek wreszcie wyszedł z kamienicy, mrużąc oczy w ostrym świetle lipcowego słońca. Był przeraźliwie blady, ziewał i przecierał spuchnięte od snu powieki. Mimo upału miał na sobie wełnianą marynarkę i flanelowe spodnie.

Powłócząc nogami, skierował się w stronę „Albatrosa”. Za nim podążył wywiadowca z bramy po drugiej stronie ulicy. Samochód nie ruszył z miejsca. Jego rola jeszcze nie nadeszła. Mogła zresztą wcale nie nadejść, to zależało od wielu nigdy nieprzewidzianych okoliczności.

Z „Albatrosa” Mayer powłókł się do pobliskiej kawiarni i siedział w niej aż do godziny siódmej wieczorem, czym zdenerwował swojego „opiekuna”. Wywiadowca nie lubił kawiarni.

Dochodziła ósma, kiedy skrzypek wreszcie wrócił do domu. Tym razem szedł śpiesznie, co chwila spoglądał na zegarek, był czymś wyraźnie zaniepokojony. W chwili kiedy w pokoju na czwartym piętrze zapaliło się światło, do bramy domu wchodził starszy, siwy pan. Był to Krawczyński.

„Ciekawe” – pomyślał wywiadowca. Przyklejony niemal do muru, nie spuszczał oczu z okna na najwyższym piętrze.

Ale chyba nic strasznego tam się nie działo. Po półgodzinie Krawczyński opuścił kamienicę, a w kilka minut później w oknie zgasło światło. Był to poniedziałek i tego wieczoru skrzypek nie grał w restauracji „Bajka”. Orkiestra miała „fajrant”.

- Zgadza się - rzekł major do kapitana Zientary. - Zakrzewski złapał w pociągu dobrą informację. Ten facet z Kolna dostał od Kolińskiego polecenie, aby pogadał ze skrzypkiem i zrobił to dzisiaj.

- A Nowakowski dołożył resztę - roześmiał się kapitan. - Koliński kazał przecież skrzypkowi być dzisiaj wieczorem w domu. Właśnie po to. Ciekawe, co on pije...

- Skrzypek? Właśnie, też się nad tym zastanawiałem. To powiedzenie, że nie dostanie już ani kropli, wskazywałoby na alkohol, ale to znów nie ma sensu. Wódkę Mayer może kupić w każdym sklepie monopolowym i nikt mu jej nie będzie wydzielał.

- On podobno wygląda na narkomana. Więc może morfina w fiolkach? Albo jej pochodne?

- Nie przypuszczam. To by chyba powiedział: ani jednej fiołki czy ani grama. Ja myślę o czymś innym. Wiecie, tu na Śląsku, gdzieś od roku 1930 aż do wojny masowo narkotyzowano się eterem. Eter piły całe wsie, od dzieci szkolnych począwszy aż do starców. Były fakty, że pojono eterem kilkuletnie dzieci.

- Cóż za ohyda! Dzieciom dawać narkotyki...

- Zresztą, nie tylko na Śląsku. W okolicach Częstochowy, na Podkarpaciu, a nawet pod Warszawą, zwłaszcza w powiatach sochaczewskim i gostynińskim.

- Skąd oni brali tyle eteru?

- Przemyt. Przeważnie z Niemiec. To był taki wodny roztwór, nazywali go, zdaje się, anodyną.

- Myślicie, że w przypadku skrzypka chodziło o eter?

- Tak.

*

Porucznik Nowakowski alias inżynier Kowalski zatrzymał się w korytarzu. Ktoś na niego zawołał. Był to kierownik Koliński, uśmiechnięty, wyraźnie zadowolony ze spotkania.

- Dzień dobry, kochany panie inżynierze! - powitał go wesoło. - Dobrze, że pana spotkałem. Pan już wychodzi?

- Oczywiście. Przecież już po pracy. Ale skąd pan tu się wziął?

- Przyjechałem po nowe zamówienia. Właśnie - obejrzał się, ściszył głos, ujął Nowakowskiego poufale pod ramię - właśnie w tej sprawie chciałem z

panem... ale może wyjdziemy? Zaproponuję panu mały spacer, dobrze? Dziś nie ma upału, po tej burzy przyjemnie się ochłodziło.

- Bardzo chętnie się przejdę - odparł porucznik. - Dobrze tak rozprostować nogi po całodziennym siedzeniu w biurze.

Wyszli z terenu huty, kierując się w stronę drogi wiodącej do lasu, i dalej - do osiedla. Kiedy oddalili się już na taką odległość, że nikt nie mógł ich słyszeć, Koliński rozpoczął na pozór swobodnym tonem:

- Myślałem, że pan zadzwoni do mnie po naszym miłym wieczorze w „Bajce”... Miałem dla pana pewne konkretne propozycje, to znaczy pracę zleconą w naszej spółdzielni.

- Naprawdę? - Nowakowski spojrzał na mówiącego ze skruchą. - Ja wiem, to brzydko z mojej strony, ale po prostu w ciągu tych dwóch dni nie miałem zupełnie wolnego czasu. Raz zresztą dzwoniłem - skłamał gładko - ale pana akurat nie było.

- Pewnie wyszedłem. W dziale zbytu jest mnóstwo spraw do załatwienia na mieście.

Z ubitej drogi skręcili w głęboki piach szerokiego polnego traktu.

- W naszej spółdzielni - odezwał się Koliński - mamy w tej chwili sporo materiału do obróbki. Gdyby na przykład huta zamówiła u nas poważniejszą partię ogrodzenia terenu, to dysponujemy doskonałą siatką ze specjalnie odpornego drutu antykorozyjnego. Postarałem się o tę siatkę właśnie z myślą o hucie „Nadzieja”. Potrzebne wam jest naprawdę solidne ogrodzenie.

- Ma pan zupełną rację - odparł Nowakowski, aby coś powiedzieć.

- Mamy też wszystkie materiały potrzebne do obudowy laboratorium huty. Obudowy i rozbudowy, bo - jak słyszałem - laboratorium się rozbudowuje.

Mówiąc to, nie patrzył na porucznika, a ton jego głosu był prawie obojętny.

- Owszem, mamy ten zamiar - przytwierdził Nowakowski takim tonem, jakby był naczelnym dyrektorem huty. Koliński uśmiechnął się przelotnie.

- Gdyby więc huta dała nam te zamówienia - kontynuował - to, pan rozumie, spółdzielnia wyrabia dużo większy plan, a za tym idzie wysoka premia. No cóż, każdy chce zarobić. Zresztą ponadplanowa produkcja nawet tak małej placówki jak spółdzielnia „Mechanik” to jeszcze jeden krok na drodze do socjalizmu.

„Świnia” - pomyślał porucznik po prostu. I powiedział, powściągając gniew: - Bardzo ładnie pan to wywnioskował.

Koliński spojrział na niego uważnie, ale w twarzy inżyniera Kowalskiego nie dojrzał ironii. „Głupi smarkacz” - pomyślał pobłaźliwie.

- Jako kierownik działu zbytu i zaopatrzenia jestem bardzo zainteresowany tym, aby spółdzielnia przekroczyła plan. Oczywiście nie przeczę, że w konsekwencji tego przekroczenia moje zarobki również się powiększą. I tak być powinno.

- No, to pan sobie sprawi w tym roku ładny urlop - rzekł porucznik z nutą żalu w głosie i westchnął.

- Widzi pan, ale to jest całkowicie zależne od dyirekcji huty, czy da mi to zamówienie, czy nie. Gdyby więc... pan rozumie, gdyby ktoś podsunął dyrektorowi taką myśl... Nie jesteśmy przecież dla was jakąś obcą, nową firmą. Pracujemy z hutą od dłuższego czasu, a pracujemy szybko i solidnie. Zresztą nie tylko u was; w hucie „Maria” wykonywaliśmy cały szereg zamówień i dyrektor bardzo był z nas zadowolony. Można sprawdzić.

- Wierzę panu.

Doszli do pierwszych zarośli, za którymi zaczynał się las i parów. Koliński nie zauważył, że porucznik

jakby machinalnie kieruje ich kroki w stronę parowu.

- Laboratorium naprawdę się rozbudowuje - rzekł, zrywając po drodze jakąś gałązkę i bawiąc się nią od niechcienia. - Sądzę więc, że takie zamówienie... - urwał, przystanął. Koliński zatrzymał się również, nie zwracając uwagi na miejsce, w którym się znajdował.

Porucznik rozglądał się dokoła, a twarz jego miała dziwny wyraz.

- Co się stało? - spytał kierownik, dostrzegając wreszcie zaniepokojenie swego towarzysza. - Zgubił pan coś?

- Nie.

- No więc? Zaczął pan mówić o zamówieniu...

- Chodźmy stąd! - Nowakowski odwrócił się energicznym ruchem i pociągnął Kolińskiego za sobą. - Nawet nie zauważyłem, gdzieśmy zaszli.

Koliński rozejrzał się dokoła z roztargnieniem.

- No, nie wie pan? Przecież tutaj, w tym parowie, technik z naszej huty, no, Bekier... popełnił samobójstwo.

- Ach, tak. Coś słyszałem. Nie znałem go osobiście, ale parę razy widziałem. Okropna historia. To tutaj było? - Obejrzał się na parów, od którego już się oddalali. - Wie pan, naprawdę nie mogę do dziś

zrozumieć, dlaczego on się zabił. Żona, dziecko, nieźle podobno zarabiał...

- Coś niecoś na ten temat słyszałem - porucznik zrobił tajemniczą minę. - Podobno, tak mówią w hucie, miał drugie dziecko z nieprawego łoża. Gdzieś w Dąbrowie Górniczej. Widocznie sytuacja życiowa tak mu się fatalnie ułożyła, że chłop nie wytrzymał i skończył z sobą.

- Pewnie tak było. Ale zaczął pan mówić...

- Nie rozumiem tylko - przerwał mu Nowakowski - jak on potrafił połknąć na raz trzydzieści czy czterdzieści tabletek luminalu. Przecież to diabelnie gorzkie!

- Lubił wypić, to w wódce nie poczuł. Więc sądzi pan, że takie zamówienie byłoby możliwe?

- Sądzę, że to zupełnie możliwe - odparł z wolna oficer, ale miał na myśli zupełnie coś innego.

- Będę z panem szczery: bardzo mi zależy na takim zamówieniu. Ja jestem również członkiem zarządu naszej spółdzielni, mam udział w zyskach. Mówię otwarcie, przecież nic złego w tym nie ma. Jeżeli pan mi to przeforsuje u dyrektora to, wie pan... u nas jest taka życiowa praktyka, a pan młody, dopiero po studiach, to pan tych rzeczy nie zna. Ale sądzą, że jakieś dwadzieścia, nawet i dwadzieścia

pięć procent z mojego osobistego zarobku pomogłoby panu w urządzeniu sobie ładnego urlopu. Chcę podkreślić, że to z mojego zarobku, nie spółdzielni, bo wówczas to by były kanty i nie przyszłoby mi nawet do głowy, aby panu coś podobnego proponować.

Nowakowski spojrział na niego z dobrze odegranym zmieszaniem.

- Nie wiem, czy mógłbym tak... z pana zarobku. Nie miałbym sumienia. Przecież pan wówczas traci część zarobionych pieniędzy.

Koliński machnął ręką z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Tym się pan krępuje? Przecież jak panu się uda wyrobić dla mnie takie zamówienie, to ja na tym dobrze zarobię, a nie stracę. Mój udział - zawahał się, nie chciał tego podkreślać - no, jednym słowem, niech pan się nie obawia i nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Spółdzielnia to nie huta, u nas są inne zarobki.

- Dobrze. Pogadam z dyrektorem.

- On ma do pana zaufanie, prawda?

- Chyba tak, bo od pierwszego sierpnia kieruje mnie do tajnego laboratorium.

- No widzi pan. Myślę, że nam się to wszystko może dobrze ułożyć. Musi pan solidnie w laboratorium popracować, żeby to zaufanie w dyrektorze utrwalić.

- Szczerze mówiąc, to trochę więcej forsy bardzo by mi się przydało. Mam siostrę na studiach, posyłam jej co miesiąc połowę swojej pensji. Ojciec nie może jej nic dać, bo jest na emeryturze.

- Wie pan co? - Koliński zawahał się, potem sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. - To bardzo proste. Mam w tej chwili przy sobie trochę gotówki, dam panu na początek cztery - poprawił się szybko - pięć tysięcy.

- Na początek... czego?

- No jakże: naszej współpracy! Proszę - podał mu zwitek banknotów. - Niech pan się liczy z tym, że dwadzieścia procent, to może być parokrotnie więcej. A jak pan już po rozmowie z dyrektorem będzie wiedział, co i jak, to wykombinuję dla pana jeszcze z dziesięć kawałków.

Pan inżynier Kowalski z lekkim uśmiechem schował do kieszeni banknoty i powiedział:

- Wie pan, tyle pieniędzy na raz, to jeszcze nigdy nie zarobiłem.

- Bo pan dopiero zaczyna.

„A ty kończysz” - pomyślał porucznik i nic nie odpowiedział.

*

Skrzypek Karol Mayer miał tego dnia sporo roboty. Od piątej do ósmej wieczorem grał w małym zespole kameralnym, zorganizowanym od dwóch tygodni w kawiarni „Casablanca”, potem miał tylko tyle czasu, aby coś zjeść i rozmasować obolałe palce, i już trzeba było gnać do „Bajki”, na nocne występy orkiestry.

Toteż w „Casablance” starał się, o ile tylko mógł, markować grę. Tutaj nie miał żadnych solówek, publiczność zresztą była hałaśliwa, nie zwracała uwagi na repertuar, rzadko kiedy biła brawo. Nie warto było się wysilać.

Na jakąś godzinę przed zakończeniem występów tej lichej imitacji zespołu jazzowego, do kawiarni weszli porucznik Zakrzewski i jeden z wywiadowców grupy „C”. Siedli przy bocznym stoliku, tak aby móc obserwować orkiestrę. Zakrzewski nie spodziewał się dziś żadnych rewelacji, był nawet trochę zdziwiony, że otrzymał polecenie inwigilacji Mayera w kawiarni, a nie w „Bajce”. Spokojnie więc mieszał

cukier w kawie, od niechcienia rzucając okiem w kierunku zespołu, kiedy coś zwróciło jego uwagę.

Do skrzyłka podszedł kelner i szepnął mu parę słów do ucha. Mayer wzruszył niecierpliwie ramionami, odłożył instrument na fortepian i zszedł z podium, kierując się w stronę szatni. Porucznik wiedział, że tam jest telefon.

Odczekał kilka sekund, po czym wstał i wyjmując portfel podszedł do szatniarza.

- Paczkę „Giewontów” proszę. Albo, zaraz... - udał, że się namyśla, lustrując wzrokiem kolorowe paczki z papierosami, rozłożone w oszklonym pudle.

- Może amerykańskie? Węgierskie, bułgarskie? - uprzejmie proponował szatniarz.

Mayer rzeczywiście rozmawiał z kimś przez telefon. Mówił tylko „tak” albo „nie”, wreszcie rzucił zdenerwowanym tonem:

- Przecież gram tutaj do ósmej, nie mogę kolegom robić kawałów! No, ale pan wie o tym, nie? Tak, gram w „Bajce”, przecież dziś nie poniedziałek... Dobrze, będę w domu. Ale tylko do dziewiątej trzydzieści, potem muszę wyjść... Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. Jego blada, jakby spuchnięta twarz miała wyraz głębokiej troski. Chwilę stał nieruchomo, patrząc przed siebie niewidzącym

spojrzeniem, wreszcie ocknął się, kaszlnął, zaklął i zrezygnowany powlókł się na salę. Zakrzewski zdecydował się na węgierskie papierosy, wrócił do stolika, powiedział wywiadowcy, aby nie spuszczał skrzyпка z oczu, a sam po paru minutach stał już przed majorem Wichurskim, opowiadając mu, co usłyszał.

Major rozmyślał przez parę minut, gryząc nerwowo dolną wargę. Mayerowi ktoś kazał być w domu wieczorem. Już raz tak było, wówczas odwiedził go Krawczyński. Na pewno nie składał mu kurtuazyjnej wizyty. Skrzypek był zdenerwowany, wystraszony. Kto miał do niego przyjść?

- Zdaje się, że tego faceta będą chcieli załatwić - odezwał się Zientara, który siedział w kącie pokoju.

- Sądzę, że masz rację. I dlatego... Poruczniku, poproście do mnie towarzyszy z grupy. Jak najszybciej.

Kiedy zebrali się wszyscy, nie wyłączając „inżyniera” Nowakowskiego, major powiedział, patrząc uważnie po ich twarzach:

- Kończymy, towarzysze. Wygląda na to, że sprawy potoczą się teraz bardzo szybko. Mamy już pomoc z Centrali, mamy pracowników i samochody. Aby nie tracić czasu, przydzielam natychmiast

zadania. Dzielimy się na trzy grupy. Pierwsza, pod kierownictwem porucznika Nowakowskiego... weźmiecie dwóch pracowników ze sobą, do waszej dyspozycji będzie jeden wóz, kierowca i pracownik. Zadanie macie takie: około godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści albo nieco wcześniej do mieszkania Mayera przyjdzie ktoś z tej siatki... Wydaje mi się, że Koliński. Trzeba obserwować dom na Kościuszki sześć. Jak tylko wyjdzie, wy wejdziecie do kamienicy. Mayer chyba wam otworzy, nie będzie się spodziewał kogoś innego, zresztą wasza rzecz, jak to załatwicie, ale macie wejść do niego i przywieźć go tutaj. Wszystko jasne?

- Tak, majorze - odparł Nowakowski spokojnym głosem. - Chciałbym tylko przedtem oddać wam do depozytu te pieniądze - to mówiąc, wyjął z portfela pięć tysięcy i położył na biurku.

- Co to jest? - spytał Wichurski ze zdziwieniem.

Porucznik uśmiechnął się.

- Moja „dola” a *conto* współpracy z panem Kolińskim - odparł.

- Dobrze. Zdamy to potem prokuratorowi. Druga grupa - Wichurski zwrócił się w stronę kapitana - pod waszym kierownictwem o tej samej porze zdejmie Krawczyńskiego. Mamy informacje, że w tej

chwili siedzi on w prywatnym warsztacie przy ulicy Trzeciego Maja dwa, kończy przeprowadzać im bilans. Lepiej, żebyście to zrobili nie w warsztacie. Prawdopodobnie będzie potem szedł na dworzec albo do swego pokoju sublokatorskiego. Weźmiecie również dwóch pracowników oraz drugi samochód z kierowcą. Chcecie więcej ludzi?

- Nie. Starczy.

- Trzecia grupa, pod moim kierownictwem, zdejmie Kolińskiego.

Ewa spojrzała na niego z niepokojem. Otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale major już mówił dalej:

- Zrobimy to w jego mieszkaniu. Potrzebuję więcej ludzi. Sądzę, że - zastanawiał się chwilę - że trzech. Samochód dostanę z Komendy Wojewódzkiej. Tak... Porucznik Jasińska i porucznik Skowroński zostają tutaj. W razie jakich komplikacji, wy - zwrócić się do Skowrońskiego - bierzecie resztę pracowników i przychodzicie, gdzie będzie potrzeba, a Ewa kontaktuje ze sobą grupy i ewentualnie zawiadamia Centralę. Tego ostatniego wolałbym uniknąć. Chyba w ostateczności.

Nie wyjaśnił, co miał na myśli mówiąc „ostateczność”. I tak rozumieli.

Spojrzał na zegarek.

- Dochodzi wpół do dziewiątej, Zaczynamy, towarzysze. A raczej, tak jak powiedziałem na początku: kończymy.

*

Z domu przy ulicy Kościuszki sześć wyszedł Koliński, rzucił okiem dokoła i oddalił się w stronę parku. W minutę później do drzwi mieszkania Karola Mayera ktoś zadzwonił.

- Kto tam? - spytał skrzypek przez drzwi.

- Z „Bajki” - odparł Nowakowski niedbałym tonem. - Niech pan otworzy.

Szczęknął zamek. Zanim Mayer zorientował się, kim są ci trzej, mężczyźni weszli już do mieszkania.

- Co? O co chodzi? - Był teraz wyraźnie przestraszony. - Kim jesteście?

- Niech pan siada - porucznik lekko popchnął go w stronę fotela. - I niech pan się tak nie trzęsie ze strachu. To nie nas powinien pan się bać, panie Mayer.

Wyjął legitymację służbową, podsunął mu pod nos, potem usiadł naprzeciw i patrząc na otepiałą twarz skrzypka, pokiwał głową.

- Ech, człowieku! Potrzebne ci to było? Ile pan ma lat?

- Trzydzieści pięć. Ale o co chodzi?

- Trzydzieści pięć... Zupełnie młody facet, a już się wybiera na tamten świat.

- Ja?! - krzyknął Mayer, zrywając się z krzesła.

- Siedź pan, siedź. Takich rzeczy lepiej się słucha na siedząco. - Spoważniał, patrzył teraz na skrzypka surowo. - Pan sobie naprawdę nie zdawał sprawy, że oni chcą pana sprzątnąć? Tak jak pańskiego kolegę po... no, po fachu, w pewnym sensie. O Bekierze pan nie słyszał?

- To był... coś słyszałem, koledzy mówili. Ci z orkiestry. Jeden mieszkał w sąsiedztwie tego Bekiera. Ale on przecież sam się zabił?

- Aha, rzeczywiście. Ładnie „sam”... Pana też to czekało. Po co Koliński tu przychodził?

- Mieliśmy się jutro spotkać.

- Tu?

- Tak... - Nagle spojrział na Nowakowskiego z przerażeniem, zaczął się trząść ze strachu. - Pan mówi, że on... A ja chciałem... Panie! - schwycił oficera za rękaw marynarki, zaczął wołać szybko, coraz głośniej, łykając wyrazy i śliniąc się: - Ja wszystko powiem, ja... wiem, oni obaj... ja powiem,

on mi dawał eter i tym mnie trzymał przy sobie... Nie mogłem nigdzie dostać eteru, to tak jak morfina, musi się pić, jak się raz zacznie...

- Dziś panu też przyniósł?

- Nie. Jutro miał mi przynieść... Panie, ja wszystko powiem! Koliński zostawiał mi, przeważnie w „Bajce”, jakieś małe zapiski ukryte w papierosach... przekazywałem to Krawczyńskiemu. Ale już dawno chciałem z tym skończyć... tylko ten eter...

*

Krawczyński popatrzył na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Dosyć na dzisiaj.

Złożył rozrzucone papiery, schował do teczki. Wyrzwał na korytarz. Nocny stróż warsztatu drzemał na krześle, w kozuchu mimo upału.

- Panie Wąglik, ja wychodzę! - potrząsnął nim parę razy, aż stary zbudził się, oprzytomniał i wyjął klucze, po czym stękając podniósł się z krzesła.

- Dobrej nocy, panie buchalter. Życzom sobie taksówka?

- Nie, dziękuję. Dobranoc.

Wyszedł na ulicę. O pięćdziesiąt metrów dalej stała z wygaszonymi światłami stara „cytryna”. Kiedy

księgowy skierował się w stronę tunelu, z wozu wysiadło trzech mężczyzn, a samochód ruszył pędem, skręcając pod wiadukt. Kierowca otrzymał od kapitana Zientary polecenie, aby objechać dokoła i zatrzymać się u wylotu tunelu, po drugiej stronie.

Krawczyński wszedł w mroczny, źle oświetlony tunel. Echo głucho odbijało kroki, toteż nie od razu usłyszał, że ktoś za nim idzie. Ledwie obejrzał się, stał już pomiędzy nimi i unosił ręce do góry, więcej zdumiony niż przestraszony. Pomyślał, że to rozbój uliczny i ucieszył się, że ma na sobie stare ubranie, a w portfelu nie więcej niż kilkadziesiąt złotych.

Kiedy jednak kazali mu wejść do samochodu, poczuł niepokój. Kto to jest i czego chcą? – usiłował zrozumieć. Nie odpowiadali na żadne pytania, toteż po chwili umilkł, starając się wywnioskować po kierunku jazdy, dokąd go wiozą.

Niepozorna „cytryna” rozwinęła na szosie nieprawdopodobną szybkość. Zientara śpieszył się. Chciał załatwić z Krawczyńskim i szybko wrócić do Katowic. Po najgroźniejszego przeciwnika major wybrał się osobiście i Zientara po prostu bał się o konsekwencje tej decyzji. Wiedzieli już, że Koliński nie przebiera w środkach.

Zatrzymali się przed domkiem Krawczyńskiego z taką energią, że wóz niemal zarył kołami w piasku.

- Niech pan wychodzi - odezwał się kapitan. - Uprzedzam tylko: żadnych sztuczek. Nie będziemy się z panem cackać.

- Może nareszcie dowiem się, z kim mam przyjemność?! - wybuchnął Krawczyński, dławiąc się z gniewu. - Wiozą człowieka jak barana, dobrze jeszcze, że nie związali... O co wam chodzi?

Ale nie otrzymał odpowiedzi.

Za to pół godziny później, kiedy na strychu - po starannym opukaniu ścian - któryś z wywiadowców wyjął kilka cegieł, a potem z ukrytego otworu walizkę z radiostacją, kapitan Zientara przyjrzał się blademu jak trup Krawczyńskiemu i powiedział przez zęby:

- Teraz już pan wie, o co chodzi.

*

Roman Koliński wchodził powoli po schodach domu, w którym mieszkał. Dom był stary, schody wysokie i męczące, toteż kierownik przystawał na każdym piętrze, oddychając głęboko, aby uspokoić bicie serca.

Wreszcie był już przed drzwiami swego mieszkania. Dochodziła dziesiąta. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, z przyzwyczajenia rozejrzał się - na schodach nie było nikogo. Otworzył drzwi.

Zapalił światło w przedpokoju, rzucił płaszcz na stolik przed lustrem. Z bocznej kieszeni wyciągnął pistolet, małym kluczykiem otworzył prawie niewidoczną skrytkę w ścianie i schował broń. Pomyślał, że trzeba jeszcze przygotować szyfrówkę. Krawczyński miał jutro nadawać.

Ziewnął, rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli pod szyją. Było gorąco. Przez chwilę stał w przedpokoju, zastanawiając się, czy iść do kuchni i zaparzyć kawy, czy przedtem otworzyć okna w pokoju. Zdecydował się wreszcie na to drugie.

Kiedy przekręcił kontakt i jasne światło zalało pokój, ujrzał mężczyznę siedzącego w fotelu naprzeciwko drzwi. Drugi, z pistoletem wymierzonym w Kolińskiego, stał pod oknem, trzeci - również z bronią gotową do strzału - wysunął się bezszelestnie spoza jego pleców i zagradzał mu teraz drogę do wyjścia. Czwarty opierał się lekko o biurko, prawą rękę trzymał w kieszeni.

- Dobry wieczór, „Czarny” - powiedział mężczyzna w fotelu.

Koliński milczał. To ostatnie słowo zaskoczyło go nie mniej niż sam fakt, że tutaj weszli. Przez parę sekund zdawało mu się nawet, że to jego dawni koledzy z bandy. Dlaczego jednak mierzą do niego z pistoletów?

Milczał. Czekał, aż człowiek w fotelu znów się odezwie. Wiedział, że wszelka droga ucieczki jest w tej sytuacji niemożliwa.

Ale tamci również milczeli. Nerwy Kolińskiego, napięte do ostatnich granic, nie wytrzymały. W pewnej chwili ruchem szybszym, niż można się było tego spodziewać, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pamiętał, że broń schował przedtem w skrytce, sądził jednak, że któryś z nich się przestraszy i cofnie, a wówczas... Ale czyjeś silne ręce chwyciły go za przegub dłoni, wykręciły do tyłu. Brzęknęły kajdanki.

- Trochę się pan zmienił od tamtych czasów, poruczniku Malinowski - odezwał się major Wichurski, podchodząc bliżej i wpatrując się w jego twarz. - Nic dziwnego, że nie mogła pana poznać na fotografii.

- Kto? - spytał z mimowolnym zdziwieniem.

Major pominął to pytanie.

- Kim jesteście? Mam chyba prawo wiedzieć...

Wichurski wyjął legitymację.

- Służba bezpieczeństwa. Zobaczymy teraz, czym pan się naprawdę zajmuje, panie kierowniku działu zbytu spółdzielni „Mechanik”. Sierżancie, przystępujemy do rewizji.

Znaleziono pięć pustych fiolek po luminalu, tej samej firmy co fiołki, które leżały pod teczką Bekiera. Znaleziono również płaską, turystyczną flaszkę z wódką, którą następnie poddano analizie. Analiza wykazała, że w wódce rozpuszczono około pięćdziesięciu tabletek luminalu.

Ze skrytki pracownicy kontrwywiadu wyjęli pistolet z amunicją, a z ukrytej szuflady biurka - szyfr ostatnich dwóch meldunków szpiegowskich, których nie zdążył już zniszczyć. Były wiernym odbiciem dokumentów znalezionych w biurku Bekiera. Nie było już teraz żadnych wątpliwości.

*

W ostatnich dniach sierpnia do ogródka kawiarni „Wilanowska” przy placu Trzech Krzyży weszli Ewa i Wichurski. Oboje opaleni na brąz, wypoczęci i roześmiani.

Zajęli stolik zwolniony w tej właśnie chwili przez młodą, jasnowłosą dziewczynę i chłopca, z

widocznym uwielbieniem wpatzonego w partnerkę.

Wichurski odprowadził ich wzrokiem, a następnie spojrzał na Ewę tak, że zmieszana opuściła głowę. Przedłużające się milczenie przerwała kelnerka:

- Słucham, co państwu podać?

Zamówili podwójną porcję lodów i kawę. Po odejściu kelnerki Wichurski znów spojrzał na Ewę i powiedział:

- Ewo, już dawno chciałem ci...

- Dzień dobry, pani Ewo, dzień dobry, majorze - przerwał im znajomy głos.

Przy stoliku, w jasnym garniturze, z płaszczem przewieszonym przez ramię, stał Zakrzewski.

Wichurski, ukrywając niezadowolenie, wskazał mu krzesło.

- Od dawna pan w Warszawie? - spytała Ewa. - Urlop czy sprawy służbowe?

- To drugie. Wybierałem się nawet do pana, majorze, aby podziękować panu za wniosek o mój awans.

- To winszujemy panu - powiedziała Ewa; Wichurski był dziwnie roztargniony, milczał, jak gdyby nie słyszał, co mówi Zakrzewski.

- Dziękuję - uśmiechnął się świeżo mianowany kapitan. - Ale przy okazji, majorze - ściszył głos - jak wygląda w tej chwili sprawa... sprawa tej siatki?

- Prokuratura wojskowa kończy śledztwo. Nie było pana, kapitanie, w końcowej fazie naszej roboty, dlatego nie zna pan szczegółów. Okazało się, że pan K. otrzymał zadanie zorganizowania kilku siatek tego typu w przemyśle. Huty cynkowe - to była jego pierwsza poważniejsza robota.

- To znaczy, że w porę przyszedliśmy.

- Tak. Rola Krawczyńskiego ograniczała się do odbierania meldunków od swego „szefa” i przekazywania ich umówionym szyfrem do ośrodka dyspozycyjnego za granicą. Część materiałów, dotyczących niedoszłych pracowników siatki, przesłaliśmy do waszej Komendy. Będzie pan zresztą pewnie na procesie?

- Sądzę, że tak. Chyba uda mi się zwolnić na kilka dni.

Epilog

Była późna jesień. Tego dnia od wczesnego świtu padał ulewny deszcz. Ranek wstał ciemny, posepny, prawdziwie listopadowy.

W sali Wojskowego Sądu Okręgowego w Katowicach o wpół do dziewiątej było jeszcze pusto. Tylko sekretarz sądu, sierżant, magister prawa, układał na stole trzy tomy akt, dokumenty i dowody rzeczowe. Miała się odbyć rozprawa przeciwko szpiegom.

Do pokoju narad co chwila zaglądał ktoś w mundurze wojskowym. Na kilka minut przed dziewiątą weszli tam dwaj oficerowie. Młodszy stopniem i wiekiem z widocznym szacunkiem zwracał się do kapitana o czerstwej twarzy i łysawej czaszce.

- No, ale obrońca nie będzie miał żadnego punktu zahaczenia - mówił porucznik, poprawiając pas na mundurze. - Przecież tu nie ma żadnych okoliczności łagodzących i nasz...

- Mylicie się, kolego - przerwał kapitan. - Obrońcą jest adwokat Nowakiewicz, a ten zawsze coś musi wyciągnąć. Znajdzie jakiś fakt, który właściwie nie ma żadnego znaczenia, ale w jego ustach urasta do rangi zasadniczego problemu. Potrafi przy tym tak wyprowadzić to rozumowanie, że w efekcie groźny przestępca staje się raptem niewiniątkiem, zaplątanym w jakieś „czarne” moce... Ech, znam ja dobrze tego naszego mecenasa! - uśmiechnął się żartobliwie.

Porucznik nie dawał jednak za wygraną.

- Dobrze, obywatelu kapitanie... ale przecież adwokat nie może w tej sprawie, wobec tak przekonywujących faktów i tak oczywistej złej woli, próbować doszukiwać się jakichś okoliczności łagodzących! Chyba tylko przyznanie się oskarżonych do winy... Przyznali się, bo co im właściwie innego pozostaje? Przecież to nie proces poszlakowy. Dowody leżą na stole sędziowskim, sprawa jest jasna jak słońce. Kwalifikacja prawna może tu być tylko jedna.

Młody porucznik był bardzo przejęty swoją rolą. Nic dziwnego. Była to jedna z pierwszych spraw, w których brał udział jako sędziego. Natomiast kapitan - doświadczony i wyrobiony życiowo człowiek - znał

dobrze arkana wymiaru sprawiedliwości. Znał także adwokatów... Spokojnie i rzeczowo tłumaczył więc teraz młodszemu koledze, że mogą nawet w tak oczywistej sprawie zajść nieprzewidziane okoliczności, które potrafią czasem wyskoczyć w trakcie procesu niczym deus ex machina.

- Sędzia - mówił kapitan - nie może się sugerować sprawą. A zwłaszcza nie wolno mu przesądzać na podstawie z góry przyjętego założenia.

Do pokoju narad wszedł starszy, siwy podpułkownik.

- Dzień dobry, koledzy - odpowiedział oficerom, którzy na jego widok podnieśli się z krzeseł. - Czy wszystko przygotowane?

- Tak - odparł kapitan. - Czekamy tylko na dowieszenie oskarżonych.

*

Na ławie oskarżonych, w asyście kilku podoficerów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, siedziało dwóch mężczyzn. Pochylony, ze spuszczoną głową, tęgawy brunet podniósł się, gdy sędzia powiedział:

- Oskarżony Roman Koliński, proszę podać dokładne personalia.

Po odczytaniu zarzutów przewodniczący sądu przystąpił do tej części rozprawy, która w suchym prawniczym języku nazywa się składaniem wyjaśnień.

- Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Koliński nie od razu odpowiedział. Wpatrzył się niewidzącym spojrzeniem w kąt sali, myśląc: po co to wszystko? Wiedział, że przegrał. Był szpiegiem. Był mordercą. Po chwili jednak przyszło mu na myśl, że może w jakiś sposób uda się złagodzić ostrość tych najcięższych przestępstw. Czy jednak się uda? Szpiegostwo, zabójstwo Bekiera, które - czego się nie spodziewał - zostało mu całkowicie udowodnione... Usiłowanie zlikwidowania Mayera...

- Przyznaję się - odpowiedział.

Sąd zaczął pytać teraz o jego życie: okres okupacji, udział w bandzie, okres powojenny. Koliński odpowiadał krótkimi, urywanymi zdaniami.

- Feliksiaka poznałem na wsi, w czasie okupacji. Rozmawialiśmy nieraz o partyzantce i wreszcie zorganizowaliśmy wspólnie grupę chłopaków ze wsi.

- Partyzancką? - spytał prokurator z ironią.

Koliński nie od razu odpowiedział.

- ...Chciałem pójść z nimi do lasu. Ale tak się jakoś złożyło, za namową Feliksiaka, że byliśmy u

kilku chłopów... No, zabraliśmy im trochę żywności i pieniędzy... Potem Niemcy nas rozbili. Spotkałem go po wojnie, kiedy byłem wicedyrektorem Fabryki Wyrobów Metalowych w Rogowie.

- Opowiedzcie to szczegółowo.

- Siedziałem w jakiejś restauracji. Tam, w Rogowie. Nagle ktoś podszedł do mojego stolika i zapytał: nie poznajesz mnie? To był Feliksiak. Zaskoczył mnie bardzo, bo w pierwszej chwili rzeczywiście go nie poznałem. Był mocno zmieniony. Potem... zaczęło się wszystko od tego, że parę razy dałem mu pieniądze i coś tam załatwiałem. On się dowiedział, że jestem na dość wysokim stanowisku w tej fabryce. Pieniądze mu nie wystarczały. Musiałem go przyjąć do fabryki. Załatwiłem to jakoś, mimo iż nie miał dokumentów. Pracował w magazynie. Któregoś dnia przyniósł mi do podpisu dwa dokumenty. Zorientowałem się, że chodzi o wywóz pewnej partii towaru „na lewo”. Ale musiałem podpisać, bo zaczął mnie szantażować przeszłością, zwłaszcza udziałem w bandzie i zmianą nazwiska na Malinowski. Była też jakaś historia z samochodem, nie pamiętam już jaka.

- Jak doszło do waszej ucieczki?

- Feliksiak kilka razy gdzieś wyjeżdżał na parę dni. Zacząłem się już domyślać, że załatwiał wówczas te swoje „lewe” interesy. Kiedy wpadła do fabryki kontrola, zdałem sobie sprawę, że obaj możemy teraz odpowiadać. Feliksiak był na to przygotowany; powiedział mi, że nie pozostało nam już nic innego, jak ucieczka za granicę. Wziąłem z fabryki samochód, trochę pieniędzy i pojechaliśmy pod Szczecin. Zatrzymaliśmy się tam na dwa dni. Potem jakiś nieznany mi marynarz, którego wynalazł czy znał przedtem Feliksiak, przeprowadził nas na niemiecki statek handlowy. W ten sposób znalazłem się w NRF. Przez trzy miesiące siedziałem w obozie dla dipisów. Feliksiaka w tym obozie nie było. Kiedy przyjechał do mnie z dwoma cywilami, nie wiedziałem z początku, o co chodzi. Zaczęli ze mną rozmawiać. Wiedzieli oczywiście wszystko. Bardzo szczegółowo wypytywali o służbę w bezpieczeństwie. Obiecali mi wtedy, że do Polski będę musiał pojechać tylko na krótki okres...

- I oskarżony tak od razu się na to zgodził?

- Nie miałem innego wyjścia. Dziś zdaję sobie sprawę z tego, że Feliksiak umyślnie robił kanty w fabryce i mnie w to wciągał, abyśmy później musieli uciekać. To było wszystko z góry ukartowane.

- Szkoda, że oskarżony dopiero dziś to zrozumiał.
Co było potem?

- Przez rok byłem w Gardenshafen. To jest ośrodek szkoleniowy jednej z central gehlenowskich.

Blisko dwie godziny Koliński opowiadał o szczegółach pobytu w Gardenshafen i o systemie szkolenia szpiegów. Potem, jakby coś sobie przypominając, dodał:

- W czasie jednego z zajęć złamano mi kość nosową.

- Celowo?

- Nie, to był przypadek. Ale oni to później wykorzystali. Zrobili mi zabieg plastyczny twarzy, nosiłem odtąd okulary, aby zmienić wygląd... Pamiętam, że kiedy Feliksiak przyjechał do Gardenshafen po paru miesiącach, nie poznał mnie... Po roku zostałem przerzucony do Polski. Pierwszym człowiekiem, z którym miałem nawiązać kontakt, był Krawczyński...

Siedzący na ławie oskarżonych siwy, starszy pan poruszył się niespokojnie.

Po przerwie Koliński opowiadał o swej szpiegowskiej działalności na Śląsku. Zawahał się tylko i zaciął, gdy doszło do momentu śmierci Bekiera.

- Bekier był dla nas niebezpieczny. Chciał nawet nam przeszkadzać, baliśmy się, że zawiadomi władze. Dlatego postanowiliśmy z Krawczyńskim go zlikwidować.

Siwy pan poderwał się gwałtownie z ławy.

- To nieprawda! - zawołał. - Ja wcale o tym nie wiedziałem. To on sam postanowił, sam go struł. Potem dopiero...

- Oskarżony Krawczyński, proszę nie przerywać. Potem będziecie mogli mówić. Jak została przygotowana trucizna? - sędzia ponownie zwrócił się do Kolińskiego.

- Podgrzałem wódkę do jakichś czterdziestu stopni, rozpuściłem w niej luminal.

- Skąd oskarżony wiedział, jak to się robi?

- Uczono nas tam, w Gardenshafen... Na wszelki wypadek.

- Ile było tego luminalu?

- Pięć fiolek.

- Ile każda fiołka zawierała tabletek?

- Dziesięć.

- Skąd oskarżony miał te niemieckie tabletki?

- Część przywiozłem ze sobą stamtąd, część mi dostarczono.

- Co dalej?

- Przesączyłem roztwór przez watę, wlałem do butelki po wódce. Taki roztwór nie ma żadnego smaku. On to wypił w lasku, niedaleko parowu.

Porucznik Nowakowski, który siedział w głębi sali obok kapitana Zientary, szepnął mu do ucha:

- Do śmierci będę ten lasek pamiętał. Słuchaj, a dlaczego na ławie oskarżonych nie ma skrzypka?

- Chory jest. Jego sprawa będzie rozpoznana oddzielnie.

Prokurator rzucił okiem na swój notes i powiedział:

- Oskarżony miał u siebie w mieszkaniu przygotowaną taką samą ilość luminalu, rozpuszczoną w alkoholu i wlaną do turystycznej, płaskiej flaszki. Gdzie chciał to oskarżony podać Mayerowi? Dlaczego?

- W jego mieszkaniu, na Kościuszki. Mayer też już był niepewny, zaczął się łamać i mógł nas wsypać...

*

Wyrokiem Okręgowego Sądu Wojskowego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oskarżony Roman Koliński został uznany winnym wszystkich zarzucanych mu

przestępstw i skazany na karę śmierci. Oskarżonego
Wacława Krawczyńskiego skazano na karę piętnastu
lat więzienia.